

PROF. ADAM PROŃ
WŁADZA GŁODZI NAUKOWCÓW**CO ROKU TONIE**
KILKUSET POLAKÓW**HAMAS-IZRAEL**
NIKT NIE JEST ŚWIĘTY**OLGA ŻUKOWICZ**
DOBRY SEKS 55+

CO PO WYBORACH

Ewa Woydyłło-Osiatyńska

Problemy Polski nie znikną.

Będzie je miał ten, kto wygra



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Król zwierząt

reż. Karolina Porcari

premiera: 20 i 21 października 2023

pokaz popremierowy: 22.10.2023

pokazy z napisami w j. włoskim

Król zwierząt to spektakl przeznaczony dla młodej widowni od 12. roku życia. Podstawą literacką są „Baśnie włoskie” Itala Calvina (m.in. „Król zwierząt”, „Wąż”, „Trzy psy” i „Papuga”). Wybitny pisarz zebrał z różnych włoskich regionów przekazy i legendy ludowe, i opowiedział je na nowo. Wiele z nich łączy perspektywę ludzką i zwierzęcą. Maski zwierzęce to metafory pewnych zachowań, wartości i talentów, które tworzą odrębne światy. Jednak nie zawsze są one tylko piękne i symboliczne. Nie zawsze też opowieści Calvina mają szczęśliwe zakończenie, ale każda z nich posiada głęboką warstwę emocjonalną i filozoficzną.

patronat honorowy spektaklu

partner spektaklu

sponsor główny spektaklu



Instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy



Ambasciata d'Italia
Varsavia



INTESA  SANPAOLO

www.powszechny.com



Jutro musi być lepsze

Nie jestem przesądny. Ale pisanie komentarza w piątek 13 października do numeru, który czytelnicy dostaną już po wyborach, w poniedziałek, jest zadaniem prawie beznadziejnym. Podobnie jak wcześniejsze przygotowanie tekstu okładowego w taki sposób, by nasz tygodnik mógł się obronić w tygodniu powyborczym. A zapowiada się tydzień gorący od emocji. Będzie wszystko. Od triumfu do zawodu.

Jak mamy się zachować w tak wybuchowej sytuacji? Zapytaliśmy o to Ewę Woydytło-Osiatyńską, doktora psychologii i terapeutę. Zachęcam do lektury rozmowy, którą przeprowadził Robert Walenciak. Wprowadza ona do naszych rozgorączkowanych głów myśl, że tyle będzie w naszym życiu ładu, ile sami z sobą potrafimy zrobić. Taki dystans będzie nam teraz bardzo potrzebny.

Dzień po wyborach polskie problemy nie znikną. Będą je mieli na głowie przede wszystkim ci, co wygrają. Co raz głębsze podziały między Polakami nie znikną. Wręcz przeciwnie. Bez względu, często bardzo brutalna kampania mocno je pogłębiła. Jak więc ma z tym żyć przeciętny człowiek? Ten, któremu polityka co i rusz wchodzi z buciurami w życie? Jedni są po stronie zwycięzców i utwierdzają się w przekonaniu, że ta druga część jest jakaś dziwna, obca, niby rodacy, ale nie tacy jak my. A przegrani? Myślą w sumie to samo, tyle że dokładnie odwrotnie.

Po wyborach może nastąpić wygaszanie nastrojów wojny plemiennej. Może. Ale wiele zależy od polityków. Od tego, czy popłyną od nich sygnały uspokajające emocje. Bo te mogą wymknąć się spod kontroli. Do tego pieca już tyle nasypano, że taki scenariusz też jest możliwy. I co wtedy zrobimy? Autorytet ustępującej władzy jest dość powszechnie kwestionowany. Większość Polaków, co wynika z wszelkich badań, nie czuje się bezpiecznie. Dość kuriozalnym symbolem władzy w tym obszarze są Mariusz Błaszczak, który sam siebie mianował najważniejszym żołnierzem, i komendant policji, który jakimś cudem nie zabił siebie i policjantów w Komendzie Głównej.

Wśród kandydatów do Sejmu popieraliśmy na naszych łamach autorów tekstów do PRZEGLĄDU. Małgorzata Żuber-Zielicz i Jarosław Makowski startowali z list KO. Popieraliśmy Waldemara Witkowskiego, szefa Unii Pracy, kandydata do Senatu z Nowej Lewicy, i Adama Bodnara, kandydata do Senatu z listy KO. Zachęcaliśmy czytelników do poparcia Agaty Diduszek-Zyglewskiej, Bożeny Przyłuskiej i Pawła Kasprzaka z list Nowej Lewicy oraz Czesława Siekierskiego z Trzeciej Drogi.

Pełny pluralizm. A jedynym kryterium było to, że wspieramy wartościowych ludzi. Takich, którzy bardzo by się przydali w nowym parlamencie. A ja, jak nasi czytelnicy, ciągle liczę, że jutro musi być lepsze od wczoraj.

BAKOWSKI



**ROCZNICA
PAŹDZIERNIKA '56**
Wydarzenia, które
odmieniły historię Polski



47 zł
17 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzebieg.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Problemy Polski nie znikną.**
Będzie je miał ten, kto wygra
– rozmowa z dr Ewą Woydyłło-Osiatyńską
- 12 Przepraszamy za utrudnienia**
Wyborcza polityka cenowa Orlenu
- 15 Wciąż idziemy na dno**
Polacy nie umieją pływać
- 18 Zarobki bez dyplomu**
Nie trzeba być magistrem
- 42 Prawda wyszła na jaw**
Wygrana upartego związkowca
- 55 Kto się upomni o Sandrę**
Wiesz się odwróciła od tragedii

ZAGRANICA

- 20 Nikt nie jest święty**
Izrael i Hamas mają swoje racje
- 23 Zwycięzcą konfliktu**
Izraela z Hamasem będzie Iran
Państwo ajatollahów przeciw demokracji
- 28 Wyspa iluzji**
Rozczarowani brexitem

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 25 Co zrobi Ameryka?**
Martwa doktryna Bidena
Chaotyczne reakcje

OPINIE

- 32 Adam Proń**
Wyznania starego profesora
- 36 Piotr Kimla**
Opaczna pedagogika kina amerykańskiego

HISTORIA

- 38 Lenino – symbol przyszłego zwycięstwa**
Bitwa, która nie poszła na marne

KULTURA

- 44 Trzeba coś skończyć,**
żeby zabierać się do następnego
– rozmowa z Arturem Paczesnym
- 48 Baśń ku przestrodze**
– rozmowa z DK Welchman
(Dorotą Kobięłą)
- 50 Culturalia**
- 66 Picasso**

PSYCHOLOGIA

- 52 Najlepsze przed wami**
– rozmowa z Olgą Żukowicz

OBSERWACJE

- 58 Hodując własnego wroga**
Obce rośliny na naszym terytorium
- 60 Twarze**
Fotografie prof. Grzegorza W. Kołodki

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jutro musi być lepsze
- 31 Jan Widacki**
Jak nie powinna wyglądać debata
- 35 Roman Kurkiewicz**
Jak ja Państwu zazdroszczę...
- 43 Tomasz Jastrun**
Nadzieja
- 47 Wojciech Kuczek**
Ten pierwszy poniedziałek
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Gotyk polski

44

KULTURA



TRZEBA COŚ SKOŃCZYĆ, ŻEBY ZABIERAĆ SIĘ DO NASTĘPNEGO

– rozmowa z Arturem Paczesnym



52

PSYCHOLOGIA

NAJLEPSZE PRZED WAMI

– rozmowa
z Olgą Żukowicz

58

OBSERWACJE



HODUJĄC WŁASNEGO WROGA

Obce rośliny na naszym terytorium

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 759dc5bf13



f Wybory w cieniu Kościoła

Nigdy w całym moim życiu nie słuchałam biskupów w kwestii tego, na kogo mam głosować. Podobnie jak moi rodzice czy mąż. Wystarczy, gdy księża będą głosili Ewangelię.

Teresa Moza



Wszyscy, nawet lewica, chcą mieć dobre relacje z Kościołem katolickim. Od ponad 30 lat rządzi on krajem i nie zanoszą się na to, żeby cokolwiek w tej kwestii się zmieniło...

Stelios Lotsios

Pisowskich czasopism nie tykam, bo bije od nich nienawiść i ciągłe podkręcanie podziałów. Tak samo jest w mediach, które z Donalda Tuska robią jeźdźcę na białym koniu. Trzeba mieć jakiś umiar i być pośrodku. PRZEGLĄD musi walczyć na rynku, bo ma swoją stałą grupę czytelników, którzy ze swoimi poglądami tak naprawdę nie będą mieli alternatywy.

Kamil Wójcik

f Utopia i koszmarm w jednym

Od lat widzę w amerykańskich filmach, że tam też dostrzegają pewne problemy z „amerykańskim snem”. Piszę rzecz jasna nie o filmach popularnych, ale o tych dobrych. Niczego one jednak nie zmieniły w amerykańskiej rzeczywistości ani w postrzeganiu USA przez większość Polaków. Nie wiem, na jakiej zasadzie ten „czar” działa, że z taką łatwością ignoruje się nędzę, bezdomność, rasizm (dotyczy



również Azjatów) i wiele innych rzeczy. Zaklęciem jest słowo demokracja, stosowane zamiennie ze słowem wolność. Jak naprawdę te zaklęcia działają na rzeczywistość, mało kto chce analizować.

Michał Błaszczak



Widzę wiele przypadków naruszeń wolności i praw

Przeczytałem z uwagą wywiad z rzecznikiem praw obywatelskich. Można zgodzić się lub nie z przedstawionymi tam argumentami, jednak w pierwszej odpowiedzi na pytanie red. Andrzeja Dryszla rzecznik albo zapomniał, albo przeoczył, albo przemilczał art. 22 ust. 5 ustawy o referendum ogólnokrajowym, który mówi o możliwości przedarcia karty referendalnej i jakie ma to konsekwencje dla obliczania rezultatów referendum. Oczywiście natychmiast znajdują się przeciwnicy przedarcia karty referendalnej, gdyż grożą za to określone konsekwencje prawne, przewidziane w art. 248 Kodeksu karnego. Jednak należy tu przypomnieć, że głosowanie w wyborach jest TAJNE i wyborca ma prawo w sposób całkowicie wolny, bez jakiegokolwiek ingerencji/podglądania dokonać wyboru, a do tego służy obowiązkowe w każdym lokalu wyborczym stosowne pomieszczenie (kabina z kotarą). W tym pomieszczeniu wyborca może dokonać również czynności, o której mówi art. 22 ust. 5 ustawy o referendum ogólnokrajowym. Po jej ewentualnym dokonaniu wyborca ma pełne prawo wrzucenia wszystkich otrzymanych kart do urny i nikt nie może nawet próbować się zapoznać z ich treścią i formą. (...) Tajność głosowania jest niezbywalnym prawem i trzeba z niej korzystać.

Roman Walicki



ZDJĘCIE TYGODNIA



Podczas uroczystej inauguracji nowego roku akademickiego Aleksander Kwaśniewski odebrał doktorat honoris causa Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Laudację dla uhonorowanego wygłosił prof. Jan Widacki. 6 października 2023 r.

Wśród 6656 kandydatów do Sejmu było 3706 mężczyzn i 2950 kobiet. Do Senatu kandydowało 360 osób, w tym 291 mężczyźni.

W wyniku konfliktu z min. Mariuszem Błaszczakiem rezygnację złożyli najważniejsi dowódcy polskiej armii: **gen. Rajmund Andrzejczak**, szef Sztabu Generalnego WP, i **gen. Tomasz Piotrowski**, dowódca operacyjny. Zastąpił ich desant z Wojsk Obrony Terytorialnej – **gen. broni Wiesław Kukula** i **gen. dywizji Maciej Klisz**. Bardzo daleko im do kompetencji poprzedników, ale blisko do PiS.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski otrzymał **tytuł doktora honoris causa Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego**. „Nie dzielił, ale łączył. Nie inicjował sporów, ale był w nich arbitrem, łagodził je”, mówił w laudacji **prof. Jan Widacki**.

Prezydenckie „wybory korpertowe”, które PiS chciało zorganizować w 2020 r., choć się nie odbyły, **kosztowały ok. 100 mln zł**. Zapłaciła za nie Poczta Polska za rządów pisowskiego prezesa Tomasza Zdzikota (w nagrodę za posłuszeństwo trafił do KGHM). Zostały po nim w magazynach Poczty w Niepołomicach 4 tys. przezroczystych urn z pleksi. Do dziś Poczta sądzi się o 14 mln zł.

Okolo 2 mld zł rocznie wydaje państwo na katechetów. Jest ich w Polsce ok. 30 tys., z czego 17 tys. to osoby świeckie, ponad 10 tys. to księża i zakonnicy, a 2 tys. – zakonnice.

Według Onetu **czworo prowadzących**

„Wiadomości” w TVP zarobiło w ciągu pięciu lat prawie 12 mln zł netto. A według NIK byłemu szefowi Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosławowi Olechowskiemu wypłacono 1,5 mln zł. W latach 2017-2022 TVP SA otrzymała z budżetu państwa 7,2 mld zł, a w 2023 r. 2,347 mld zł. Jest więc kasa, by hojnie nagradzać heroldów PiS.

Największy podatek dochodowy CIT zapłacił w 2022 r. polski bank PKO BP – 1,66 mld zł. A francuski BNP Paribas tylko 367 mln zł.

Radosław Potrac ze Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi im. Powstańców 1863 r. z warszawskiej Pragi Północ **został Nauczycielem Roku 2023**. Uczy historii i wychowania w rodzinie.

Od 1 stycznia 2024 r. płaca minimalna wzrosła do 4242 zł brutto, a od 1 lipca do 4300. Obecnie wynosi 3600 zł brutto.

Tytuł najbezpieczniejszego gospodarstwa w 2023 r. otrzymało **gospodarstwo Jolanty i Sławomira Tupikowskich z Wólki Zdunkówki (Lubelskie)**. Rolnicy na 210 ha uprawiają pszenicę, pszenżyto, kukurydzę i rzepak. W nagrodę otrzymali od KRUS ciągnik rolniczy Farmtrac 680 DTV.

Wiara w geniusz biznesowy Janusza Palikota zaszkodziła setkom osób, które zainwestowały w Manufakturę Piwa Wódki i Wina (MPWiW) oraz w Tenczynek Dystrybucja. MPWiW ma 1639 wierzycieli na kwotę 254 mln zł. Tenczynek – 2,3 tys. wierzycieli, którzy czekają na 84 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Co zrzuca mjr Siewiera

Major Jacek Siewiera, od roku szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, szybko nabył złych manier, jakimi popisują się gburowaci urzędnicy prezydenta Dudy. Wszyscy już zdążyli się przyzwyczaić do fatalnych obyczajów ekipy zarabiającej na chleb u prezydenta. Po rezygnacji dwóch najważniejszych generałów Wojska Polskiego mjr Siewiera parokrotnie opowiadał, że ZRZUCILI żołnierski mundur. Jakoś jeszcze nie dotarło do tego 40-letniego faceta, że zrzucić mundur to może ktoś taki jak on. Żołnierze poniewierani przez pisowską ekipę, w której mjr Siewiera też odgrywa jakąś rolę, munduru nie zrzucają. Oficerowie, których wyróżnia poczucie honoru, gdy odchodzą, to mundur ZDEJMUJĄ! Dbają o niego. Towarzyszy im w ostatniej drodze.



Łupią, bo mogą

Co łączy wszystkie banki w Polsce? Bez różnicy, kto jest ich właścicielem – Polacy, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy, Amerykanie – niemiłosiernie łupią klientów, czyli nas. Tylko banki na Cyprze i w Grecji potrafią wydusić ze swoich klientów większe marże. W praktyce oznacza to, że z kredytobiorców zdzierają ostatnią koszulę. A jak ktoś zrobi u nich lokatę, dostaje za swoje oszczędności grosze.

Przy tak prostym mechanizmie banki bez ryzyka mają gigantyczne zyski, które szerokim strumieniem płyną do właścicieli. Mogą zatem Francuzi mieć marżę w wysokości 0,43 pkt proc., Włosi – 1,54, a Niemcy – 1,69. Jak to się ma do marży w Polsce – 3,5 pkt proc.?

A polscy rolnicy ciągle nie mają banku, który by im pozwolił prowadzić działalność na przyzwoitych warunkach. Dają więc zarobić swoim największym konkurentom z Francji.



Miszcza. Od porażki do porażki

Coraz więcej złych wiadomości z Polsatu. Odkąd rządy objął tam Edward Miszczak, emeryt z długim stażem w TVN, kolejne próby przerobienia stacji Solorza na TVN kończą się kląpą. Nie spodobały się widzom wprowadzone przez Miszczaka jesienią „The Real Housewives. Żony Warszawy” i „Temptation Island Polska”.

Mają tak marną oglądalność, że przesunięto je na późniejsze godziny. Widz Polsatu okazał się dużo bardziej wybredny, niż myśli dyrektor stacji. Odrzucił prostą ofertę Miszczaka. I ciągle tęskni za Kasią Dowbor w programie „Nasz nowy dom”.

Obronili Olsztyn przed Maliszewskim

Tak się chłop starał. Tyle kasy poszło na podróże z Warszawy do Olsztyna. Ale prezes Kaczyński nie dał się oszukać tej nagłej miłości Norberta Maliszewskiego do Warmii i nie wpuścił go na listy do Sejmu. Maliszewski ma tytuł dr hab. Ale lubi, jak tytułują go profesorem, bo to bardziej pasuje do szefa Rządowego Centrum Analiz. Może Kaczyński nie lubi, jak ktoś, zamiast pracować, podróżuje do Olsztyna? I to od marca kilkadziesiąt razy. Może prezes posłuchał lokalsów, którzy nie cierpią Maliszewskiego? A może zobaczył w „Sieci” reklamę z Maliszewskim trzymającym ogromnego psa? Wielbicielowi kotów nie mogło to się spodobać. Wybory to nie koniec kłopotów Maliszewskiego. Raczej początek.





PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak wielu Polaków uważa, że wybory nie zmieniają ich sytuacji?

ANDRZEJ RADZIKOWSKI,
związkowiec, przewodniczący OPZZ (2019-2022)

Aby mieć pełną odpowiedź na to pytanie, należałoby w pierwszej kolejności znaleźć sposób na zauważalną i istotną poprawę sytuacji w Polsce we wszystkich aspektach. Zarówno ekonomicznym, jak też obywatelskim, w wymiarze jakości życia czy wreszcie jeśli chodzi o podniesienie jakości usług publicznych. Przekonanie, że wybory niewiele zmieniają, wynika z tego, że ani programy, ani działania partii liczących się na scenie politycznej nie mają większego przełożenia na poprawę codzienności wyborców. Pamiętajmy, że wiele z tych ugrupowań było już w Polsce przy władzy, co również nie daje wyborcom nadziei na poprawę. Gdy przyjrzeć się samym programom wyborczym, widać tam wiele niespójności – jeśli np. program socjalny jest przyjazny, to ten obywatelski czy szeroko rozumianych wolności obywatelskich jest już mniej akceptowalny lub odwrotnie.

MICHAŁ SYSKA,
dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a we Wrocławiu

Polaryzacja polityczna rozgrzewa emocje wśród zwolenników głównych stron konfliktu politycznego. Jednak proces ten ma jeden ważny efekt uboczny – jest nim

zniechęcenie i obojętność większości społeczeństwa. Teatralizacja zachowań polityków połączona z brutalizacją języka i pustką programową mobilizuje grupy najbardziej zagorzałych politycznych kibiców, lecz demobilizuje tych, którzy w polityce szukają systemowych rozwiązań swoich codziennych problemów.

DR MICHAŁ WENZEL,
socjolog, Uniwersytet SWPS

Telewizyjna debata przywódców partii i komitetów wyborczych pokazała wysoki poziom animozji personalnych. Gdyby wyborcy po tym widowisku mieli wskazać jakieś zasadnicze różnice programowe pomiędzy głównymi konkurentami, a więc PiS i PO, to myślę, że mieliby z tym spore problemy. Wielu wyborcom polityka jawi się jako bezalternatywna. W debacie wskazywał to Krzysztof Bosak, mówiąc, że jakkolwiek ostra jest rywalizacja na poziomie kadr, to jeśli chodzi o wiele decyzji politycznych, np. dotyczących pandemii COVID-19 czy konfliktu na Ukrainie, to obydwie partie – zarówno PiS, jak i PO – głosowały właściwie tak samo. Dlatego wiele osób ma wrażenie, że niezależnie od tego, która z tych partii będzie przy władzy, polityka niewiele się zmieni. Zmienia się jedynie kadry.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Problemy Polski nie znikną. Będzie je miał ten, kto wygra

Gdy pan pyta, jak będziemy się czuć dzień po, odpowiedź brzmi: to zależy kto

Rozmawia Robert Walenciak

Jak się zachować dzień po? W ten powyborczy poniedziałek? Kiedy za nami jest czas, w którym padło tak wiele złych słów, a wynik już jest na stole? Jak przez to przejść?

– To stanie się samo. A stanie się w zależności od środowiska i w zależności od dojrzałości osoby. Bo czekają nas wielkie zmiany. Ta władza zapowiedziała, że jak wygra, to wtedy pokaże. Opozycja też zapowiedziała swoje. Jedni więc będą w smutku, a drudzy w euforii. Ale ta euforia dosyć szybko minie, bo jedni i drudzy mówią, że lekkich, łatwych czasów długo nie będzie.

Czyli znajdziemy się w sytuacji, a w zasadzie już jesteśmy w sytuacji, że coś się otwiera – nowy etap, ważny. I nie wiemy, jak to będzie.

– To jak urodzenie nowego dziecka. Zobaczmy, jakie ono będzie. Zobaczmy, czy będzie po nocach płakać, czy będzie od razu promienne i cichutkie. Czyli to będzie radosne wydarzenie...

...dla jednych...

– ...bo same wybory są wydarzeniem radosnym. Mamy szansę! I teraz albo będziemy źli, że się nie udało, albo zadowoleni. To trochę tak, jakbyśmy byli kibicami samych siebie.

Jak się uda, to euforia. Jak porażka, to narzekanie, że zły trener, źli zawodnicy, że kłapa na zawsze.

– Ta reakcja będzie zależała od stopnia dojrzałości.

Czyli?

– Rozmawiam z ludźmi jako psychoterapeuta, zaglądam głębiej. To są różne rozmowy: dlaczego dziecko nie chce z rodzicami rozmawiać, dlaczego mąż, jak przychodzi z pracy, to zamyka się w pokoju, dlaczego małżonkowie ze sobą nie śpią, dlaczego teściowa przychodzi zawsze krytycznie nastawiona do nas itd. My jesteśmy, ogólnie rzecz biorąc, społeczeństwem niedojrzałym.



EWA WOŹDYŁŁO-OSIATYŃSKA

– doktor psychologii i terapeuta uzależnień, autorka książek, m.in.: „Wybieram wolność, czyli rzecz o wyzwaniu się z uzależnień”, „Zaproszenie do życia”, „Sekrety kobiet”, „My – rodzice dorosłych dzieci”, „W zgodzie ze sobą”, „Droga do siebie. O poczuciu wartości”.

Jako Polacy?

– Nad Wisłą, Odrą, Bugiem żyje sobie taki zlepek plemion, które są niedojrzałe. A co jest miarą dojrzałości? Można w różny sposób to omawiać i bardzo rozbudowywać, ale jest jedno kryterium. Podstawowe, najważniejsze. Akceptacja.

?

– Akceptacja to zdolność godzenia się z tym, czego nie chcę, co mi się nie podoba. Akceptacja w życiu jest treningiem, który – czy chcemy, czy nie chcemy – opanowujemy. Każdemu ktoś umarł, musimy z tym się pogodzić. Choć wiemy, co się stało, kiedy jednemu panu ktoś umarł.

Jest ten dzień po. Więc proponuję: zajmijmy się rozwiązaniem tego, co powstaje.

To było ważniejsze niż los Polski.

– Niestety. A my w normalnym życiu co chwila mamy problemy z akceptacją. Że urodziła się córka, a nie syn. A potem ta córka całe swoje życie będzie próbowała zaskarbić sobie uwagę ojca, choć to niemożliwe, bo on marzył, żeby mieć syna. Że ktoś mieszka na wsi, a nie w mieście. Albo ktoś mieszka w mieście i ma daleko do pracy. Albo ktoś ma 1,65 m wzrostu, a kolega 1,92 m. Kogoś stać na pójście na tańce, a ktoś mówi, że nie może tańczyć. A dlaczego nie może? Ma radio, ma pokój. Ale nie, to za mało, on musi iść do dyskoteki. Wszyscy wciąż czegoś chcą. I nie mają.

Akceptacja, odnoszę wrażenie, ma swoją złą stronę – namawia do bierności.

– Nie! To nie jest bierność. Akceptacja to umiejętność zgodzenia się z tym, czego nie mogę zmienić.

A to, co mogę zmienić – zmieniam?

– To już jest inna rzecz. To zależy. Jeden człowiek jest dynamiczny, kipi energią, drugi jest bardziej introwertyczny, siedzi i będzie kolekcjonował znaczki pocztowe, w kąciaku, cichy... Jeszcze inny ucieka od rzeczywistości. Skąd bierze się tyle problemów wynikających z upijania się? Polak nie lubi się napić. Polak lubi się

upić. A co to jest upicie się? Upija się, bo chce zapomnieć. A o czym chce zapomnieć? Nagle, teraz? I tu pojawia się zestaw różnych powodów. Rodzinnych, osobistych, dotyczących pracy... Każdą rzecz, która mi się nie podoba, muszę jakoś zagłuszyć. Akceptacja zatem to miara dojrzałości.

Nawet w ciężkich chwilach, także po śmierci bliskiej osoby?

– Żałoba to jest żałoba. A u nas co dziś się dzieje? Ludzie tydzień po pogrzebie lecą do psychiatry. Dlaczego? Ja mówię: umarła twoja mama, ale dlaczego ty idziesz do psychiatry? Zbiegło się, że masz schizofrenię czy co? Nie, ale wiesz, ja przeżywam, nie mogę spać. Jeżeli byłaś bardzo przywiązana, to normalne. Bo na żałobę we wszystkich religiach na całym świecie jest rok. I ja po swojej ciężkiej żałobie, teraz, niedawno, mając tworzywo psychologiczne opanowane, zrozumiałam, dlaczego to jest rok. Bo żałoba musi obejść dookoła. Pierwsze święta bez ciebie, pierwsze twoje urodziny bez ciebie, pierwsze moje urodziny bez ciebie, pierwsze urodziny naszego synka bez ciebie, pierwsza wiosna bez ciebie, pierwsza jesień... To jest wszędzie.

Żeby pogodzić się ze światem?

– Żeby zaakceptować. Bo co to jest akceptacja? Przyzwyczajam się do nowego, nowej siebie. Bo ja zgwałcona już nigdy nie będę ja niezgwałcona. Czyli muszę się dowiedzieć, jak to jest być teraz, ja – osierocona, ja – wdowa... Mogę to zmieniać, życie daje nam możliwości, ale muszę wpierv zaakceptować nową sytuację. Akceptacja to zobaczenie, jak jest naprawdę. A nie, jak ja bym chciała, żeby było, i jak nie chcę się zgodzić na to, co jest.

Wszystko jest w głowie. Gdybyśmy zrobili komukolwiek lobotomię, to tak jak w filmie „Lot nad kukułczym gniazdem” Jack Nicholson, który był żywiołem buntu, leży bezwładny, z bladym uśmiechem, który nigdy mu już z twarzy nie zejdzie. Ponieważ przepalono mu płaty czołowe i skroniowe prądem wysokiego napięcia. On będzie żył. Będą go

karmić, będzie wydalać, ale nigdy w życiu już nic nie poczuje. W tym sensie to nasz system nerwowy decyduje o tym, jak odnosimy się do świata. I do tego świata dzień po, w poniedziałek powyborczy, i pewnie później, będziemy się odnosić proporcjonalnie do stopnia naszej własnej dojrzałości.

A nie frustracji?

– Frustracja jest częścią życia i na frustrację każdy ma swoje metody. Niektórzy się upijają. A niektórzy siadają i grają w szachy sami ze sobą.

A inni idą się bić.

– Tak! Ale frustracja to nie jest uczucie. To jest stan, kiedy coś jest nie tak, jak ja chcę.

Czyli, odwracając – moja partia wygrała wybory, idę do pracy, spotykam się z kolegą, którego partia przegrała, i co? Śmieję się z niego, sztydę?

– Zależy, czy jestem człowiekiem dojrzałym, czy smarkaczem i kibolem. Co robią kibice wobec tych, którzy przegrali? Leją, obrzucają epitetami, nienawidzą. A sami celebrują. To jest żalosne, dlatego że nie zwiększa wartości zwycięstwa, tylko degraduje tego, który tak świętuje. Ale może tak być, że zwycięstwo niektórych doprowadzi do patologicznej euforii. Niezależnie od preferencji politycznych ludzie mniej dojrzały, przeważnie gorzej wykształceni, są bardziej reaktywni. Najpierw wykonują jakąś reakcję, a potem się zastanawiają. Będą mniej szlachetni, będą sztydzić, będą się mścić.

Jesteśmy, ogólnie rzecz biorąc, społeczeństwem niedojrzałym.

W tej kampanii padło mnóstwo słów, inwektyw. Wszyscy je pamiętamy. I co? Mamy sobie powiedzieć, że tak tylko gadaliśmy? Wtedy to było wtedy, a dzisiaj jest dzisiaj?

– Z całą pewnością będą jakieś indywidualne rozgrywki między ludźmi, którzy dobrze zapamiętali albo czyjeś działania, albo słowa; może dojść do konfrontacji. Ale spójrzmy szerzej. Bo gdy pan pyta, jak będziemy się czuć dzień po, odpowiedź brzmi: to zależy kto.

► A pani znajomi?

– Nie boję się o nich. W mojej grupie nie ma nienawiści, chęci odwetu, wściekłości. Powtarzam: wszystko zależy od człowieka. Nie boję się o nas. Nam będzie albo bardzo smutno, albo bardzo miło. Ale nie będzie to znaczyło, że pójdziemy i rzucimy się jak rozjuszone kibicki i kibice na przeciwników. Nawet jeżeli będzie nam przykro, będzie to przykrość, która ma oblicze zażawionych oczu. Natomiast jak będzie przykro po drugiej stronie, to mogą się posypać

Nie trzeba odpowiadać tym, którzy nas atakują?

– A jakież miałby być ku temu powód? Zwróćmy uwagę: taki człowiek, który się obraża, czym się zajmuje? Tym, co ktoś powiedział. I draży: a dlaczego tak powiedział? A ile razy? A ilu słyszało? Zajmuje się tym, co go zabiło. A jaka jest alternatywa? Patrzysz, czy to są głosy dla ciebie ważne. Na Facebooku – raczej nie, przeważnie są to osoby anonimowe albo obce. Wobec tego po co się zajmować treścią tych epitetów?

w górę, bo wygrałem, jest cudownie, jest pełna szczęśliwość, albo zbrukane, rzucone w dół. Jak więc sobie poradzić?

– A jak poradził pan sobie np. z tym, że dowiedział się pan, że pana ojciec nie żyje?

Zamarłem całkowicie. Jak słup soli.

– Jak długo pan był jak słup soli? Są ludzie, którzy ze względu na swoje doświadczenia nabrali umiejętności podchodzenia do sprawy z otwartymi oczami. Są ludzie, którzy oczy zaciskają i jak małe dzieci chowają głowę pod poduszkę: nie chcę, nie chcę. Ale za chwilę albo zechcą, albo trochę pod tą poduszką poleżą, a potem wstaną. I zaczyna się nowy dzień. Tak więc musimy dopuścić ewentualność jakiegoś szoku, zaskoczenia, że wszystkie nadzieje wzięły w łeb. Ale wtedy trzeba się zająć rozwiązaniem szoku. Bo jak zaczniemy analizować, dlaczego tak się stało, to będziemy...

...kręcili się wciąż w koło w jednym miejscu.

– Przecież tamci całe lata wyłącznie zastanawiali się, dlaczego samolot uderzył w brzozę. I jeszcze wybrali oszołoma, żeby to badał. Ale nikt się na tym nie poznał. To są fakty!

Jak wytłumaczyć, że można przez lata pozostawać w takim zaciętrzewieniu?

– To jest brak akceptacji. Od tego się zaczyna. I podobnie może być dzień po – ci, którzy nie będą potrafili nowej sytuacji zaakceptować, będą

Z całą pewnością będą indywidualne rozgrywki między ludźmi, którzy dobrze zapamiętali czyjeś działania albo słowa, może dojść do konfrontacji.

złowrogie odruchy zemsty, oszustwa, jadu. Zresztą to widzimy.

Jak wobec tego sobie radzić z tym morzem inwektyw, z atakami? Choćby w mediach społecznościowych? Jest masa ludzi, którzy sobie z tym nie radzą.

– Co to jest poczucie wartości? Poczucie wartości człowieka to jest tak, jakby pan miał pancerz nietykalności. Poczucie wartości polega na tym, że traktuje pan wrogie epitety jako wizytówkę ich autorów, a nie pana. Poczucie wartości to także zdolność do przyjmowania rzeczy, których nie chcę. Bo umiem to zaakceptować.

W jaki sposób?

– Na przykład, jeżeli uciekł mi autobus, inni wsiedli, a przede mną drzwi się zamknęły, to mogę albo popaść w użalanie się, albo szukać rozwiązań. Jedni mocno się spinają przeciwko każdej rzeczy, która ich frustruje, drudzy mają większą amplitudę znoszenia sytuacji, które nie są takie, jakie oni chcą. Różnica polega na tym, że ci drudzy w swoim osobistym bilansie czują przewagę nad ludźmi, którzy postępują nieuczciwie, niegodnie, a zwłaszcza niekulturalnie. W związku z tym, gdy ktoś mnie atakuje niegodnie, nie obrażam się. Po prostu nie mam ochoty na kontakt. Jestem daleko od tego i ten dystans pozwala mi podchodzić do epitetów czy do jakichś pretensji w sposób racjonalny, realistyczny.

Naprawdę nie mają one znaczenia. A wie pan, jaka jest alternatywa? Zająć się rozwiązaniem. Wtedy jest święty spokój.

Nie babrzemy się w różnych pretensjach, tylko idziemy do przodu?

– I teraz – jest ten dzień po. Więc proponuję: zajmijmy się rozwiązaniem tego, co powstaje. Zaangażujmy się w rozwiązanie nowej sytuacji. Problemy Polski nie znikną. Będzie je miał ten, kto wygra.

Każdy, kto wygra, będzie miał długi do spłacenia, będzie miał wojnę za wschodnią granicą i inne problemy.

– Zobaczymy, co się wydarzy. Wtedy zajmiemy się tym, co będzie. To jedyna rozumna koncepcja.

Poczucie wartości to także zdolność do przyjmowania rzeczy, których nie chcę. Bo umiem to zaakceptować.

Czyli mamy nową rzeczywistość i do niej się dostosujemy?

– Trzeba ją zaakceptować. Dopóki walczymy, to walczymy. A jak się okaże, że tak wyszło, jak wyszło... To część naszych doświadczeń. Ludzie akceptują, że coś się nie udało. Akceptują, że ktoś umiera. Potrafią zaakceptować, przecież nie z radością, największe nieszczęścia.

Polityka jest sztuką uwodzenia.

Odwołuje się nie tylko do naszego rozumu, ale i do emocji, marzeń.

Tu emocje zostaną albo wyniesione

mieli straszny czas. A ci, którzy umieją zaakceptować, wylecą pierwszym samolotem albo pojedą na działkę, usiądą, napiją się herbaty, pogadają z przyjaciółmi.

A strach przed zemstą? On jest po obu stronach. Bo oni teraz pójdą dalej, będą się mścić. Więc taki człowiek czeka teraz na cios. Na przykład sędzia.

– Im bardziej władza domaga się prawa robienia, co chce, krzywdzenia obywateli, tym bardziej musi się liczyć z ogromem nienawiści do

siebie. To jest w obie strony. Nadchodzi więc trudny czas. Dla nich. Nawet jak wygrają. Ale lepiej nie przewidywać przebiegu wydarzeń. Jest żartobliwe powiedzenie, że Pan Bóg się śmieje z naszych planów. Z naszych przewidywań.

Ojczyzna upadnie! Utraci wolność!

Takie mogą być reakcje.

Z obu stron.

– Niektórym ludziom poczucie ważności wzrasta, jak mówią wszystkim dużymi literami. Ale chwileczkę! To jest po prostu kropelka w oceanie. To się dzieje gdzieś tam, w jakimś kraiku nad Wisłą. Napisałam książkę o traumie. I dzwoni koleżanka i mówi: „Wiesz, ja to miałam traumę, ty takich rzeczy nie piszesz. Było wesołe, miałam być druchną. I już dojechałam, i wyszłam z samochodu, noga mi się wykręciła, złamałam obcas... Ale miałam traumę! Do tej pory w nocy się budzę”. Biedna dziewczyna, bo właściwie coś się stało? Można było na bosaka iść. Ale widzi pan, stopień pojemności naszego systemu nerwowego jest różny, to się nazywa teraz rezyliencja.

Elastyczność, sprężystość...

– Rezyliencja to zdolność do poradzenia sobie z frustracją, adaptowania się do nowych okoliczności. To zdolność człowieka do realizmu. Jest, jak jest. Mogę mówić, że nie chcę tego, ale przecież tej sytuacji nie zmienię. A tupiąc nogą, mogę zrobić bardzo dużo głupich rzeczy. Niektórzy biorą nóż i mordują. Takie mają objawy psychicznego wyładowania.

Im bardziej władza domaga się prawa robienia, co chce, krzywdzenia obywateli, tym bardziej musi się liczyć z ogromem nienawiści do siebie.

Spodziewa się pani takich wyładowań?

– Teoretycy nauk społecznych mówią, że trudne, przełomowe chwile pomagają ludziom w osiąganiu kolejnych stadiów dojrzałości. Ale to zależy od owej sprężystości emocjonalnej. Jak masz pitkę sprężystą, to ona wysoko się odbije. A jak masz miękką... Tak samo będzie teraz. Stopień odporności na frustracje jest

bardzo ważnym czynnikiem. A nasze społeczeństwo ze względu na dobrobyt, na luksusowe życie, wygodę, lekką pracę jest delikatne.

I szkolane, tak sądzę.

– Postępuję przykładem. Wiem, co często dzieje się z dziećmi w rodzinach adopcyjnych. To są dzieci, których losy były straszne. Doświadczyły tyle złego, że bardzo trudno im się nauczyć, że może być dobrze. Że

już nie trzeba się bać, nie trzeba o nic się bić, wystarczy poprosić. Więc pewnie i w naszym społeczeństwie przyjdzie taka pora, kiedy będziemy adoptowani przez dobrych rodziców. Złe stosunki – zemsty, wrogości, dokuczania, straszenia – odejdą. I zaczniemy być normalni. Ale to tak szybko się nie naprawi.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Filharmonia
Narodowa

BRAHMS KONCERT SKRZYPCOWY

20/21.10

Orkiestra Filharmonii Narodowej

Vincent Kozlovsky – dyrygent, Jakub Jakowicz – skrzypce

Mahler, Koechlin, Brahms

Na koncerty zaprasza
Sponsor Roku
Filharmonii Narodowej



Organizator



Strategiczny
Mecenas



Mecenas



Sponsor



filharmonia.pl

Przepraszamy za utrudnienia

W ostatnich tygodniach na niemal połowie stacji benzynowych Orlenu wystąpiły „awarie dystrybutorów”. To efekt uboczny kampanii wyborczej



Posłanka PiS Bożena Borys-Szopa sfotografowała się na tle orlenowskiego dystrybutora. Internauci zauważyli, że widniała na nim informacja, iż zatankowano 491 litrów paliwa. Posłanka tłumaczyła, że to nie ona tankowała, a jej zdjęcie miało ilustrować, że na stacjach Orlen dobre są kawa, ciasteczka i paliwa.

Marek Czarkowski

30 września br. na jednej ze stacji benzynowych w Olkuszu przyłapano wiceministra sportu i turystyki Jacka Osucha, jak najpierw zatankował „pod korek”, a potem wlał benzynę do trzech plastikowych zbiorników umieszczonych w bagażniku jego eleganckiego SUV-a. Polityk Prawa i Sprawiedliwości tłumaczył się, że paliwo było mu potrzebne do agregatu prądotwórczego, który w razie awarii zasila koncentrator tlenu.

W gronie podejrzanych o tankowanie na (spory) zapas znalazła się posłanka PiS Bożena Borys-Szopa, która sfotografowała się z kubkiem

kawy w dłoni na tle orlenowskiego dystrybutora. Internauci zauważyli, że widniała na nim informacja, iż zatankowano 491 litrów paliwa. Natychmiast pojawiło się pytanie: „Jakim cudem wlała Pani 491 litrów paliwa do Mazdy CX3?”. Posłanka tłumaczyła, że to nie ona tankowała, a jej zdjęcie przed nalewaniem miało ilustrować, że na stacjach naszego narodowego dobra są kawa, ciasteczka i paliwa.

Prawda jest taka, że kierowcy, którzy mają okazję, tankują na Orlenie do pełna i biorą na zapas taniej benzynę oraz olej napędowy, gdyż są przekonani, że po wyborach ceny pójdą w górę. Jeśli dziś litr PB 95 kosztuje w Polsce średnio 5,93 zł, to

po wyborach jego cena wzrośnie do 7 zł, a nawet 7,50 zł. Nikt nie ma złudzeń – władze Orlenu celowo utrzymywały niskie ceny paliw ze względu na kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości.

Prezes Obaitek zapewnia: „Orlen na politykę cenową patrzy długoterminowo, w najbliższych tygodniach nie przewidujemy wzrostu cen paliw”. Mało kto mu wierzy.

Nic osobistego, to tylko polityka

Czy rzeczywiście PKN Orlen ma tak wielki wpływ na ceny paliw w naszym kraju? Rocznie koncern produkuje ok. 30 mln ton paliw, wliczając w to benzynę, olej napędowy, olej opałowy i paliwo lotnicze. Dane za rok bieżący poznamy w przyszłości.

Z szacunków Polskiej Organizacji Przemysłu i Handlu Naftowego wynika, że pod koniec I kwartału br. w Polsce działały 7902 stacje paliw. Najwięcej było stacji niezależnych – 3782, wśród nich 404 należące do sieci Moya.

Największą sieć ma Orlen, będący właścicielem 1919 stacji. Międzynarodowe koncerny paliwowe BP, Shell oraz Circle K (dawniej Statoil) dysponują 1618 stacjami. Są jeszcze stacje tzw. sklepowe, mieszczące się przy supermarketach. Jest ich łącznie 171, z czego najwięcej – 73 stacje – należy do sieci Intermarkh.

Fakt, że na Orlenie można tankować taniej, nie oznacza, że pozostali muszą się dostosować. Zwłaszcza wobec szerzącej się plagii „awarii dystrybutorów”. Na przykład litr popularnej PB 95 może kosztować na stacjach Shell od 5,94 zł w Wałbrzychu do 6,24 zł w Poznaniu. Na stacjach koncernu BP jest ciut taniej, lecz drożej niż na Orlenie. I tam paliw nie brakuje.

Rząd oraz prezes Obajtek podkreślają, że tania benzyna to efekt mądrej polityki i nie ma to nic wspólnego z wyborami do Sejmu i Senatu. Oczywiście możemy im wierzyć, lecz fakty zdają się temu przeczyć.

Orlen nie po raz pierwszy ręcznie kształtuje ceny. Rok temu nasz

W takiej polityce cenowej Orlenu nie ma nic osobistego, to tylko polityka, której celem jest przekonanie wyborców, że sprawy Polski są w dobrych rękach.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby Orlen nie miał problemu z szybkim uzupełnianiem pustych zbiorników

zbilansować rynek. Jak widać, nie bardzo mu to wychodzi. Piątka należy mu się za kartki z napisem: „Awaria dystrybutora. Przepraszamy za utrudnienia”.

Gdzie paliwo dla rolnika?

Na początku października na stację benzynową Orlenu w pobliżu Radzyna Podlaskiego podjechała cysterna z olejem napędowym, by napęlić zbiorniki. Natychmiast ustawiła się kolejka pojazdów, w której

wyróżniały się trzy ciągniki rolnicze z pełnymi zbiornikami na paliwo.

– Jak one zatankują, to będzie po wszystkim. Możemy się zbierać – ponurym głosem oznajmił jeden z kolejkowiczów.

– Tak nas PiS urządził – dodał stojący obok kolega.

– Co wam się nie podoba? Co ty, k... pier... Przyjacielu Tuska j... Spier... do Niemiec, do Merkel – ujawnił swoją obecność na stacji zwolennik

W Olkuszu przyłapano wiceministra sportu i turystyki Jacka Osucha (PiS), jak najpierw zatankował „pod korek”, a potem wlał benzynę do trzech plastikowych zbiorników.

narodowy operator dystrybutorów przez drugą połowę roku utrzymywał wysokie ceny paliw, mimo że ropa na rynkach światowych systematycznie taniała. Powód był prosty – koncern chciał dobrze zarobić. A minister finansów ściągnął z rynku choć część nadwyżki będących w obiegu pieniędzy, by w ten sposób wpłynąć na spadek inflacji.

Ale był jeszcze jeden powód, kto wie, czy nie najbardziej istotny. Z dniem 1 stycznia 2023 r. wracał w kraju 23-procentowy podatek VAT na paliwa. Gdyby Orlen utrzymywał niskie ceny paliw, to z początkiem nowego roku musiałby je gwałtownie podwyższyć, co bardzo zdenerwowałoby kierowców i podniosło poziom inflacji.

Jak potem się okazało, polityka wysokich cen paliw się opłaciła. Szoku cenowego po 1 stycznia br. nie było. Kierowcy to przełknęli. Mechanizm ten wielokrotnie opisywaliśmy na łamach PRZEGŁĄDU. Prezes Obajtek tłumaczył wówczas, że cen nie mógł obniżyć, ponieważ Czesi i Niemcy wykupiliby paliwo. Dziś nasi sąsiedzi ochoczo korzystają z promocji na Orlenie, lecz nikomu to nie przeszkadza.

Taka polityka cenowa jest możliwa, bo nasz narodowy skarb ma 50% udziału w łącznej sprzedaży detalicznej oraz hurtowej na polskim rynku paliw. Ma też 53% udziału w rynku czeskim i aż 82% w rynku litewskim. W praktyce oznacza to, że spadek marż paliwowych nad Wisłą (co oznacza niskie ceny na tutejszych stacjach benzynowych) może zrekompensować wynikami sprzedaży za granicą.

na swoich stacjach benzynowych. Na zdjęciach wykonanych przez internautów i dostępnych w sieci widać kolumny cystern stojące przed bazami paliwowymi płockiego koncernu. Jedna z nich mieści się w Ostrowie Wielkopolskim. Pojazdy sfotografował były prezydent tego miasta, kandydat PO w wyborach do Sejmu, Jarosław Urbaniak, i z odpowiednim komentarzem zamieścił w mediach społecznościowych.

Nie po raz pierwszy Orlen ręcznie kształtuje ceny. Rok temu utrzymywał wysokie ceny paliw, mimo że ropa na rynkach światowych systematycznie taniała.

Inne zdjęcia przedstawiały wojskowe cysterny zaopatrujące orlenowskie stacje w paliwa. Pojawiły się złośliwe pytania, w stylu: „Czy to są ćwiczenia?”.

Na początku października br. Biuro Prasowe Orlenu wyjaśniło, że koncern wielokrotnie w przeszłości wykorzystywał cysterny należące do wojska „podczas wzmożonego ruchu w okresie letnim”. Jakkolwiek byśmy oceniali praktyki Orlenu, jedno jest pewne – z logistyką sobie nie radzi. Bo skoro produkcja paliw w płockiej rafinerii jest na normalnym poziomie, to dostarczenie ich na stacje okazało się wyjątkowo trudnym zadaniem.

Poza tym koncern ma zgodę rządu na wykorzystanie rezerw interwencyjnych i robi wszystko, by

Zjednoczonej Prawicy i dodał: – W Polsce nigdy tak dobrze nie było. Ch... kmioty, benzyny nie zabraknie. Zamknąć mordy!

Tym razem na szczęście nie doszło do rękoczynów. To, że część mieszkańców wsi jest wściekła na rządzących, łatwo zrozumieć. Są to głównie właściciele dużych gospodarstw o areale powyżej 50 ha. Oni potrzebują ▶

Przepraszamy pana prof. dr. hab. Piotra Glińskiego, kandydata do Sejmu z ramienia Prawa i Sprawiedliwości, za użyte w artykule Piotra Gadzinowskiego pt. „PiS do muzeum” z dnia 2 października 2023 r. w Tygodniku Przegląd porównanie działań pana prof. Piotra Glińskiego do działań nazistów i stalinowców.

*Jerzy Domański,
Redaktor Naczelny Tygodnika Przegląd
Piotr Gadzinowski*

► specjalnego oleju napędowego, opatrzonego symbolem B0, czyli bez dodatku biokomponentu. Jest on przeznaczony do najbardziej wymagających silników, do zastosowań profesjonalnych. Kluczowe znaczenie ma tutaj większa wydajność, szczególnie w kontekście dłuższych cykli pracy silnika, a także łatwiejszy zimny rozruch. Takie paliwo stosowane jest m.in. w ciągnikach, nowoczesnych maszynach rolniczych oraz autach dostawczych. I kupuje się je nie na stacjach benzynowych, ale w hurtowniach. Problem w tym, że dziś oleju napędowego B0 nie ma. A jeśli jest, to kosztuje kilkadziesiąt groszy więcej niż ten z dystrybutora. Duże gospodarstwo potrzebuje rocznie kilka tysięcy litrów takiego paliwa.

Pojawiają się w mediach społeczeńściowych wpisy o tym, że „w Augustowie brak paliwa. W okolicach

i sprzedaż go w Polsce są ryzykowne, bo czy warto przepłacać, gdy mimo wszystko za jakiś czas można będzie dostać względnie tanie paliwo z Orlenu?

Te problemy sprowokowały pojawienie się głosów, że może to mieć wpływ na poparcie polityczne dla Prawa i Sprawiedliwości, a w konsekwencji na wynik wyborów. Nie sądzę.

Dużych gospodarstw, tych ponadstuhektarowych, jest niewiele, stanowią one 0,9% wszystkich. A małe gospodarstwa, do 5 ha, to aż 49% rodzimych gospodarstw rolnych.

Wiejski elektorat Prawa i Sprawiedliwości to głównie osoby starsze, posiadające kilka hektarów i żyjące z rent czy emerytur bądź trudniące się drobnym handlem i usługami. Dla nich dostęp do paliwa rolni-

Opozycja narzeka, że prezes Obajtek sztucznie zaniża ceny paliw, by wesprzeć kampanię wyborczą PiS oraz pomóc Adamowi Glapińskiemu, prezesowi Narodowego Banku Polskiego, walczyć z inflacją. Z pewnością tak jest. Jednak właścicielom samochodów to nie przeszkadza, jeśli uda im się zatankować „pod korek” za bardzo rozsądną cenę. I nie rozumieją postów opozycji, którzy domagają się podniesienia cen na stacjach benzynowych.

Czy prezesowi Obajtowskiemu uda się spełnić obietnicę niepodnoszenia w najbliższych tygodniach cen paliw? Moim zdaniem to nie zależy od wyniku wyborów. Paliwo będzie musiało podrożeć, bo na rynkach światowych cena baryłki ropy naftowej wzrosła po ataku Hamasu na Izrael i rozpoczęciu przez Izraelczyków działań wojennych wokół Strefy Gazy.

Głównym dostawcą ropy naftowej do rafinerii Orlenu jest Arabia Saudyjska, więc na szczególne bonusy liczyć nie możemy. Zwłaszcza że Saudowie mają zamiar wycisnąć ile się da z trudnej sytuacji na

Bliskim Wschodzie i grają na wzrost ceny baryłki ropy, która oscyluje dzisiaj między 85 a 90 dol.

Gdyby jednak polski rząd, nie bacząc na wzrost cen ropy na rynkach światowych, zdecydował się utrzymać niskie ceny, czyli zastosować rozwiązanie, po które jakiś czas temu sięgnął na Węgrzech Viktor Orbán, wiadomo, czym to się skończy.

Po początkowych sukcesach, gdy węgierscy kierowcy zaoszczędzili trochę grosza, paliwa zaczęło brakować, gdyż kierowcy kupowali je na zapas, a i sąsiedzi: Niemcy, Czesi i Słowacy, chcieli skorzystać. W końcu węgierski rząd gwałtownie podniósł ceny, czym doprowadził do skokowego wzrostu inflacji.

Dlatego nie powinniśmy liczyć, że po 15 października nic się nie zmieni. Ceny paliw na stacjach benzynowych z pewnością pójdą w górę. Jednak nikt nie wie, jak szybko będą rosły i na jakim poziomie się zatrzymają. Za to znikną kartki „Awaria dystrybutora. Przepraszamy za utrudnienia”.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Koncern ma zgodę rządu na wykorzystanie rezerw interwencyjnych i robi wszystko, by zbilansować rynek.

Ciechanowa jest problem i zabierają nam rabaty, w powiecie konińskim wszystko wstrzymane, a cena jak na stacji paliw”, odnoszą się raczej do oleju napędowego oznaczonego symbolem B7, czyli z siedmioprocentowym dodatkiem biokomponentu.

We wrześniu br. Kujawsko-Pomorska Izba Rolnicza alarmowała, że hurtownie nie są w stanie na bieżąco dostarczać paliwa rolniczego, i zwróciła się do ministra aktywów państwowych Jacka Sasina z prośbą o zagwarantowanie rolnikom jego odpowiednich ilości w okresie wzmożonych prac polowych. Ten niewiele mógł zrobić, gdyż braki na rynku są konsekwencją polityki cenowej Orlenu.

Obniżając ceny na swoich stacjach benzynowych, koncern musiał też obniżyć ceny hurtowe, przez co import paliw do Polski stał się nieopłacalny. Poza tym, by utrzymać ciągłość sprzedaży, Orlen został zmuszony do wprowadzenia limitów dla odbiorców hurtowych.

Okazało się, że zakup za granicą hurtowych ilości oleju napędowego

czego i jego cena mają niewielkie znaczenie. Liczą się dodatki socjalne: 13. i 14. emerytura, 500+, a od stycznia 2024 r. 800+ na jednego wnuka. A także świadomość, że wstaliśmy z kolan i Niemiec nie będzie pluł nam w twarz. To wszystko rząd Mateusza Morawieckiego im zapewnia. Dlatego mieszkańcy wsi, zwłaszcza z Polski wschodniej i Podkarpacia, popierają i będą popierać PiS w formule, jaką znają i kochają.

Monopol mój widzę ogromny

Paliwa, energia elektryczna, gaz ziemny, węgiel kamienny i brunatny to w naszym kraju domena państwa. Megakoncern Orlen jest emanacją politycznej wizji lidera PiS, który zakłada, że kraj potrzebuje gospodarczego giganta, którym pośrednio mogą kierować politycy. Podobną koncepcję w latach 60. i późniejszych XX w. realizował rząd Korei Południowej, a od lat 80. z wielkim powodzeniem realizują Chiny. Identyczne procesy miały miejsce w Malezji i Wietnamie. I należy przyznać, że to działało.

Wciąż idziemy na dno

Co roku tonie kilkuset Polaków.
Co zrobić, żeby woda przestała nas zabijać



Chrystian Ślusarczyk

To nie statystyki wojenne. Na świecie rocznie w wyniku utonięć życie traci ok. 250 tys. osób! Dla wielu woda to albo nieznaną, albo niedocenianą przeciwnik. Nawet najmniejszy objaw lekceważenia tego żywiołu może się skończyć tragicznie.

W Europie, poza Grecją, obserwujemy spadek liczby utonięć. Niestety, Polska również nie ma powodów do dumy, niemal każdego dnia tonie co najmniej jedna osoba. Dzieje się tak od lat. Od lat też w ciągu kilku letnich miesięcy zastanawiamy się, co zrobić, by w końcu takich tragicznych informacji było mniej. W 2022 r. w naszych akwenach, do których wchodzimy tak naprawdę przez krótszą część roku, utonęło 419 osób. W tym może być jeszcze gorzej. Wszak wrzesień sprzyjał wodnemu relaksowi, a i w październiku trafiają się dogodne warunki.

Jak wynika z badań Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego

– Państwowego Zakładu Higieny, ryzyko utonięcia w Polsce jest dwukrotnie wyższe niż średnio we wszystkich krajach UE.

Bałtycka pseudoriwiera i śródlądowe tragedie

Polska to teoretycznie kraj, którego klimat nie stwarza wielu okazji do spędzania czasu w ciepłych morskich czy śródlądowych wodach. Mimo to latem, w ciągu dwóch, trzech miesięcy, na nadbałtyckich plażach, na jeziorach i nad rzekami spotykamy tysiące zwolenników kąpieli. Temperatura wody rzadko przekraczająca 20 st., sztormy, wysokie fale, niestabilne dno lub trudne do przewidzenia prądy – to nasze stałe „atrakcje”. Świnoujście, Władysławowo czy miejscowości nad jeziorami nawet w dobie zmian klimatycznych znacznie ustępują południu Europy. Mimo szerokich, piaszczystych plaż nigdy nie będzie u nas bałtyckiej riwieri na wzór Lazurów Wybrzeża. Niestety, wielu z nas nie ma świadomości,

że w wodzie zimnej, mniej zasolonej i często niespokojnej znacznie trudniej pływać czy nawet się utrzymać.

Ale to nie Bałtyk i jego mało przyjazne wody plasują Polskę na czołowych miejscach list utonięć. Od lat statystyki Komendy Głównej Policji pokazują, że najwięcej Polaków topi się w wodach śródlądowych – w jeziorach na pojezierzach oraz w rzekach na terenie całego kraju. O ile nad morzem w sezonie możemy liczyć na ratowników, o tyle nad jeziorami, a tym bardziej w rzekach, jesteśmy skazani na siebie – na nasze umiejętności i zimną krew. A tych dramatycznie brakuje. Kto ginie w naszych wodach? Najczęściej są to osoby, które uważały, że potrafią pływać, takie, które przeceniły swoje siły. W Polsce często toną też osoby, które zamiast szacunku wobec żywiołu odczuwają w wodzie strach czy wręcz panikę.

Niestety, „polską specjalnością” są utonięcia użytkowników kajaków, łódek czy motorówek. Dzieje się tak mimo coraz większej świadomości, że pływając w kapoku, zwiększamy swoje szanse na uratowanie życia.

Najczęściej toną mężczyźni z wykształceniem zawodowym, w wieku od 45 do 59 lat. Najwięcej osób topi się u nas w jeziorach (w 2022 r. – 105 przypadków) i rzekach. Najczęstsze okoliczności zatonięcia to kąpiel w miejscu niestrzeżonym, lecz niezabronionym. W 2022 r. 107 osób przed utonięciem spożywało alkohol. To również nasza „narodowa specjalność”.

Nauka, konsekwencja, egzekwowanie

O tym, że Polacy nie umieją pływać, trąbimy od lat. Co roku pojawiają się ambitne plany, co zrobić, by w końcu przezwyciężyć pływacką niemoc rodaków. Mamy problem nie ▶

► tylko z pływaniem. Wielu z nas (niestety, nie ma statystyk ilu) nie potrafi nawet przez kilka sekund utrzymać się na powierzchni wody! Od lat słyszymy, a głosy te padają pod adresem wszystkich rządów, że jedynie solidna nauka pływania w szkołach może odwrócić tragiczny trend. Można odnieść wrażenie, że wołanie WOPR o wprowadzenie obowiązkowej nauki pływania w polskich szkołach to bicie głową w mur.

Czy za ministra Czarnka, który zapowiedział niedawno wprowadzenie obowiązkowej nauki pływania we wszystkich podstawówkach, coś się zmieni? Warto dodać, że kurs kończyłby się uzyskaniem karty pływackiej. Na papierze wygląda to całkiem nieźle. Możemy mieć jednak sporo uzasadnionych wątpliwości, czy minister nie porzuci tematu nauki pływania na rzecz innych swoich „priorytetów”.

Ryzyko utonięcia w Polsce jest dwukrotnie wyższe niż średnio we wszystkich krajach UE.

Wygląda na to, że Przemysław Czarnek popełnia podobny błąd jak jego poprzednicy – pływanie miałyby bowiem formułę zajęć fakultatywnych, przynajmniej na początku. A pożądaną, idealną wręcz sytuacją byłby obowiązek posiadania karty pływackiej. Karty, którą można by traktować jak prawo jazdy. „Obserwujemy, że kiedy organizowaliśmy tzw. pogadanki dla turystów nad morzem, nasza kampania poświęcona morskim prądom wstecznym odnosi pewien skutek. Wciąż jednak najczęściej do śmiertelnych wypadków dochodzi na śródlądziu. Pokutuje stereotyp, że spokojna woda w jeziorach, w odróżnieniu od Bałtyku, jest bezpieczna. A to nieprawda, szczególnie jeśli ktoś nie umie pływać”, powiedział Paweł Błasiak, prezes Zarządu Głównego WOPR, w wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego”.

Zdaniem WOPR każdy polski uczeń musi być w stanie przepłynąć – i to bez większego wysiłku – 200 m dowolnym stylem, poprawnie wskoczyć z brzegu do wody i poprawnie zanurkować. Na pierwszy rzut oka

wyduje się to sensowne, ale może lepiej zastosować proste wzorce skandynawskie? Tam uczy się jak najdłuższego utrzymywania się na wodzie i oczekiwania na pomoc, która musi nadejść.

Nie ma – jak widać – wyjścia. Polacy muszą nauczyć się pływać. Wydaje się, że w przypadku najmłodszych coś możemy zmienić. Tym bardziej że z roku na rok na terenie całego kraju przybywa krytych basenów. Gorzej sytuacja wygląda z basenami otwartymi, na których warunki są bardziej zbliżone do naturalnych. W niemal milionowym Krakowie, gdzie w ostatnich latach zamknięto kilka zewnętrznych basenów, latem mieszkańcy mają dostęp do... jednego otwartego basenu miejskiego.

Jak podaje Portal Samorządowy, kryte baseny m.in. w Warszawie, Częstochowie czy Bydgoszczy przeżywają obłęd. Powód

– placówki rezerwują tory na zajęcia indywidualne, a mieszkańcy skarżą się na brak możliwości korzystania z obiektów.

O ile są plany i pomysły, jak dotrzeć do najmłodszych, nie wiadomo, co zrobić w przypadku dorosłych, osób po czterdziestce czy pięćdziesiątce. Sprawa pozostaje nierozwiązana.

Bezpieczne wody Bałkanów

A jak to wygląda na zagranicznych akwenach? Jakie są statystyki u innych?

Bułgarskie wybrzeże Morza Czarnego ma prawie 300 km. Tysiące Polaków wiedzą, że dominują tam piękne, piaszczyste plaże, a sezon trwa dłużej niż nad Bałtykiem. Poza tymi strzeżonymi nie brakuje dzikich plaż, znanych wyłącznie wtajemniczonym. Bułgaria, która w czasach komunistycznych żywiła Europę pomidorami czy papryką, jest krajem, któremu doskwiera susza. Stąd liczne zbiorniki wodne, zlokalizowane w całym kraju. Tam, w czasie często

40-stopniowych upałów, miejscowi szukają ochłody. W ostatnich latach coraz więcej plaż – głównie niestrzeżonych – pojawiło się na bułgarskim odcinku Dunaju. Woda z roku na rok jest coraz cieplejsza i przyciąga amatorów kąpeli. Mimo tak różnorodnych warunków Bułgaria znajduje się na liście Top 15 krajów, w których śmierć z powodu utonięcia ponosi najmniej osób! W ostatnich latach w Bułgarii topi się ok. 40-60 osób rocznie. Warto zaznaczyć skuteczną pracę bułgarskich ratowników wodnych, którzy średnio w ciągu roku ratują życie 4,5 tys. osób. Jak informuje Bułgarski Czerwony Krzyż, odsetek osób uratowanych jest dziś znacznie wyższy niż w latach 90. XX w. Tak dobre wyniki to rezultat skutecznie wdrażanych i egzekwowanych standardów światowych przy szkoleniu ratowników. Dodajmy, że co roku w Bułgarii przeszkalanych jest 1 tys. nowych ratowników, podczas gdy ok. 3,5 tys. osób wyraża chęć pracy jak ratownik wodny. Polacy od lat stanowią spory, a bywały lata, że największy, odsetek cudzoziemców, których pochłonięły wody Morza Czarnego. Pod koniec sierpnia w Primorsku utopił się 35-letni Polak.

Inny bałkański kraj, Chorwacja, wraz z niewielką, ale latem pełną turystów Czarnogórą to setki kilometrów adriatyckich plaż. Sezon trwa jeszcze dłużej niż w Bułgarii. W roku 2022 w Chorwacji w wyniku utonięcia życie straciło 40 osób. Podobne statystyki notowane są tam od lat. Chorwackie plaże to w dużej mierze skały, kamienie i żwir. Tamtejszy Czerwony Krzyż informuje, że spory odsetek utonięć wiąże się z urazami po skokach do wody, w miejscach niebezpiecznych, często zabronionych.

Mała, ale modna w ostatnim czasie Albania (plaże na Morzu Adriatyckim i Jońskim) w bałkańskim rankingu utonięć wygląda najgorzej. Tylko część 200-kilometrowego wybrzeża to plaże zapewniające dostęp do wody. W dodatku poza okolicami Durres i Sarandy plaże są dzikie. Tam na ratowników nie ma co liczyć. Jak podaje WHO, w roku 2020 w Albanii utonęło 20 osób.

Wybrzeża i plaże Grecji z milionami odwiedzających ten kraj trudno

w jakikolwiek sposób porównywać z Polską. Dla niektórych, np. Brytyjczyków, sezon na morskie kąpiele trwa tam praktycznie cały rok. Warto jednak zaznaczyć, że w kraju, którego wizytówką są ciepłe morskie wody i niezliczone wyspy, rocznie topi się ok. 350 osób, mniej niż w Polsce! Greków niepokoi jednak fakt, że liczba utonięć rok do roku nie spada.

Hiszpania i inne giganty

Lato nad Morzem Śródziemnym jest wyjątkowo długie. W mających więcej mieszkańców i goszczących znacznie więcej turystów niż Polska Hiszpanii, Włoszech czy Francji liczba plaż usytuowanych przy kilku ciepłych morzach jest wielokrotnie wyższa niż u nas. Kraje te to prawdziwe śródziemnomorskie giganty. I to nie tylko ze względu na wspomnianą liczbę mieszkańców oraz dostępnych plaż, temperaturę i czystość wody, ale także z uwagi na gwarancje bezpieczeństwa i jakość usług ratowniczych.

Co roku we Włoszech tonie niemal 400 osób. Liczbie tej towarzyszy ok. 60 tys. akcji ratowniczych na plażach i ponad 600 tys. interwencji prewencyjnych prowadzonych przez ratowników. Zważywszy na długość

zarówno strzeżonych, jak i dzikich włoskich plaż – tych wciąż jest sporo – dane te, w porównaniu z naszymi, mogą budzić respekt. A morza to niejedynie akweny, z których korzystają miejscowi i tłumy turystów. Włoskie podalpejskie jeziora też przyciągają wielbicieli kąpiele w czystych i ciepłych wodach.

We Francji, kraju znacznie ludniejszym i większym od Polski, w wyniku utonięć życie traci 800-900 osób rocznie. Warto zaznaczyć, że liczby te z roku na rok maleją. W zeszłym roku 47% utonięć miało miejsce

półroczu 2023 r. życie w wyniku utonięcia straciło 169 osób. Najwięcej utonięć notuje się w Walencji i na Wyspach Kanaryjskich, najmniej w Kraju Basków, regionie, który także obfituje w plaże, ale temperatura wody, choć wyższa niż w Bałtyku, nie zachęca do kąpiele.

W Europie krajem, w którym sezon plażowy trwa najdłużej, jest Cypr. Jak podaje WHO, na wyspie w ubiegłym roku utonęło 30 osób. Dane te plasują ten plażowy kraj na 115. miejscu na świecie pod względem utonięć.

Nie ma wyjścia, Polacy muszą nauczyć się pływać.

w morzu, 26% na basenach, a w rzekach 23%.

Jak podaje portal Statista, biorąc pod uwagę możliwości korzystania z „wodnych dóbr”, liczbę mieszkańców i odwiedzających kraj turystów, w trójce śródziemnomorskich gigantów pierwsze miejsce zajmuje Hiszpania. W roku ubiegłym w tym większym i ludniejszym niż Polska kraju utonęły 394 osoby. A wygląda na to, że hiszpańskie statystyki wodnego bezpieczeństwa na ten rok będą jeszcze korzystniejsze, bo w pierwszym

Analizując statystyki utonięć za granicą, nietrudno wskazać pewną zależność: w krajach basenu Morza Śródziemnego i na zachodzie Europy (Belgia i Holandia) mamy do czynienia z dużo mniejszą liczbą utonięć niż w Polsce i w naszej części Europy. Wpływ na to mają dostęp do spokojnych i ciepłych morskich wód oraz skuteczna, obowiązkowa i konsekwentnie prowadzona nauka pływania w szkołach.

Chrystian Ślusarczyk

LIST

Gdynia, jaką pamiętam

Przedemną nagrodzona Nike Czytelników „Gdynia obiecana” Grzegorza Piątka. Nim zacznę czytać, przywołuję w pamięci obraz miasta, które wpisuje się w historię mojej rodziny i pozostało w starym albumie czarno-białych fotografii. Na tle budowy chłodni rybnej i elewatora zbożowego inż. Stanisław Ostrowski, brat mojej babki, stoi obok Eugeniusza Kwiatkowskiego, twórcy koncepcji polskiego portu. Jaki to musiał być zapał do pracy i entuzjazm budować coś trwałego i przydatnego w niepodległej już Polsce, można sobie wyobrazić.

Wiele lat później, kiedy los przerzucił mojego Ojca spod Warszawy do Gdańska, trafiłam do Topolówki, czyli III LO w Gdańsku-Wrzeszczu, ale na naukę pływania jeździło się do Gdyni na basen w Szkole Morskiej. Potem Tata prowadził ważną budowę – fundamentowanie pod suchy dok. To nie były gotowe słupy do wbicia w ziemię, tylko pale robione, można powiedzieć, na żywo. Do ogromnej uzbrojonej rury sypany był żwir zmieszany z cementem portlandzkim i ta sucha mieszanka była ubijana czteroipółtonową babą. Cały kafar drżał, jak ta baba pracowała. Kiedy rura doszła do podłoża trwałego,

czyli do skały macierzystej, zwykle na głębokość od kilku do kilkunastu metrów, była wyciągana, a pal, dostając wilgoci, dojrzewał, czyli wiązał się, i miał niesamowitą wytrzymałość. Biegałam po nabrzeżu, słyszałam tomat kafara, ostrożnie podchodziłam do ogromnej czeluści przyszłego doku. Widziałam wysiłek i sprawność załogi. I tu ciekawostka. Załogę stanowiło 30 młodych mężczyzn, którzy zwykle daleko zostawili swoje domy. Praca na dwie zmiany, wolnych sobót w latach 60. jeszcze nie było – no to tata je wprowadził. Wykonanie zaplanowane zadanie i wolne. Mężczyźni mogli pojechać do dziewczyn, żon, dzieci i wracali zadowoleni, z zapasami domowego wyrobu.

Po latach mnie los przerzucił na Mazury, ale w Gdańsku został mój brat Bohdan. Opowiadał mi, jak oczekiwał parę godzin na wpisanie się do księgi żałobnej po śmierci pani Franciszki Cegielskiej, prezydent Gdyni (1990-1998). Była niezwykle szanowana.

Gdynia – okno na świat, wiatr od morza, pogodnie niebo, spełnione marzenia, przykład, nadzieja. To mam w pamięci i niech tak będzie w przyszłości.

TM

Zarobki bez dyplomu

Nie trzeba mieć wyższego wykształcenia, aby dobrze zarabiać

Kornel Wawrzyniak

Chociaż utarło się, że za wyższym wykształceniem idą lepsze zarobki, ta reguła coraz rzadziej się sprawdza. Zmiana następuje powoli, ale jest już widoczna na rynku pracy. Z danych zebranych przez Główny Urząd Statystyczny wynika, że najlepsze zarobki nadal osiągają osoby zatrudnione na stanowiskach dyrektorów generalnych, kierowników ds. technologii informatycznych oraz lekarze i wyspecjalizowani prawnicy. Jest jednak wiele zawodów, w których można sporo zarobić i nie potrzeba do tego ukończonych studiów.

Szkolenia zamiast studiów

Portal Wyborcza.biz przyjrzał się zawodom, w których można zarobić więcej, nawet dwukrotnie, niż wynosi średnia krajowa. W kwietniu 2023 r. według GUS było to 7430,65 zł brutto. Przy czym średnia krajowa wyznaczana jest na podstawie danych zbieranych w sektorze przedsiębiorstw. Statystyki GUS uwzględniają zatem firmy zatrudniające minimum 10 osób. Pod uwagę nie są zaś brane zarobki w edukacji, administracji publicznej, pomocy społecznej czy ochronie zdrowia. Nieuwzględnianie szeroko pojętej budżetówki w statystykach może zastanawiać, bo przecież te informacje są dostępne. Cóż, jej pomijanie ma podnosić statystykę dotyczącą średniej krajowej. W Polsce pracuje ponad 15 mln osób. Średnia krajowa wyliczana jest tymczasem na podstawie zarobków 6,5 mln pracowników. Różni się więc znacząco od realnych zarobków Polaków.

Ponadprzeciętne zarobki bez wykształcenia nie oznaczają, że osoby pracujące w pewnych branżach nie potrzebują kwalifikacji czy

specjalistycznej wiedzy. Dziś na wielu stanowiskach liczy się nie dyplom uczelni, ale praktyczna wiedza zdobyta na rozlicznych kursach. Widzą to nie tylko pracodawcy, ale i kandydaci na studia. Statystyki GUS z ostatnich 10 lat pokazują, że liczba studentów z roku na rok maleje. Między rokiem akademickim 2009/2010 a 2019/2020 spadła z 1,9 mln do 1,2 mln. Według danych Eurostatu z 2021 r. w Polsce jest 42,5% absolwentów szkół wyższych wśród osób w wieku 25-34 lata. Umiejscawia to nas w połowie stawki wśród krajów UE, jeśli chodzi o odsetek osób z ukończonymi studiami.

Tymczasem rośnie rynek specjalistycznych kursów i studiów podyplomowych, czyli takich, które można ukończyć po licencji. Trwają zazwyczaj rok, czyli połowę krócej niż w przypadku studiów magisterskich. Nauka zazwyczaj odbywa się w weekendy. Uczestnik, który najczęściej za kurs płaci, ma dużo większą pewność, że ukończy go z zaświadczeniem potwierdzającym nabycie odpowiednich umiejętności. A w niektórych specjalistycznych zawodach wyższe wykształcenie nie jest konieczne, wymagane są za to odpowiedni certyfikat lub kwalifikacje. Jednak bez minimum średniego wykształcenia o lepiej płatną pracę dziś trudno.

Gdzie papier nie gra roli

Jednym z zawodów, które kojarzą się ze słowami pieniądze i przebranżowienie, jest programowanie i szeroko pojęta branża IT. Wiele internetowych kursów programowania kusi hasłami o łatwym starcie w dobrze płatnej pracy. Owszem, to branża, w której zarabia się dobrze, ale wólk zarobków programistów narosło w ostatnich latach mnóstwo legend. Nie zmienia to faktu, że programista



to profesja, na którą na rynku pracy jest ogromne zapotrzebowanie. Dlatego umiejętności odgrywają tutaj większą rolę niż piątka na dyplomie inżyniera. W tej branży oprócz wiedzy potrzebne są zapał i doświadczenie. Zarobki mogą spokojnie przekraczać dwukrotność średniej krajowej przy tzw. umowie B2B, gdzie pracownik ma własną działalność gospodarczą.

Wyborcza.biz w zestawieniu pięciu zawodów, w których zarabia się dobrze bez wyższego wykształcenia, umieszcza kontrolerów ruchu lotniczego. Aby zostać kontrolerem, należy zamiast specjalistycznych studiów skończyć kurs organizowany przez Polską Agencję Żeglugi Powietrznej. Jego ukończenie, a także trafiaenie na listę kandydatów do szkolenia, jest bardzo trudne. Kurs trwa nawet dwa lata. Egzamin końcowy zdają nieliczni. Trzeba się wykazać odpornością na stres, logicznym myśleniem czy wyobraźnią przestrzenną. Przekłada się to jednak na zarobki. Według oficjalnych danych miesięczne wynagrodzenie wynosi ok. 12 120 zł brutto, chociaż stawki sięgają 20 tys. zł brutto. W trakcie kształcenia kursanci dostają pensję.

Duże pieniądze wiążą się również z dużym ryzykiem. Spawacze podwodni potrafią zarabiać nawet 17 tys. zł brutto miesięcznie. Cena kursu wynosi między 1,6 a 4 tys. zł.



Aby zostać kontrolerem, należy zamiast specjalistycznych studiów skończyć kurs organizowany przez Polską Agencję Żegluga Powietrznej.

Samych spawaczy jest niewielu – to bardzo wąska specjalizacja, pracuje się pod wodą w skafandrze nurka. Mniej ryzykowne wydaje się popularne w dużych korporacjach stanowisko *executive assistant*, czyli wysoko wykwalifikowanego asystenta. Ów asystent wspomaga pracowników na najwyższym szczeblu przy organizowaniu pracy. Średnie zarobki to 7734 zł brutto.

Duży rozstrzał w wynagrodzeniach widać w zawodzie stewardesy. Wszystko zależy od liczby wylatanych godzin, ale też od linii lotniczej i funkcji na pokładzie. Na pewno trzeba znać języki obce, obowiązkowo angielski, poza tym być w dobrej kondycji i w dobrym zdrowiu. Niektórzy pracodawcy wymagają odpowiedniego wzrostu lub rozpiętości ramion. Rozmówczyni portalu Wyborcza.biz, doświadczona stewardesa, wskazywała, że niektórzy jako personel pokładowy zarabiają 20 tys., a inni na tym samym stanowisku 8 tys. zł.

Tymczasem w budżetówce

Zachwyty nad dwukrotnie większymi zarobkami bez dyplomu mijają szybko, gdy pomyślimy o budżetówce. W sierpniu 2021 r. pisaliśmy z Robertem Walenciakiem na łamach PRZEGŁADU o jej protestach w tekście „Miska ryżu dla

budżetówki” (nr 35/2021). Już wtedy inflacja dopadała portfele pracowników sektora publicznego. Politycy PiS klaskali lekarzom i dali im po dwóch latach pandemii 19 zł podwyżki. W ZUS nadal brakuje ludzi, a warunki pracy są ekstremalne – pracownicy dzielą się nawet słuchawkami, bo brakuje sprzętu. Nauczycielom obiecywano 20% podwyżki od września 2022 r. Niestety, zapowiadana podwyżkę dawno dogoniła inflacja. W tym roku premier w ramach kielbasy wyborczej zapowiedział w całej budżetówce podwyżki od 2024 r. na poziomie 12,3%. Co z tego, skoro nie jest to podwyżka, która wyrównałaby spowodowane inflacją zawyżone koszty codziennego życia?

Zostańmy przy zarobkach nauczycieli, bo to świetny przykład zaniedbywania pracowników przez państwo. Zapowiadana od przyszłego roku podwyżka ma oznaczać, że nauczyciel początkujący zarobi 4143,87 zł, mianowany 4368,47 zł, a dyplomowany 5109,65 zł. Problem w tym, że to kwoty brutto. Początkujący nauczyciel dostanie więc na rękę 3154,93 zł miesięcznie. Płaca minimalna wynosi zaś od lipca 2023 r. 3600 zł, czyli 2783,86 zł netto. Człowiekowi po pięciu latach studiów i kursach, na których zdobywa odpowiednie kwalifikacje, państwo płaci zatem niecałe 400 zł powyżej najniższej krajowej.

Przy takiej dysproporcji zarobków, wobec ogromnej odpowiedzialności pracowników budżetówki – bo nie tylko o nauczycieli chodzi – trudno nie czuć rozgoryczenia lub niechęci do uprawiania zawodu. Dwa lata temu, kiedy inflacja dopiero się rozpędzała, pracownicy budżetówki musieli oglądać podczas zakupów każde 50 zł. O pozwoleniu sobie na coś ekstra nie było mowy.

Za nami białe miasteczko 2.0, czerwone miasteczko i protesty nauczycieli. Prawda jest brutalna – PiS ograło wszystkich i żaden z tych protestów nie wniósł wiele, a na pewno nie poprawił sytuacji finansowej pracowników sektora publicznego. Według wycień GUS z 2019 r. mieliśmy prawie 24% pracowników zatrudnionych w sferze budżetowej. Czas zdać sobie sprawę, że nie są oni opłacani adekwatnie do wykształcenia i ponoszonej odpowiedzialności.

Oczywiście można w wolnorynkowym tonie stwierdzić, że jeśli pracownikom budżetówki jest tak źle, to niech się przebranżowia. Nie możemy jednak oczekiwać, że wszyscy zostaną nagle programistami lub spawaczami głębiny. Jeśli cała budżetówka będzie podążać po równi pochytej, tak jak już to robi polska szkoła, szybko się okaże, że najpierw kształcenie, a potem kolejne usługi publiczne staną się towarami dla wybranych, dostępnym jedynie prywatnie.

Brakuje już prawie 23 tys. nauczycieli. Również szpitalom grozi paraliż, bo jest za mało lekarzy, a przede wszystkim pielęgniarek. Naczelna Izba Pielęgniarek i Położnych w zeszłym roku alarmowała, że do 2025 r. liczba zatrudnionych położnych i pielęgniarek spadnie o 7%, a do 2030 r. nawet o 16%. Na 231 tys. pielęgniarek aż 146 tys. ma ponad 60 lat. Już w 2021 r. do sektora prywatnego masowo odchodzili celnicy... Dziś, w starej-nowej Polsce, czas wreszcie zająć się budżetówką. Inaczej, wbrew zapewnieniom PiS z kampanii wyborczej, ulice zapłoną. Nie podpalą ich jednak imigranci, ale sfrustrowani pracownicy budżetówki. Nie zażdroszczę tym, którzy będą musieli trzymać gaśnicę.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Palestyńczycy po przejściu izraelskiego czołgu, 7 października 2023 r.

Nikt nie jest święty

Obie strony konfliktu izraelsko-palestyńskiego mają swoje motywacje

Jakub Katulski

Kolejna odsłona konfliktu izraelsko-palestyńskiego przerasta przewidywania. Nic więc dziwnego, że jednym z najpopularniejszych określeń w mediach, polskich i innych, jest „beprecedensowa”. Co to jednak znaczy, skoro mowa o trwającym przynajmniej od 1948 r. (a tak naprawdę od drugiej połowy XIX w.) konflikcie, który przyzwyczaił uczestników i obserwatorów do gwałtownych eskalacji, łamania praw człowieka, setek ofiar śmiertelnych i stagnacji politycznej?

Tym razem zmienił się sposób, w jaki nawiązała się walka. Dotychczas, kiedy miało dojść do wymiany ognia między Izraelem a Hamasem, poprzedzał ją okres wzajemnych gróźb, prowokacji i narastania napięcia. Choćby w 2021 r., gdy pretekstem do konfrontacji stały się eksmisje w jerozolimskiej dzielnicy Szajch

Dżarrah, Hamas wydawał ostrzeżenia i stawiał ultimatum, a izraelscy politycy i dowódcy ogłaszali gotowość do operacji. Teraz wygląda na to, że izraelscy wojskowi i wywiad nie zauważyli nadchodzącego ataku.

Nikt nie przewidział

W sobotę 7 października na południową i centralną część kraju spadły pociski rakietowe, częściowo prześlizgując się przez system obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła. Izraelczycy zdążyli już jednak przywyknąć do rakiet z Gazy, przynajmniej częściowo. Nikt natomiast nie podejrzewał, że bojownicy Hamasu dokonają też masowej infiltracji Izraela, porywając się na coś, co można nazwać jedynie ludobójstwem.

Miłośnicy muzyki elektronicznej na festiwalu Supernova liczyli na słoneczny weekend z dobrą zabawą, tymczasem teren festiwalu stał

się celem krwawego zamachu terrorystycznego, który kosztował życie przynajmniej 260 osób. Tyle ciał odkryto, gdy Izraelczycy odzyskali kontrolę nad terytorium, a do rzezi doszło również w dwóch kibucach przy granicy z Gazą. Dziesiątki Izraelczyków, przede wszystkim cywilów, zostało pojmanych i zabranych do Gazy, a w kilkudziesięciu miejscach przez wiele godzin trwały starcia między bojownikami Hamasu i żołnierzami izraelskimi.

Ta sytuacja wymusiła na Izraelu szybką reakcję i niemal od razu usłyszeliśmy o bombardowaniach Strefy Gazy, a także o mobilizacji 300 tys. rezerwistów. Minister Obrony Joaw Galant zapowiedział „pełne oblężenie” Gazy i odcięcie miasta od elektryczności, paliwa, żywności oraz wody, dodając, że Izraelczycy walczą z „ludzkimi zwierzętami”.

Ten dehumanizujący język może oburzać i oburza tych, którzy stanęli

w obronie Palestyńczyków, przekonując, że działalność Hamasu jest w istocie akcją obronną i stanowi odpowiedź na lata okupacji, kolonizacji, blokady morskiej, lądowej i powietrznej Gazy, jak również całą listę innych zbrodni, o które oskarża się Izrael. Izraelczycy jednak też znaleźli swoich obrońców, którzy starają się tak przekierować dyskurs, by przekonać, że w istocie to Izrael broni się od lat przed palestyńskimi terrorystami, biorącymi na cel niewinnych cywilów, a sobotni atak nie był sprowokowany.

Być może rzeczywiście żadne konkretne działanie Izraela nie sprowokowało Hamasu do ataku, który musiał być planowany przez wiele miesięcy, a nawet lat. Nieuczciwe byłoby jednak stwierdzenie, że kolejna konfrontacja była nie do przewidzenia, tym bardziej że w samym tylko 2023 r. obserwujemy rosnącą presję na Palestyńczyków ze strony środowisk osadniczych, policji i kontrolerskiego ministra bezpieczeństwa publicznego Itamara Ben Gwira. Siły izraelskie w różnych zajęciach, nie licząc ostatniej konfrontacji, zabiły 200 Palestyńczyków, co Organizacja Narodów Zjednoczonych uznała za najkrwawszy rok, odkąd 17 lat temu zaczęto liczyć palestyńskie ofiary izraelskiego wojska i policji. Co więcej, to, że odpowiedzialny za działania policji Ben Gwir wywodzi się ze środowiska osadników i w nim znajduje wielu swoich wyborców, ośmieliło część spośród 450 tys. obywateli Izraela mieszkających na Zachodnim Brzegu Jordanu do stosowania przemocy wobec Palestyńczyków. Czasem w ramach prowokacji, a czasem w odwecie za palestyński terroryzm.

Od tego zaczął się w lutym pogrom (jak nazwali sytuację izraelscy wojskowi) w miejscowości Huwara, poprzedzony zabiciem dwóch Izraelczyków przez niezidentyfikowanego dotychczas sprawcę. Osadnicy w akcie zemsty palili domy i samochody, ranna została ponad setka osób, a dwie zginęły. To samo w sobie było haniebnym aktem agresji, a na domiar złego ledwie kilka dni później, podczas radosnego święta Purim, media społecznościowe obieły nagrania, na których widać żołnierzy tańczących i cieszących się

wraz z osadnikami właśnie w miejscu, gdzie doszło do pogromu.

Wzgórze Świątynne

Pewnie można to uznać za ledwie incydent, ale w tym roku różnych incydentów zdarzyło się więcej. Na teren Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie kilkakrotnie wkraczała izraelska policja. W kwietniu szturmowała nawet meczet Al-Aksa, jedno z najświętszych miejsc islamu, kluczowe dla palestyńskiej tożsamości narodowej. Funkcjonariusze przekonywali, że wkroczyli do meczetu, bo w środku zabarykadowały się grupy uczestników zamieszek z kamieniami i niebezpiecznymi narzędziami, którymi później atakowali policjantów. Wówczas Hamas, w odpowiedzi na akcję policji, wystrzelił kilka rakiet w kierunku Izraela, choć nie doszło do pełnej konfrontacji.

W samym 2023 r. obserwujemy rosnącą presję na Palestyńczyków ze strony środowisk osadniczych, policji i ministra bezpieczeństwa publicznego.

Wzgórze Świątynne jest miejscem o tyle kontrowersyjnym, że to tu mieściła się Świątynia Jerozolimska, zburzona przez Rzymian w 70 r. n.e. Znaczna część Żydów, zwłaszcza wierzących, nie wstępuje na teren wzgórza, obawiając się, że niechcący wkroczą na obszar Kodesz ha-Kodaszim, sanktuarium, do którego może wchodzić tylko najwyższy kapłan. Część środowisk żydowskich chciałaby jednak odbudowania świątyni. A to wymagałoby wyburzenia meczetu Al-Aksa i Kopuły na Skale, najstarszego przykładu architektury muzułmańskiej, z końca VII w.

Status quo zakłada, że Żydom wolno odwiedzać Wzgórze Świątynne, ale nie mogą tam się modlić ani odprawiać obrzędów religijnych. Na mocy umowy Izraela z muzułmańskim urzędem sprawującym pieczę nad tym obiektem i jordańskim królem, uważanym za strażnika miejsc świętych w Jerozolimie, prawo do modlitwy na Wzgórzu Świątynnym przysługuje jedynie muzułmanom. Jednak przy okazji wszystkich

większych świąt żydowskich środowiska ekstremistyczne zapowiadają różne symboliczne rytuały, których korzenie sięgają czasów Drugiej Świątyni. Nie inaczej było podczas październikowego święta Sukkot, kiedy w zasadzie od niedzieli 1 października codziennie dochodziło do prowokacji ze strony środowisk osadniczych. Niekiedy interweniowała policja w celu uspokojenia nastrojów. Najwyraźniej bezskutecznie, bo kilka dni później rozpoczęła się trwająca do teraz konfrontacja, a Mohammed Deif, głównodowodzący brygad Izz ad-Din al-Kassam, zbrojnego skrzydła Hamasu, przekazał palestyńskim mediom, że operacja Hamasu jest aktem zemsty za „zbezczeszczenie” meczetu Al-Aksa.

Trudno powiedzieć, co mogło być celem ataku, poza dość mglistym oświadczeniem o „zemście”. Bojownikom Hamasu udało się pojmać

nawet 150 osób, przede wszystkim cywilów. Może tak wielka liczba nie była ich celem, ale organizacja zapowiedziała, że wymieni ich na palestyńskich więźniów politycznych osadzonych w izraelskich więzieniach. A tych jest ponad 5 tys., z czego nawet jedna czwarta została zatrzymana na podstawie „aresztów administracyjnych”, bez postawienia zarzutów. I za to Izraelowi obrywa się od międzynarodowych i krajowych organizacji broniących praw człowieka i państwa prawa.

Być może Izrael nie zdecyduje się na zwolnienie wszystkich więźniów politycznych, ale jeśli dojdzie do negocjacji, z pewnością będzie skory do wymiany, tym bardziej że już w przeszłości wymieniał ogromne liczby więźniów nawet za jednego jeńca. Sam tylko kpr. Gilad Szalit, pojmany w 2006 r., po pięciu latach został wymieniony na ponad 1 tys. więźniów.

Gdyby jednak Izraelczycy zdecydowali się na operację lądową w Strefie Gazy, to zasady gry między Izraelem a Hamasem mogłyby się zmienić, ▶

► a niewykluczone, że właśnie po to powołano pod broń 300 tys. rezerwistów. Wchodząc do Gazy, izraelscy żołnierze muszą się liczyć z tym, że nie tylko bojownicy Hamasu czy bardziej radykalnego Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu będą z nimi walczyć w ufortyfikowanym miejskim terenie. Gaza jest bowiem gęsto zaludnionym miastem, zamieszkanym przez 2 mln Palestyńczyków (przede wszystkim), sfrustrowanych trwającą od lat blokadą nałożoną przez Izrael do spółki z Egiptem.

Palestyńczycy niekoniecznie widzą w Hamasie to, co przedstawiają izraelskie i zachodnie media. Islamski Ruch Oporu (jak brzmi w tłumaczeniu pełna nazwa Hamasu) jest dla nich nie tylko ugrupowaniem zbrojnym,

jest ziemią przodków, obiecaną im przez Boga w świętych księgach judaizmu. Nawet niewierzący Żydzi swoją tożsamość narodową opierają na koncepcjach pochodzących z Tory. Żyd z Nowego Jorku, Londynu, Moskwy, Kijowa czy Krakowa nie przyjeżdża bowiem do Jerozolimy jak do obcego kraju. Wierzy, że wraca do domu, należącej mu się ziemi, o którą gotów jest walczyć z Palestyńczykami, którzy w jego mniemaniu często są nielegalnym okupantem.

Tak swoje działania motywuje ruch osadniczy, a ich efektem jest powstawanie coraz to nowych żydowskich osiedli (w dużej mierze nielegalnych nawet w świetle izraelskiego prawa) na Zachodnim Brzegu. Frustruje to mieszkających tam Palestyńczyków,

mieszkańców regionu, którzy nie ufają już starszym panom z Fatahu układającym się z Izraelem.

Jeśli jednak Palestyńczycy nie ufają Izraelczykom, to co można powiedzieć o Izraelu, który ma za ścianą (dosłownie) wroga ostrzeliwującego jego miasta? Izraelczycy obawiają się, że jeśli oddadzą Palestyńczykom Zachodni Brzeg, stanie się z nim to samo, co ze Strefą Gazy, gdy Hamas przejął w niej władzę w 2007 r. W tym leży sekret Beniamina Netanjahu, który może i jest oskarżany o korupcję i nadużycie władzy, ale dotychczas potrafił przekonać obywateli, że tylko on może zapewnić im bezpieczeństwo i uchronić przed rzezią ze strony Hamasu. Po ataku z 7 października będzie to o wiele trudniejsze i może skłonić izraelskich polityków do bardziej ryzykownych posunięć wobec Palestyńczyków.

Kolejna odsłona konfliktu izraelsko-palestyńskiego pokazuje głównie, że status quo, oparte na przeciąganiu procesu pokojowego, trzymaniu Strefy Gazy pod blokadą i zarządzaniu Zachodnim Brzegiem jak terytorium okupowanym, przy jednoczesnym przekonywaniu światowej opinii publicznej, że nie ma mowy o żadnej okupacji tego obszaru, jest niemożliwe do utrzymania, a nawet nierozsądne. Blokada Gazy i trzymanie reszty Autonomii Palestyńskiej pod wojskową kontrolą nie zapewnia Izraelczykom bezpieczeństwa, a obie strony konfliktu demoralizuje na tyle, że chętnie stosują wobec wroga przemoc, nawet bestialską.

Proces będzie musiał ruszyć w jedną lub drugą stronę – albo Palestyńczycy otrzymają własne państwo (bo ich organizacje zbrojne nie będą w stanie go wywalczyć), albo izraelscy politycy zdecydują się na aneksję terytoriów (być może dlatego, że Palestyńczycy skapitulują, choć to mało prawdopodobne). Obie opcje są ryzykowne i kosztowne. Żadna nie ucieszy wszystkich stron. Każdy będzie musiał pójść na przykre kompromisy i nie ma gwarancji, że w ten sposób uda się zapewnić bezpieczeństwo ludziom czy granicom. Nie ma jednak wyjścia, gdyż dotychczasowe podejście do konfliktu już się wyczerpało.

Jakub Katulski

Część spośród 450 tys. obywateli Izraela mieszkających na Zachodnim Brzegu Jordanu poczuła się ośmielona do stosowania przemocy wobec Palestyńczyków.

które zajmuje się wyłącznie ostrzeliwaniem izraelskich cywilów i organizowaniem zamachów bombowych. Hamas to organizacja powstańcza, walcząca przeciwko okupacji i zagranicznemu wpływowi.

Ciało obce

Palestyńczycy nie widzą w Izraelu sąsiadów, którzy ich zaatakowali. Dla nich izraelscy Żydzi są ciałem obcym, przybyszami, którzy zaczęli napływać do regionu pod koniec XIX w., uciekając przed europejskim antysemityzmem, by następnie dostać od Brytyjczyków i innych potęg międzynarodowych kraj jako zaślubienie po okrucieństwach II wojny światowej, lecz kosztem Arabów zamieszkujących Palestynę nieprzerwanie przez kilkadziesiąt lat. Jest to obraz zdecydowanie uproszczony i nieukazujący wszystkich niuansów, ale stanowi podstawę palestyńskiego mitu narodowego i wyjaśnienie dziejowych niesprawiedliwości, które spowodowały, że Palestyńczycy wciąż nie mają własnego niepodległego państwa.

Izraelczycy oczywiście nie zgadzają się z taką wizją. Dla nich Erec Jisrael

bo widzą, jak kurczy się obszar, na którym mogłoby w przyszłości powstać ich państwo. Dzisiaj zdaje się, że Zachodni Brzeg, poprzecinany siecią dróg i odgradzonych enklaw niedostępnych dla Palestyńczyków, nie będzie w stanie podtrzymać żadnego samodzielnego państwa.

Porozumienia z Oslo z 1993 r. dały obu stronom nadzieję na zmianę sytuacji, wyrównanie rachunku krzywd i nastanie sprawiedliwości. Po 30 latach wyrosło pokolenie Palestyńczyków sfrustrowanych ciągłym „procesem pokojowym”, który w ich oczach jest martwy. Być może już tylko politycy Fatahu, władającego w strefach A i B Zachodniego Brzegu (na niecałych 40% terytorium), wraz ze starszymi sympatykami, nadal wierzą w porozumienie dwupaństwowe i w to, że negocjacje mogą doprowadzić do trwałego rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Badania opinii publicznej prowadzone wśród Palestyńczyków przez lokalne i zagraniczne instytucje wskazują, że są oni w dużej mierze skorzy porzucić ustalenia z Oslo, a nawet wrócić do walki zbrojnej przeciwko Izraelowi. Hamas i Palestyński Islamski Dżihad odpowiadają więc na potrzeby tych sfrustrowanych

Zwycięzcą konfliktu Izraela z Hamasem będzie Iran

Dla rządu ajatollahów ważniejszy jest upadek Izraela niż powstanie Palestyny

Marcin Giełzak

Gdyby konflikt izraelsko-palestyński sprowadzał się wyłącznie do rywalizacji między tymi dwoma narodami o miejsce pod słońcem, zapewne już dawno zostałby zakończony kompromisem. Jeśli uważamy, że Żyd urodzony w Nowym Jorku ma prawo do ojczyzny w Lewancie, to tym bardziej ma je Palestyńczyk, który przyszedł na świat w Jerozolimie. Sytuacja ta jest jednak dużo bardziej złożona, bo nieustępliwość Izraelczyków żyruje potęgą Stanów Zjednoczonych, a beznadziejny opór Palestyńczyków podtrzymują zmienne koalicje najważniejszych państw bliskowschodnich.

Wielu było obrońców sprawy okupowanego ludu, bo i niejeden bliskowschodni przywódca uznał, że Bóg mu powierzył honor wyznawców proroka; honor splamiony klęską 1948 r., kiedy rodzące się państewko żydowskie rozbiło armię siedmiu narodów, a ich współbraci i współwyznawców uczyniło uchodźcami we własnym kraju. Na czempionów walki narodowowyzwoleńczej kreowali się Gamal Abdel Naser, Anwar as-Sadat, Muammar Kaddafi, Hafiz al-Asad i Saddam Husajn. Jedni robili to szczerze, drudzy z wyrachowania, jeszcze inni jakby z musu, obowiązku nałożonego na nich przez oczekiwania „arabskiej ulicy”, dla której kwestia palestyńska stała się sprawą tożsamościową. Mimo przelewania krwi i też, wykorzystywania ołowiu i ropy ani Izrael nie upadł, ani Palestyna nie powstała.

Tam, gdzie zawiedli Arabowie i panarabizm, zaczęli próbować szczęścia Persowie i panislamizm.



Wiec poparcia dla Palestyńczyków w Teheranie, 7 października 2023 r.

Iran to późny nabytek świata muzułmańskiego w antyizraelskiej świętej wojnie. Stolice obu krajów są od siebie oddalone o jakieś 2 tys. km, a brak wspólnej granicy sprzyja przyjaźni między narodami. Tym silniej łączą je wspólny wróg (oba państwa czuły się zagrożone przez arabskich sąsiadów) oraz interes (Izraelczycy kupowali na potęgę irańską ropę naftową). W tym kontekście nie powinno dziwić, że Teheran de facto uznał państwo żydowskie w marcu 1950 r., utrzymywał z nim mniej lub bardziej jawne relacje dyplomatyczne, handlowe, a nawet wojskowe i wywiadowcze. Wszystko to zmieniła rewolucja islamska w 1979 r. Z dnia na dzień Izrael stał się wrogiem ideologicznym, „małym szatanem” u boku amerykańskiego „wielkiego szatana”.

Jak przystało na lud, który wymyślił szachy, Irańczycy zabrali się do pracy w sposób niepozabawiony

zmysłu taktycznego i strategicznej cierpliwości. Teheran nie zakłada, że da się powalić przeciwnika frontalnym uderzeniem ani nawet długotrwałą wojną konwencjonalną na wyniszczenie.

Zamiast tego reżim ajatollahów od 38 lat prowadzi różnymi metodami walkę hybrydową przeciw Izraelowi. Zwycięstwo ma w niej dać nie jedno czyste cięcie, ale 10 tys. skaleczeń. Wydarzenia, które już dziś nazywa się wojną Izraela z Hamasem, wpisują się w ten scenariusz. Tym razem jednak nie o skaleczeniach powinniśmy mówić, lecz o głębokiej i jętrzącej się ranie, którą Teheran zadał „pożyczonym nożem”, czyli poprzez swojego klienta – Hamas. Choć ten ostatni ma też innych nieformalnych sojuszników (na czele z Katarą), najważniejsze dla niego są pieniądze, broń, szkolenie i informacje wywiadowcze ▶

► uzyskiwane od Iranu. Ale klient nie znaczy powolny sługa. Koordynacja nie oznacza podległości. Przywództwo Hamasu, w przeciwieństwie do liderów znacznie bardziej zdyscyplinowanego pod tym względem Hezbollahu, potrafiło skonfliktować się z perskim dobroczyńcą, choćby na tle jego poparcia dla Baszara al-Asada w czasie wojny domowej w Syrii. Trzeba także pamiętać, że obu graczy religia nie łączy, lecz dzieli: Iran jest szyicki, Hamas sunnicki. Jeśli jednak ktokolwiek może wpływać na politykę tej organizacji, tym kimś jest Teheran. Stany Zjednoczone, wysyłając lotniskowiec na wschodnie Śródziemnomorze, komunikują się z Teheranem, nie z Hamasem. Patrona i klienta ponad wszystko łączy zaś wspólny wróg, Izrael, oraz zgoda co do metod walki z nim. Przejawy niezależności wyrażać się mogą głównie w „antysyjonistycznej” nadgorliwości,

Celem jest rozbicie nie armii, ale społeczeństwa. Wymęczona i demoralizowana ludność ma zacząć naciskać na swoje elity polityczne i wojskowe, aby prowadziły politykę pasywną i ustępliwą, która byłaby zgubą dla państwa. Zanim to jednak nastąpi, należy się spodziewać brutalnych akcji odwetowych Tel Awiwu – to również część irańskiego planu. Jest w interesie reżimu ajatollahów, aby zginęło jak najwięcej palestyńskich cywilów oraz by warunki życia w Strefie Gazy stały się jeszcze gorsze, choć to już teraz więzienie pod gołym niebem. Taki bieg wypadków wykołei bowiem proces normalizacji stosunków między państwem żydowskim a światem muzułmańskim.

Ścieżka, na którą weszły Egipt, Sudan, Bahrajn czy Maroko, zamyka się właśnie przed Arabią Saudyjską, która najpewniej wycofa się z historycznego porozumienia z narodem,

i Icchak Rabin należeli do Międzynarodówki Socjalistycznej. Partia Pracy miała w swoich szeregach muzułmanów, Fatah przyjmował chrześcijan, jedni i drudzy akceptowali ateistów oraz agnostyków. Obecnie trwały pokój jest niemożliwy, bo nie chcą go sfanatyzowane „partie Boga” po obu stronach. Iran musi obserwować z satysfakcją, jak radykalizacja przechodzi w przemoc, a przemoc w chaos, nad którym zapanować można tylko siłą. O ile więc wątpliwe, aby w irańskim „pierścieniu ognia” zginęło państwo żydowskie, o tyle coraz donośniejsze stają się głosy, że może w nim przepaść izraelska demokracja. Żydowską twierdzą dowodzi już nie prawica, lecz skrajna prawica, na tle której historyczni przywódcy, tacy jak Ariel Szaron czy Icchak Szamir, wyglądają na gołąbki pokoju i centrystów.

Ciężka ręka Beniamina Netanjahu i stojącej za nim koalicji skutkuje tym, że coraz trudniej będzie popierać Izrael w szeroko rozumianym świecie zachodnim. Problemy z praworządnością i brutalne akcje odwetowe, w których bez problemu stosowana jest odpowiedzialność zbiorowa, sprawiają, że Izrael zaczyna przypominać typową bliskowschodnią satrapię. Dodajmy do tego niekorzystne dla nacjonalistów zmiany demograficzne (Żydzi będą w przewidywalnej przyszłości mniejszością w swoim państwie i na terenach okupowanych) i ogromną presję zbrojną na granice, a ryzyko, że Izrael przestanie być demokracją, nabiera kształtu.

Równocześnie pogromowy charakter działań Hamasu, których symbolem stały się zwłoki zgwałconych kobiet prezentowane dumnie jako trofea wojenne czy doniesienia o zdekapitowanych noworodkach w kibucach, nie pozwala na razie myśleć o wznowieniu procesu pokojowego. Na to nakłada się narastające zubożenie na sprawę palestyńską wśród elit państw arabskich oraz instrumentalne jej traktowanie przez Iran. Niepodległość nigdy dotąd nie wydawała się tak odległą perspektywą. Bez względu na to, co przyniosą kolejne dni, Izrael i Palestyna już przegrały. Jedyńm zwycięzcą jest Iran.

Marcin Giełzak

Dla Hamasu najważniejsze są pieniądze, broń, szkolenie i informacje wywiadowcze uzyskiwane od Iranu.

a tej nikt nie będzie bojownikiem wypominat.

Prasa nazwała irański plan starcia z Izraelem „pierścieniem ognia”. Sprowadza się on do otoczenia nieprzyjaciela rozlokowanymi na terenie Libanu, Syrii i w samej Strefie Gazy siłami paramilitarnymi, uzbrojonymi w nowoczesny sprzęt (rakiety, drony, systemy naprowadzania) i przeszkolonymi w zakresie niekonwencjonalnych technik walki (niedawne ataki z użyciem parolotni). Wszystko po to, aby móc razić cele na terenie całego kraju: od osiedli mieszkalnych po infrastrukturę krytyczną. Izraelczycy mają żyć w przekonaniu, że długie ramie Iranu w postaci połączonych sił Hamasu, Hezbollahu oraz Islamskiego Dżihadu może uderzyć, gdzie i kiedy chce, a od ich terroru nie będzie wytchnienia. Nawet takie systemy obrony powietrznej jak Żelazna Kopuła nie będą w stanie przechwycić rakiet. Mało tego, nawet powszechnie podziwiane służby specjalne Izraela nie przewidziały ostatniej serii starannie przygotowanych ataków, w których zginęło ponad 900 osób.

który na oczach miliarda wiernych bombarduje cywilne dzielnice na Zachodnim Brzegu. Antyirańskie porozumienie ponad podziałami rozpada się, zanim na dobre się zawiązało. Zagognianie konfliktu z Izraelem służy też nadrzędnemu celowi eksportu rewolucji islamskiej, bo sprzyja wstępowaniu, szczególnie młodych, w szeregi organizacji zbrojnych i partii głoszących dżihad. Metodę tę przeciwiczono w latach 90. Po układach z Oslo, kiedy pokój wydawał się w zasięgu ręki, reżim ajatollahów nie tylko zwiększył finansowanie i dostawy broni dla terrorystów, ale również nauczył ich produkcji pasów szahida, popychając ruch antyokupacyjny w stronę taktyki zamachów samobójczych. Wola, interesy, a nawet życie Palestyńczyków czy polityka legalnych władz Autonomii były tu bez znaczenia. W wojnie Iranu z „reżimem syjonistycznym” są to pionki, które wolno poświęcić.

Zgodna z intencją Teheranu wojna bez końca zniszczyła izraelską oraz palestyńską lewicę, czyli jedyne siły, które szczerze dążyły do pokoju na bazie *two-state solution*. Jasir Arafat

Co robi Ameryka?

Martwa doktryna Bidena

Ukrainę, Izrael, Arabię Saudyjską i Tajwan coś łączy



Sekretarz stanu USA Antony Blinken (z lewej) zapewnił premiera Beniamina Netanjahu o poparciu Stanów Zjednoczonych dla Izraela. Tel Awiw, 12 października 2023 r.

Urzędująca administracja będzie jednak, cokolwiek by zrobiła, krytykowana z prawej i z lewej strony za decyzje z ostatnich lat. A związek Waszyngtonu i Tel Awiwu wciąż jest zbyt bliski, by którakolwiek administracja, demokratyczna czy republikańska, mogła wygodnie się zdystansować od wojny izraelsko-palestyńskiej. To zwraca naszą uwagę na ciekawy paradoks. Właśnie po to Joe Biden kontynuował Trumpowską politykę porozumień abrahamowych i regionalnej normalizacji stosunków, by móc kiedyś powiedzieć, że Bliski Wschód ma już sojusze, infrastrukturę bezpieczeństwa i dość stabilności, aby walczyć z terroryzmem i wpływami Iranu bez prowadzenia za rękę przez Amerykanów. By Ameryka mogła nie tyle Bliski Wschód opuścić, ile zerwać z praktyką „mikrozarządzania” i bycia pośrednikiem, brokerem, patronem i rozjemcą w kolejnych sporach.

Jakub Dymek

„Po niespodziewanym ataku Hamasu na Izrael podrożały akcje firm zbrojeniowych, w tym Lockheed Martin, Northrop Grumman i General Dynamics. Cena ropy skoczyła do 86 dol. za baryłkę, w pewnym momencie przebijając pułap 5% wzrostu. Odbija się także branża energetyczna”. Aż chciałoby się, aby rzeczywistość była tak prosta i jednoznaczna jak ten giełdowy komentarz z otwarcia poniedziałku na amerykańskich parkietach.

Jaka więc jest reakcja USA na atak Hamasu i deklarację premiera Beniamina Netanjahu: „Jesteśmy w stanie wojny”? Chaotyczna, zawila i ściśle związana z krajową polityką oraz trwającą prekampanią. Publicznie dyplomaci i administracja deklarują całkowitą, bezwarunkową

i jednoznaczną solidarność z Izraelem i polityką Tel Awiwu. Za kulisami, wszystko na to wskazuje, dążą do powstrzymania najradykalniejszych instynktów izraelskiej prawicy i irańskich ajatollahów, by lokalny krwawy konflikt nie przerodził się w wojnę regionalną. Nawet

Reakcja USA na atak Hamasu jest tak naprawdę chaotyczna, zawila i ściśle związana z krajową polityką.

najbardziej antyamerykańscy komentatorzy nie przekonują, że to coś, czego Waszyngton sobie życzył, ani że Biden na tym skorzysta. (Nie brakuje za to podobnych ocen wobec samego premiera Netanjahu, który oskarżany jest przez prasę w kraju i za granicą o hodowanie Hamasu i ignorowanie ostrzeżeń do granic sabotażu).

Paradoks polega tu na tym, że ceną za porozumienie Arabii Saudyjskiej z Izraelem miało być rozwiązanie dwupaństwowe bądź jakakolwiek niezależność i nadzieje na przyszłą niepodległość Palestyńczyków. Administracja Trumpa nawet tego celu nie ukrywała, popierając choćby przeniesienie ambasady do Jerozolimy. Administracja Bidena tę ▶

► w najlepszym razie ryzykowną politykę przejęła, prac – przy sprzeciwie lewicowych krytyków Bidena i części środowisk zajmujących się polityką zagraniczną – do normalizacji między Arabią Saudyjską i Izraelem.

Biden, który w kampanii obiecywał zepchnięcie Rijadu i księcia Muhammada ibn Salmana do pozycji pariasów, odwrócił swoją politykę wobec kłopotliwego sojusznika o 180 stopni. Inwazja Rosji na Ukrainę spowodowała, o czym pisałem na tych stronach od marca 2022 r., że Saudowie znów stali się obiektem umizgów i pielgrzymek, bo tylko eksport arabskiej ropy mógł pomóc USA i Europie utrzymać proukraińską koalicję. Wskutek tego Biden, który w trakcie kampanii głosił hasła izolowania autokratów, chcąc nie chcąc, zaczął dogadzać ibn Salmanowi i Netanjahu, wysyłając czytelne sygnały, że pójdzie na wiele, byle dokończyć proces normalizacji za swojej kadencji. Saudowie licytowali zaś wysoko, domagając się gwarancji wojskowych od USA lub nawet zgody na ich

własny program atomowy i dostęp do najnowocześniejszych technologii w zamian za zerwanie zмовы cenowej z Rosją. Biden, jak się wydaje, z każdym miesiącem jest bliższy kolejnych ustępstw i spełnienia wszystkich żądań Rijadu.

Te sygnały odczytywali jednak również Palestyńczycy. W tym oczywiście

Berlin, Bruksela), ale i bliskowschodnich sojuszników wobec dwóch wojen i kryzysów humanitarnych.

Co to oznacza? Że im bliżej końca kadencji Bidena i wyborów 2024 r., tym bardziej będzie rosła presja, by choć jedną wojnę zakończyć. Ukraina i Izrael są związane w więcej niż jednym wymiarze.

Premier Netanjahu oskarżany jest przez prasę w kraju i za granicą o hodowanie Hamasu i ignorowanie ostrzeżeń do granic sabotażu.

liderzy Hamasu, którzy najprawdopodobniej uznali, że dogadanie się Rijadu i Tel Awiwu pogrzebie na dekady, jeśli nie na zawsze, nadzieje na palestyńskie państwo. I postanowili zaatakować, w nadziei, że uda im się zaszkodzić procesowi normalizacji, podburzyć przeciwko niemu arabską ulicę i sprowokować Izrael do takiej brutalności, że Zachód zacznie się od niego dystansować. I oto jesteśmy w tym momencie, w którym administracja USA zarządza oczekiwania- mi już nie tylko europejskich (Kijów,

Pierwszy powód jest natury politycznej. Prezydent Biden nie chce zostawiać rozwiązania kwestii inwazji Rosji na Ukrainę i normalizacji stosunków Izrael-Arabia Saudyjska rządowi republikańskiemu. Demokraci mają bowiem uzasadnione przekonanie, że efekty działań kolejnej administracji Trumpa będą jednoznacznie gorsze (choć na marginesie można spytać: gorsze dla kogo?). Biden i jego otoczenie zakładają przecież, że na froncie europejskim Trump wycofa wsparcie militarne dla Ukrainy

**Te mamy
nas potrzebują**

Ми потрібні
цим мамам

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie



www.pmm.org.pl



Polska Misja
Medyczna

w dotychczasowym zakresie i otwórz rozmowy z Rosją. Na froncie bliskowschodnim przeciwnie – da Izraelowi i Arabii Saudyjskiej wolną rękę, niech sięgają po dowolnie brutalne rozwiązania militarne, byleby jedni i drudzy kupowali dość amerykańskiego uzbrojenia.

Drugi powód dotyczy poparcia społecznego. Choć większość wyborców i sympatyków Partii Demokratycznej popiera dzisiaj dozbieranie Ukrainy, a istotny odsetek domaga się zwiększenia wsparcia, Biden ma inny problem. Nie jest w stanie bronić swoich osiągnięć w polityce wewnętrznej: dobrej sytuacji na rynku pracy, skutecznej walki z inflacją czy postępów zielonych inwestycji. Badania pokazują, że publika nic sobie nie robi z osiągnięć prezydenta w tej dziedzinie. Według najnowszych sondaży dla AP i Agencji Reutera tylko 34-36% Amerykanów uważa, że Biden radzi sobie z gospodarką, najważniejszą dla ogółu wyborców sprawą tego cyklu wyborczego. W obliczu przeciągających się wojen Biden prędzej czy później zostanie skonfrontowany przez republikanów (i część własnych wyborców) z trudnymi pytaniami o to, komu chce pomóc bardziej: Izraelowi, Ukrainie, Tajwanowi, saudyjskiej monarchii czy może Amerykanom.

Najnowsze badanie YouGov wskazuje, że aż 60% sympatyków republikanów chce ograniczenia wsparcia militarnego dla Ukrainy. Postawy republikańskich kandydatów w większości odzwierciedlają oczekiwania prawicowej bazy wyborców. Przed wyborami generalnymi w 2024 r. Biden powinien mieć jakiś sukces w polityce międzynarodowej, którym mógłby się pochwalić i uzasadnić wydatki oraz uwikłanie w cudze wojny. W rzeczywistości amerykański przemysł na wojnie w Ukrainie zarabia, a pomoc nie ma wymiaru charytatywnego, ale dla krytyków Bidena i dużej części wyborców to nie ma znaczenia. Uważają, że Ameryka przeznacza cenne zasoby i wielkie kwoty na przedłużający się konflikt gdzieś na peryferiach imperium, bo z tej perspektywy Ukraina jest dużo dalej niż Izrael i Tajwan. Dodatkowo emocje te podgrzewa wąska, ale dość wpływowa grupa konserwatywnych

intelektualistów i republikańskich polityków przekonanych, że wspomaganie Ukrainy odbywa się kosztem Tajwanu. Teraz ich argumenty przeciwko polityce Bidena wzmocni kwestia pomocy zbrojeniowej dla Izraela.

Trzeci powód wywodzi się zaś wprost z tego sporu. Czy USA mają nieograniczone zasoby, czy jednak imperatyw wspierania i Ukrainy, i Izraela, i Arabii Saudyjskiej, i Tajwanu, i wszystkich innych sojuszników dojdzie kiedyś do ściany? USA jako dysponent rezerwowej waluty świata nie muszą specjalnie się przejmować finansowym aspektem nawet dwóch równoległych konfliktów, ale pod względem produkcji amunicji czy eksportu energii istnieją realne ograniczenia.

Amerykański przemysł na wojnie w Ukrainie zarabia, a pomoc nie ma wymiaru charytatywnego, ale dla krytyków Bidena i dużej części wyborców to nie ma znaczenia.

Wiemy już, że postulat części amerykańskich konserwatystów i lewicy, by pomaganie Ukrainie zostawić Europie, jest mrzonką, przejawem myślenia życzeniowego lub złej woli. Po pierwsze, Europa już udziela Ukrainie dużo większej pomocy finansowej i humanitarnej niż USA i ponosi większy tego koszt, obciążający jej obywateli i gospodarkę. Po drugie, nawet gdyby była wola po stronie Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, by wziąć na siebie obowiązek dostarczania Ukrainie zapasów amunicji, to nie ma takich możliwości technicznych ani potencjału. To zaś tworzy jeszcze jedną oś nacisku na Bidena, by dopuścić zamrożenie lub rozwiązanie dyplomatyczne jednego z konfliktów, choćby po to, aby skupić wysiłki gdzieś indziej.

I powtórzmy: także dlatego, by Biden mógł wejść w kolejną kadencję z lepszym bilansem „wiecznych wojen” niż ten, z którym zaczął obecną. Joe Biden odziedziczył po Trumpie i poprzednich administracjach wojnę w Afganistanie (a szerzej całą „wojnę z terrorem”) i obietnicę jej zakończenia. Obietnicę, której dużym kosztem wizerunkowym dotrzymał. Jednak

inwazja Rosji, a teraz atak Hamasu wciągnęły Waszyngton w dwa kolejne spory, które mogą eskalować. Biden raczej nie marzy o sytuacji, w której pod koniec sprawowania urzędu wypada gorzej niż Trump. Ten drugi bowiem straszył co najmniej kilkoma wojnami, ale żadnej nie udało mu się wszcząć. Biden – przeciwnie, obiecał wojny kończyć, a ryzykuje wejście w nie na kolejne lata.

Dlatego właśnie Izrael, Ukraina, Arabia Saudyjska (i do pewnego stopnia Tajwan) mają ze sobą więcej wspólnego, niż na pierwszy rzut oka się wydaje, i dlatego reakcja Bidena jest z pozoru tak niejednoznaczna. Republikańscy krytycy powiedzą, że to wszystko dlatego, że był dla Iranu, Rosji i Chin zbyt łagodny. Lewicowi

zaś odwrotnie, że właśnie kontynuacja Trumpowskiej polityki zrobiła bardzo dużo dla powstania osi Moskwa-Teheran-Pekin i uprawdopodobniła atak Hamasu. A po drodze uśmierciła doktrynę Bidena – z demokracjami przeciwko autokratom o nowy „długi pokój” i zimną wojnę z Chinami. Na razie Biały Dom został skazany na zarządzanie więcej niż jedną wojną zastępczą, mając w opozycji republikanów żądnych kolejnych konfliktów – z Iranem i w dalszej perspektywie z Chinami. Czy to wymusi na Bidenie zamknięcie choć jednego frontu przed wyborami? Bardzo możliwe.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl





Wyspa iluzji

Brexit miał przywrócić Brytyjczykom
status potęgi, zamiast tego przyniósł
pełzającą katastrofę

Mateusz Mazzini

Kiedy trzy tygodnie temu Wołodymyr Zełenski grzmiał na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, że niektórzy zachodni przywódcy pozorują wsparcie dla Ukrainy, i żądał odebrania Rosji prawa weta w Radzie Bezpieczeństwa, świat słuchał uważnie, choć nie cały. Za oceanem z oczywistych przyczyn zabrakło Władimira Putina, który w światowej dyplomacji jest już absolutnym pariasem, oraz Xi Jinpinga, który swoje interesy załatwia za pomocą układów bilateralnych albo forów alternatywnych dla porządku liberalnego, takich jak BRICS+.

Mało zrozumiała była jednak nieobecność Rishiego Sunaka, premiera kraju, który przez ostatnie półtora roku szczycił się byciem, zresztą

razem z Polską, w forpoczcie bezwarunkowo pomagających Ukraińcom w walce z rosyjską inwazją. Zamiast odgrywać rolę głośnika dla apeli ukraińskiego prezydenta, przy okazji wzmacniając własną pozycję w nowym, mniej stabilnym układzie sił na świecie, Sunak wolał zostać w Londynie. W tym samym momencie, w którym Zełenski wchodził na podium w Nowym Jorku, brytyjski szef rządu robił to u siebie. I zaszokował większość komentatorów, nawet tych z tradycyjnie konserwatywnego „The Telegraph”, anonsując odwrót od zeroemisyjności brytyjskiej gospodarki. To wiadomość o tyle ważna także z międzynarodowego punktu widzenia, że Brytyjczycy lubili się chwalić ekologicznymi ambicjami i aspiracjami do światowego przywództwa w tej sprawie. Zorganizowany przez nich w 2021 r.

w Glasgow szczyt COP26 doprowadził do zadeklarowania przez 140 krajów, odpowiadających za 90% globalnego PKB, odejścia od paliw kopalnych. Brytyjska prezydencja największej konferencji klimatycznej była potem wykorzystywana jako sukces propagandowy, jeden z (niewielu) nośników przekazu, że oto Brytania wymyśla się na nowo. I wraca tam, gdzie jej miejsce – na szczyt, jako globalna potęga, w dodatku całkowicie niezależna, wolna od biurokratycznej kotwicy Brukseli.

Papiery rozwodowe

Rozwód z Unią Europejską nastąpił już prawie cztery lata temu. Slogan jego propagatorów, sformułowany jeszcze na potrzeby kampanii referendalnej z 2016 r., zapowiadał „odzyskanie kontroli” przez władze w Londynie. Postunijna rzeczywistość miała uwolnić potencjał brytyjskiej gospodarki, otworzyć ją na nowe rynki zbytu, a przede wszystkim powstrzymać rzekomo niekontrolowany napływ migrantów na Wyspy. Zyskać mieli wszyscy obywatele królestwa, konserwatyści ryzyka właściwie nie dostrzegali. A tam, gdzie było ono oczywiste, maskowano je kampanijnymi kłamstwami.

Takimi jak kompletnie zmyślane hasło o „350 mln funtów tygodniowo dla służby zdrowia”, które miały się pojawić dodatkowo w brytyjskim budżecie po wyjściu z Unii.

Jeśli nawet to nie działało, spuszczano z łańcucha najbardziej prymitywne instynkty polityczne, łącznie z językiem nienawiści i przyzwoleniem na radykalizm. Ówczesny minister sprawiedliwości Michael Gove

Czasami rezultat jest jeszcze bolesniejszy. Tam, gdzie brytyjskie firmy były na środkowym szczeblu globalnego łańcucha dostaw, teraz są z niego po prostu wycinane. Cały proces staje bowiem w miejscu, kiedy dochodzi do etapu korzystania z usług brytyjskich firm. Dlatego centrale korporacyjne w Stanach Zjednoczonych czy Kanadzie coraz częściej informują swoich

kompromitujące doniesienia na temat Borisa Johnsona. Dowodów na fiasco „odzyskania kontroli” jest już tyle, że trudno wybrać te najlepiej ilustrujące porażki torysów. Zawsze wyjdzie na to samo – brexit okazał się klęską. Jedyne element tej debaty, co do którego nie ma jeszcze całkowitej zgody, to tempo katalizmu: nagle czy właśnie pełzające.

Ciekawą ilustracją tego sporu była niedawna rozmowa, którą główny komentator od spraw międzynarodowych „Financial Timesa” Gideon Rachman przeprowadził

Od wyjścia z UE saldo migracyjne Wielkiej Brytanii jest nawet wyższe niż w latach poprzednich, czyli trafia tam coraz więcej obcokrajowców.

mówił, że Brytyjczycy „nie potrzebują ekspertów”, którzy wiedzą lepiej, na czym świat stoi. Z kolei Nigel Farage, najpierw szef UKIP, Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, a potem przewodniczący efemerydy, jaką była Brexit Party, gadał o chwale dawnego imperium, podlewając swoje historyczne resentymenty rasizmem i ksenofobią. Nawet zamordowanie Jo Cox, posłanki Partii Pracy, ugodzonej nożem i śmiertelnie porażonej przez neonazistę, wykrzykującego w chwili zamachu: „Wielka Brytania przede wszystkim!”, nie zmusiło torysów do rozważenia na nowo drogi, na którą wpychali kraj.

Przez to Wielka Brytania straciła bezcłowy dostęp do rynku przyjmującego ponad 50% eksportowanych przez nią dóbr i usług. Od czasu wyjścia z Unii Londyn podpisał raptem trzy nowe porozumienia o wolnym handlu: z Nową Zelandią, Japonią i Australią. Pomniejszych umów, z krajami takimi jak Vanuatu, Timor Wschodni i Wyspy Tonga, nie wypada nawet ujmować w tych statystykach, bo w ogólnym obrocie handlowym Londynu zupełnie się nie liczą. Dla krajowej gospodarki oznaczało to w ciągu ostatnich trzech lat aż o 45% mniej linii produkcyjnych, zwłaszcza na poziomie małych i średnich przedsiębiorstw. Wiele z nich nie jest w stanie sobie poradzić ze skomplikowaną biurokracją związaną z eksportem na kontynent albo ich koszty produkcji wzrosły tak bardzo, że utrzymywanie szerokiej oferty stało się nierentowne.

poddostawców, żeby zwracali się chociażby do konkurencji w Irlandii.

Co do tego, że Wielka Brytania na brexicie straciła i nadal będzie tracić, zgadzają się właściwie wszyscy, poza wąskim ultrapravicowym skrzydłem Partii Konserwatywnej, którego zresztą zakładnikiem wydaje się Sunak. Trudno powiedzieć, czy radykalni torysi naprawdę wierzą jeszcze w mityczne korzyści brexitu, które mają się pojawić, trzeba tylko odpowiednio długo poczekać. Odpowiedź na to pytanie w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. Jak zauważył w rozmowie ze mną były brytyjski dyplomata wysokiego szczebla,

z redakcyjnym kolegą Peterem Fosterem, redaktorem działu polityk publicznych i spraw społecznych. Foster niedawno opublikował książkę „What Went Wrong With Brexit: And What We Can Do About It” (Co poszło nie tak z brexitem i co możemy z tym zrobić), na bieżąco komentuje również konsekwencje rozvodu z Unią Europejską w newsletterze Britain After Brexit. Obaj dziennikarze zgadzają się co do generalnej oceny skutków brexitu, choć używają innej terminologii. Foster, który spędził ostatnie trzy lata, jeżdżąc po kraju i rozmawiając głównie ze sfrustrowanymi przedsiębiorcami,

Owszem, Londyn nie jest już spętany unijnymi regulacjami handlowymi. Ale stracił swobodny dostęp do olbrzymiego rynku.

utrzymywanie poparcia dla brexitu to dziś myślenie magiczne, quasi-religijne. W takim sensie, że wszystkie założenia tej doktryny trzeba brać jedynie na wiarę. Empirycznych dowodów jej słuszności Brytyjczycy mogą bowiem nigdy nie zobaczyć.

A miało być tak pięknie

Tym, co widzą na co dzień, jest pełzająca katastrofa kraju, który staje się karykaturą siebie z przeszłości. I nie chodzi o 45-dniowe premierowanie Liz Truss, porównywanej pod względem kompetencji do kapusty, nie chodzi o króla Karola III, od którego bardziej popularna jest jego nieżyjąca od roku matka, ani o kolejne

zauważa, że brexit znacznie bardziej przypomina powolne gotowanie żaby niż burzę z piorunami. Nie będzie masowego bezrobocia, likwidacji miejsc pracy, lawinowego pogarszania się stanu całej gospodarki. Nastąpi raczej spowolnienie, które krok po kroku będzie obniżać jakość życia Brytyjczyków. Możliwe, że będzie to się działo na tyle wolno, że niektórzy nie będą w stanie skorelować tego z wyjściem z Unii Europejskiej.

Foster punktuje też absurdalność argumentów wytaczanych przez zwolenników brexitu w czasie kampanii. Dzisiaj okazują się one ponurą satyrą na życie polityczne, a nie rzeczywistością na Wyspach. Owszem, Londyn „odzyskał kontrolę” ▶

► w tym znaczeniu, że nie jest już spętany więzami unijnych regulacji handlowych. Ale jednocześnie stracił swobodny dostęp do rynku, na którym odbiorcami brytyjskich produktów mogło być nawet pół miliarda konsumentów. Według wyliczeń

wyjścia z Unii Europejskiej saldo migracyjne Wielkiej Brytanii nie tylko wciąż jest pozytywne, ale wręcz wyższe niż w latach poprzednich. Co oznacza, że na Wyspy nadal trafia coraz więcej obcokrajowców. A brexit miał granice zamknąć!

na zwykłym ludzkim poziomie. Bo pod wieloma względami – jeśli użyć metafor torysów z kampanii referendalnej – migracja z Unii była raczej tą „dobrą” czy „łatwą” migracją. W zdecydowanej większości byli to wykwalifikowani pracownicy, studenci lub ogólnie młodzi ludzie, których łatwo zagospodarować w dobrych warunkach ekonomicznych. A jeśli rzeczywiście stanowili jakiś problem dla życia publicznego, relatywnie łatwo

było ich z kraju usunąć. Tego samego nie da się powiedzieć o imigrantach z Afryki czy Azji, których zresztą Wielka Brytania sama ściga, bo masowo ich potrzebuje. Oni, jeśli już na Wyspy się dostaną, będą robić wszystko, żeby tam zostać. A i koszty ewentualnej deportacji, prześwietlenia ich dokumentów, zweryfikowania, czy nie stanowią zagrożenia, są znacznie wyższe niż w przypadku pracowników z kontynentu. Okazuje się więc, że ci wyklinati przez torysów Polacy, Rumuni i Bułgarzy nie byli tacy źli.

Czy zatem Wielka Brytania może i powinna starać się o powrót do Wspólnoty? Wprawdzie według lipcowego sondażu pracowni YouGov aż 58% Brytyjczyków chciałoby takiego rozwiązania, ale w tej chwili jest ono nierealne z kilku powodów. Po pierwsze, nie ma chęci politycznej – ani ze strony Londynu, ani Brukseli. Po drugie, decyzja ta wymagałaby ogromnego wysiłku biurokratycznego, czym opinia publiczna szybko by się zmęczyła. Po trzecie, nawet jeżeli w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych wygra Partia Pracy, nie będzie dążyć do pojednania z Unią. Jedną z przyczyn jej ostatnich wyborczych klęsk była utrata na rzecz torysów wielu okręgów, w których tradycyjny lewicowy elektorat został uwiedziony przez obietnice zysków z brexitu. Laburzyści nie mogą teraz pozostać głusi na oczekiwania wyborców, które wcale przez te lata się nie zmieniły, mimo że korzyści wynikające z wyjścia z Unii okazały się iluzją.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Czy Wielka Brytania może się starać o powrót do UE? W tej chwili to niemożliwe, choć chciałoby tego 58% Brytyjczyków.

brytyjskiego Biura ds. Odpowiedzialności Budżetowej (OBR) utrudnienia w handlu z Unią mogą kosztować Wielką Brytanię aż 4% PKB rocznie w średniej perspektywie czasowej. Nawet gdyby Londyn podpisał wreszcie porozumienie o wolnym handlu ze Stanami Zjednoczonymi, czyli potencjalnie kolejnym wielkim rynkiem zbytu, podniosłoby to PKB zaledwie o 0,2%. Nie trzeba być geniuszem, żeby zobaczyć, kto tu jest stratny.

Nie taki Polak zły

Gwoździem do trumny stały się jednak wyliczenia migracyjne, które przecież dowieść powinny racji eurosceptyków. Okazuje się, że od

Oczywiście, zauważa Gideon Rachman, konserwatyści mogą tę piętkę odbić i powiedzieć, że nigdy im nie zależało na niewpuszczaniu migrantów jako takich, domagali się jedynie, by sami mogli decydować, kogo i kiedy wpuścić. Ale to argument dobry dla elit politycznych, bo społeczeństwo slogan o „odzyskaniu kontroli” rozumiało nieco inaczej. Jeśli ktoś wierzył, że wyjście z Unii będzie oznaczało „Wielką Brytanię dla Brytyjczyków”, to musiał się rozczarować sytuacją w ostatnich trzech latach. Migracja z krajów członkowskich Unii Europejskiej faktycznie zmalała, wzrosła za to liczba osób przybywających na Wyspy spoza Europy. Przodują zwłaszcza pracownicy z Filipin, Malezji, Indii i Nigerii, znajdujący zatrudnienie w publicznej służbie zdrowia. Rośnie też jednak migracja nieudokumentowana – nie tylko przerzut osób z Francji przez kanał La Manche, przybywa także ludzi, którzy przyjeżdżają na wiozach turystycznych i zostają na stałe.

Oficjalnych statystyk brakuje, Home Office, brytyjski odpowiednik MSW, nie chce ich publikować, trzeba więc posiłkować się danymi od organizacji pozarządowych. Te z kolei wskazują, że liczba osób trafiających na Wyspy bez właściwych dokumentów wzrosła prawie czterokrotnie od 2018 r. Organizacja Migration Watch wylicza, że w ciągu ostatnich pięciu lat do kraju przedostało się 135 tys. migrantów bez pozwolenia na pobyt. Z kolei centrum analityczne Pew Research mówi o 1,2 mln nieudokumentowanych migrantów żyjących na co dzień w Wielkiej Brytanii.

Tyle dane. Do nich trzeba dorzucić jeszcze rozumienie problemu



Z Galicji



Jan Widacki

Jak nie powinna wyglądać debata

Dziś, gdy czytacie Państwo te moje słowa, wszystko jest już jasne. Już wiecie, kto wygrał wybory. Ja, siadając do napisania tego tekstu, jeszcze nie wiem. Jestem świeżo po obejrzeniu przedwyborczej debaty w TVP. Nie wiem, czy i na ile przełoży się ona na wynik wyborów. Tak czy owak, czuję niesmak.

Materiał z tej debaty jest bardzo pouczający i na pewno zostanie w przyszłości wykorzystany. Myślę, że jeśli kiedyś powstanie jakaś Akademia Demagogiczno-Populistyczna (niby czemu nie, bo to pierwsza taka?), materiał z tej debaty będzie w niej służył jako idealny wzorzec. Wzorzec demagogii, populizmu i chamstwa. A jeśli wybory wygra „jasna strona mocy”, na zajęciach z dziennikarstwa czy politologii nagrania te będą służyły studentom jako wzór, jak debata polityczna nie powinna wyglądać i jak nie powinny wyglądać media.

Po pierwsze, formuła debaty. Prowadzący ją, powiedzmy grzecznościowo, „dziennikarze” zadawali pytania, na które każdy uczestnik miał odpowiedzieć w ciągu 60 sekund. Same pytania były znacznie dłuższe, ich wygłoszenie zajmowało co najmniej dwa razy więcej czasu, niż uczestnikom dawano na odpowiedź. Co więcej, każde pytanie zawierało tezę, w dodatku zwykle fałszywą, a nadto było zawsze (o cokolwiek by pytano) personalnym atakiem na Donalda Tuska. Każda odpowiedź uczestniczącego w debacie Mateusza Morawieckiego nie tylko zawierała personalny atak na byłego premiera, ale także była arogancka, aby nie powiedzieć dobitniej – chamska, a związek wypowiedzianych w niej twierdzeń z prawdą był z reguły dość luźny. Tak ze sobą nie rozmawiają nie tylko dżentelmeni, ale w ogóle ludzie, którzy mają elementarną kindersztubę. Jeśli ktoś tego dotąd nie wiedział, to miał okazję się przekonać. Premier Morawiecki z pewnością kindersztuby nie ma.

Tusk, wytrawny polityk, o dużym obyciu, również wiecowym, dał się w tę pyskówkę wciągnąć. Był wyraźnie zdenerwowany, może nawet wściekły na Morawieckiego. A przecież chyba nie spodziewał się, że w TVP będzie inaczej. Jeśli zgodził się wziąć udział w debacie i zaakceptował dziwaczne warunki formalne, takie, że uczestnicy nie będą zadawać sobie wzajemnie pytań, a jedynie będą odpowiadać na pytania skrajnie stronnicych prowadzących, to powinien zastosować taktykę, której mistrzem swego czasu był Andrzej Lepper. Ten ostatni na

zadawane mu przez dziennikarzy niewygodne dla niego pytania nawet nie starał się odpowiadać, lecz korzystając z czasu, którego nikt nie mógł mu odebrać, wygłaszał swoją kwestię. Dziennikarz pytał np. o skup zbóż, a Lepper odpowiadał, że „Balcerowicz musi odejść”.

Sondaże, a na koniec wybory pokażą, na ile debata wpłynęła na poparcie dla poszczególnych partii, o ile w ogóle wpłynęła. W moim odczuciu na debacie stracił zarówno Tusk, jak i Morawiecki, a w konsekwencji Platforma i PiS. Zyskały, jak sądzę, Trzecia Droga (Szymon Hołownia według mnie wypadł w tej debacie najlepiej) oraz Lewica i – niestety – Konfederacja. Krzysztof Bosak nie mówił już o zakazie aborcji czy rozwodów, nie powtarzał błyskotliwych czasów, ale mimo wszystko głupot starego Janusza Korwin-Mikkego (o przewadze intelektualnej mężczyzn nad kobietami czy, jak ostatnio, że dziewczynka po pierwszej miesiączce już powinna być traktowana jak dorosła i swobodnie decydować o swoim życiu seksualnym), tylko skupił się na gospodarce, w której udawał rozsądnego liberała, grał na nutce antyukraińskiej, ale uzasadniał ją społecznie, nie nacjonalistycznie.

Aby się porozumieć co do najprostszych rzeczy, konieczny będzie dialog. A przy takim stopniu podziału i poziomie dialogu porozumienie będzie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

Nie mówił też tym razem nic o wyprowadzaniu Polski z Unii Europejskiej. Przypuszczam, że mógł się spodobać wielu ludziom młodym i niedoświadczonym. Joanna Scheuring-Wielgus spokojnie wykladała racje Lewicy, ale robiła to w sposób typowy dla inteligenta, mało chyba przekonujący dla wielu spośród tych, do których przekaz był adresowany. Na ich tle przedstawiciel Bezpартijnych Samorządowców wypadł blado, tak jak całe to jego ugrupowanie wypada we wszystkich debatach i sondażach.

Ktokolwiek wygra (już wygrał) wybory, ktokolwiek będzie tworzył rząd, a kto znajdzie się w opozycji, podział sceny politycznej, a w ślad za nim podział społeczeństwa, pozostanie głęboki. Aby się porozumieć co do najprostszych rzeczy, konieczny będzie dialog. Przy takim stopniu podziału i takim poziomie dialogu jak ten, który mogliśmy zobaczyć w tej nieszczęsnej debacie, porozumienie będzie bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. ■

Wyznania starego profesora

Ciężkie czasy dla pracowników naukowych. Wynaturzenia i kompromitujące zmiany ministra Czarnka

Adam Proń

W przyszłym roku minie równo 50 lat, od kiedy promotor mego magisterium zachęcił mnie do podjęcia pracy naukowej. Rada ta okazała się chyba trafna, bo rzeczywiście zająłem się pracą badawczą. Przez te lata, prowadząc mało stateczne życie, zmieniałem kraje, uczelnie i instytucje naukowe. Cały czas byłem jednak wierny Politechnice Warszawskiej, pozostając jej pracownikiem co najmniej na ułamku etatu. Według mojej żony tak musiało być, gdyż w jej przekonaniu nie nadawałem się do żadnej godziwej pracy. Jej zdaniem mogłem zostać jedynie pracownikiem naukowym, redaktorem lub portierem. I rzeczywiście zostałem pracownikiem badawczym, a będąc

którego warto tu zacytować: *La recherche est avec la Bourse et les femmes le plus sûr moyen de perdre de l'argent*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: działalność naukowa obok grania na giełdzie i uganiania się za kobietami jest najpewniejszym sposobem pozbycia się pieniędzy. Niewątpliwie dzisiejsza władza postanowiła szybko unieszkodliwić to pierwsze źródło utraty pieniędzy, prowadząc politykę głodzenia naukowców, zarówno poprzez realny spadek wartości ich pensji, jak i drastyczne zmniejszenie możliwości uzyskania subwencji na badania podstawowe.

Z perspektywy wspierania badań podstawowych w Polsce, jednym z najbardziej udanych przedsięwzięć rządu PO-PSL było utworzenie w 2010 r. Narodowego Centrum Nauki (NCN) w Krakowie. Instytucja

także programy zarezerwowane dla młodych doktorów, a nawet magistrów. Wielu młodych luminary nauki osiągnęło spektakularne sukcesy naukowe dzięki subwencjom pochodzącym z NCN.

Zapowiedź likwidacji

Obecne władze oceniają jednak NCN bardzo krytycznie, a minister Czarnek wręcz zapowiedział jego likwidację po zwycięskich wyborach. Na razie postanowił tę instytucję zgłodnić, co jednoznacznie pokazują statystyki. Najbardziej ucierpiały badania podstawowe w dziedzinie matematyki. W pierwszym konkursie NCN w 2011 r. (Opus 1) na badania podstawowe z tej dziedziny nauki przeznaczono 5,64 mln zł, a do finansowania skierowano aż 29 z 81 złożonych projektów badawczych. Współczynnik sukcesu wyniósł więc 35,8%. 12 lat później w programie Opus 23 na badania matematyczne przeznaczono 2,66 mln zł, a w kolejnym (Opus 24) – zaledwie 2,32 mln, przy współczynnikach sukcesu odpowiednio 15% i 19%. Ponieważ konkursy odbywają się co pół roku, oznacza to, że w ostatnim roku na badania podstawowe w dziedzinie matematyki wydano mniej niż 5 mln zł (dokładnie 4,98 mln), czyli niecałe 13 gr na obywatela. Jest to prawdopodobnie mniej, niż wyniosły łączne honoraria sześciu największych gwiazd wiadomości i publicystyki TVP, czyli pań Holeciej, Lewandowskiej i Ogórek oraz panów Adamczyka, Ziemia i Rachonia. Jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, zarabiają oni średnio 60 tys. brutto miesięcznie. Do tej pensji należy jeszcze doliczyć obowiązkowe obciążenia pracodawcy w wymiarze ok. 20% pensji brutto, co równa się 12 tys. Sumaryczny

Władza prowadzi politykę głodzenia naukowców poprzez realny spadek wartości ich pensji i drastyczne zmniejszenie możliwości uzyskania subwencji na badania podstawowe.

nim, równolegle przez 16 lat redaktorem periodyku naukowego. Aby wykorzystać pełnię moich predyspozycji zawodowych, powinienem jeszcze zatrudnić się jako portier. Portierzy to na ogół sympatyczna grupa zawodowa, przynajmniej ci, z którymi mam do czynienia. Z kilkoma się przyjaźnię, chodzimy razem na mecze piłki nożnej.

Dla pracowników naukowych nadeszły obecnie ciężkie czasy, co nie jest czymś wyjątkowym, bo w ciągu ostatnich 50 lat zmieniające się władze naukowców częściej dręczyły, niż pieściły. Obecna władza najwyraźniej podziela zdanie francuskiego prezydenta, następcy gen. de Gaulle'a, Georges'a Pompidou,

ta działała i nadal próbuje działać według najlepszych wzorów, tzn. na identycznych zasadach jak instytucje rozdzielające subwencje badawcze w krajach o największym potencjale naukowym, a także Europejska Rada ds. Badań Naukowych (European Research Council, ERC). Poznałem tę instytucję *in statu nascendi*, byłem bowiem członkiem pięcioosobowego zespołu identyfikującego Radę Naukową NCN. Trudno przecenić znaczenie NCN dla rozwoju badań podstawowych w Polsce, gdyż oprócz subwencji badawczych, o które mogli się starać wszyscy pracownicy nauki, niezależnie od wieku i stopnia naukowego, instytucja ta wprowadziła

miesięczny koszt etatu wynosi zatem 72 tys. Mnożąc to przez 12 miesięcy i liczbę osób (sześć), otrzymujemy 5,18 mln na rok. To głodzenie nauk matematycznych jest zadziwiające, biorąc pod uwagę, że ze wszystkich dziedzin nauki polskiej matematyka jest najbardziej ceniona na świecie. Podobnie głodzone są bliskie mi nauki chemiczne i inżynieria materiałowa, chociaż nie aż w takim stopniu. W przypadku tej drugiej współczynnik sukcesu spadł w ostatnim programie (Opus 24) do 11%, co oznacza, że finansowany jest z grubsza co dziewiąty projekt badawczy.

Do powolnego uwiędnięcia nauk podstawowych w Polsce przyczynia się nie tylko wysychanie źródła finansowania, ale również niewłaściwa polityka publikacyjna ministerstwa. Piszę to, „bom smutny i sam pełen winy”. Onegdaj przyjąłem bowiem propozycję wicepremiera Gowina, aby uczestniczyć w zespole oceniającym periodyki naukowe, czyli przypisującym im tzw. punkty ministerialne. Pracując w tym zespole, szybko nabrałem przekonania, że stosowanie tych właśnie „punktów ministerialnych” jako podstawy oceny osiągnięć badawczych pracowników oraz instytucji naukowych, w których oni pracują, jest pomysłem bardzo szkodliwym i nieuchronnie prowadzącym do wynaturzeń. Bardzo szybko okazało się, że anonimowi urzędnicy w ministerstwie zaczęli zmieniać punktację, jako, cytując wiceministra Włodzimierza Bernackiego, „odpowiedź na postulaty środowiska”. Zmiany te w wielu przypadkach są kompromitujące – nadaje się najwyższą rangę czasopismom o zerowym znaczeniu, często publikującym metodologicznie niepoprawne lub wręcz błędne wyniki badań.

Nieograniczony dostęp

Zanim omówię zjawisko gwałtownego wzrostu liczby polskich publikacji naukowych, przy równoczesnym spadku znaczenia większości z nich, muszę przybliżyć czytelnikom PRZEGŁĄDU strukturę rynku wydawnictw naukowych. Na tym rynku dominowały przez lata

następujące oficyny wydawnicze: największa – Elsevier, a ponadto Wiley i Springer, wydające po kilka tysięcy mniej lub bardziej specjalistycznych periodyków naukowych. W naukach technicznych wymienić trzeba jeszcze oficynę IEEE (Institute of Electrical and Electronics Engineers), w fizyce oficynę Amerykańskiego Towarzystwa Fizycznego (American Physical Society, APS) oraz Amerykańskiego Instytutu Fizyki (American Institute of Physics, APS), a w chemii oficynę Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego (American Chemical

W ostatnim roku na badania podstawowe w dziedzinie matematyki wydano 4,98 mln zł, czyli niecałe 13 gr na obywatela.

Society) oraz Królewskiego Towarzystwa Chemicznego (Royal Society of Chemistry, RSC). Znaczące periodyki wydawane przez te oficyny mają pewne wspólne cechy: 1) redaktorami są na ogół wybitni naukowcy o dużym doświadczeniu w pracy redakcyjnej; 2) proces oceny i redagowania przesyłanych prac jest na ogół skrupulatny i rzetelny, a w jego wyniku praktycznie wszystkie nadesłane artykuły wymagają modyfikacji i/lub poprawek przed ich zamieszczeniem w czasopiśmie; 3) redaktorzy są wybredni i dopuszczają do druku co czwarty, co piąty artykuł.

Nieco ponad 20 lat temu pojawiła się nowa oficyna wydawnicza, Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI). Jest to wydawnictwo czasopism o „nieograniczonym dostępie” (ang. *open access*), które w XXI w. zwiększyło liczbę opublikowanych artykułów z 57 w 2000 r. do 284 tys. w 2022 r., czyli prawie 5 tys. razy! Naczelnym celem oficyny MDPI jest maksymalizacja zysku, poziom naukowy nie ma żadnego znaczenia. W periodykach MDPI za pieniądze można opublikować wszystko: nierzetelne wyniki, absurdalne tezy itd. Okres od wysłania artykułu do jego opublikowania jest najczęściej krótszy niż miesiąc, co wyklucza rzetelną ocenę

przedstawionych w pracy badań, poprawę ewentualnych błędów merytorycznych i redakcyjnych. W efekcie wiele artykułów MDPI jest napisanych niezrozumiałą lub ledwo zrozumiałą angielszczyzną. Można też znaleźć niemało prac, których opublikowanie stanowi obrazę dla logiki i wiedzy naukowej. Bardzo dynamicznie działa natomiast marketing MDPI. Ja praktycznie codziennie dostaję prośbę o rozważenie opublikowania pracy w czasopiśmie tej oficyny. Wśród tych prośb są propozycje opublikowania artykułu za darmo, pod warunkiem że będę

pierwszym i tzw. gwiazdkowym, czyli czołowym autorem. Ten wyraz uznania międzynarodowego nie sprawia mi jednak najmniejszej radości i na propozycje te nawet nie odpowiadam.

Gorliwość urzędników

Urzędnicy zaczęli gorliwie modyfikować punktację na ministerialnej liście czasopism jeszcze za czasów wicepremiera Gowina, a procedura ta za czasów ministra Czarnka nabrała cech patologicznych, nadano bowiem najwyższą rangę punktową wielu polskim czasopismom o znikomym lub wręcz zerowym znaczeniu dla nauki światowej. Co więcej, urzędnicy ministra Czarnka co najmniej tak szczerze obdarowali punktami czasopisma wydawane przez oficynę MDPI, jak dotacjami pieniężnymi wspierają przedsięwzięcia handlowo-religijne ks. Rydyzka. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Pragmatyczni naukowcy o małych lub umiarkowanych osiągnięciach naukowych zaczęli zalewać czasopisma MDPI swoimi artykułami, bo pozwalało to na łatwe spełnienie wymagań publikacyjnych ministerstwa bez konieczności pokonywania przeszkód stawianych przez surowych recenzentów. W 2022 r. polscy naukowcy ▶

► opublikowali prawie 48 tys. artykułów naukowych w indeksowanych czasopismach. 35% tych prac ukazało się w periodykach MDPI. Żaden kraj nie osiągnął takiego wyniku, staliśmy się więc mistrzem świata, wyprzedzając wicemistrza Rumunię (34,5%) i trzecią na podium Litwę (31%). Dla porównania

różnica w PKB *per capita*, jak i dłuższa tradycja badań naukowych działają na korzyść Szwajcarii. Warto jednak porównać Polskę z Czechami, których PKB *per capita* jest tylko nieznacznie wyższy niż Polski. Czechy zawsze wyprzedzały Polskę w poziomie badań, a ich uczelnie i instytuty naukowe miały

polskich władz, polegającą na znaczącym ograniczeniu subwencji na badania podstawowe, ograniczaniu niezależności instytucji naukowych, całkowicie błędnej polityce publikacyjnej oraz niespójnej i woluntarystycznej ocenie osiągnięć naukowych uczelni i instytucji badawczych. Przywrócenie normalności w nauce polskiej i osiągnięcie takiego poziomu, który wynika z potencjału gospodarczego naszego kraju, wymagać będzie co najmniej kilkunastu lat. Z kolei dane statystyczne dotyczące przeżywalności mężczyzn wydają się sugerować, że poprawy tej już nie doczekam, gdyż za kilkanaście lat będę spoczywał w postaci prochów w gustownej urnie wybranej przez moje córki.

Prof. Adam Proń pracuje w Katedrze Chemii i Technologii Polimerów Politechniki Warszawskiej

Głodzenie nauk matematycznych jest zadziwiające, bo ze wszystkich dziedzin nauki polskiej matematyka jest najbardziej ceniona na świecie.

– w krajach o najlepszej reputacji naukowej publikacje w periodykach MDPI stanowią margines: 5,6% w Stanach Zjednoczonych czy 6,2% w Szwajcarii.

Trudno porównywać poziom prac badawczych w Szwajcarii i w Polsce. Zarówno ogromna

w większości przypadków lepszą reputację niż nasze. Jednak jeszcze 10 lat temu różnica ta była niewielka. Obecnie rośnie ona z roku na rok, przynajmniej w tych dziedzinach nauki, które potrafię ocenić. Ta rosnąca dysproporcja spowodowana jest błędną polityką naukową

KSIAŻKI

Natalia Judzińska

Po lewej stronie sali

Getto ławkowe w międzywojennym Wilnie

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023



26 listopada 1937 r. rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, ks. prof. Aleksander Wójcicki, wprowadził zarządzenie w sprawie „porządku zajmowania miejsc w salach wykładowych”, zwyczajowo nazywane „gettem ławkowym”. W konsekwencji odgórnie zostały wyznaczone oddzielne miejsca dla żydowskich studentów i studentek uniwersytetu. Wprowadzenie zarządzenia poprzedzone było długotrwałą eskalacją przemocy wobec żydowskich studentek i studentów oraz długim procesem „negocjacji” między Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, władzami uniwersyteckimi, kołami akademickimi, korporacjami studenckimi, a także studentami i studentkami niezrzeszonymi.

Autorka bada antysemitki klimat międzywojennej Polski oraz okoliczności towarzyszące wprowadzeniu getta ławkowego na wileńskiej uczelni. Analizując dokumenty, korespondencję i ówczesną prasę, próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do instytucjonalizacji segregacji etnoreligijnej w salach wykładowych. Zastanawia się również nad językiem, który tę antysemitkę praktykę umożliwił. Czy faktycznie język ten jest już tylko kwestią historyczną?

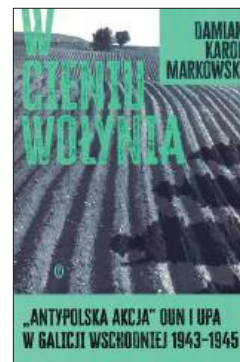
Autorka bada antysemitki klimat międzywojennej Polski oraz okoliczności towarzyszące wprowadzeniu getta ławkowego na wileńskiej uczelni. Analizując dokumenty, korespondencję i ówczesną prasę, próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do instytucjonalizacji segregacji etnoreligijnej w salach wykładowych. Zastanawia się również nad językiem, który tę antysemitkę praktykę umożliwił. Czy faktycznie język ten jest już tylko kwestią historyczną?

Damian Karol Markowski

W cieniu Wołynia

„Antypolska akcja” OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943-1945

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023



Rzeź wołyńska z 1943 r. należy do najbardziej nagłośnionych w Polsce wydarzeń historycznych, nie wszyscy natomiast zdają sobie sprawę, że nie była to jedyna masowa zbrodnia ukraińskich nacjonalistów na ludność polską w okresie II wojny światowej. Ludobójstwo dokonane w latach 1943-1945 na obszarze Galicji Wschodniej pochłonęło prawdopodobnie ok. 30 tys. ofiar i było nie mniej brutalne od wołyńskiego.

W jakim stopniu wydarzenia w Galicji Wschodniej przypominały te z Wołynia? Jak przebiegała czystka i co oznaczała dla polskich mieszkańców regionu? Jak wyglądały próby odolnej samoobrony, a jak reakcja zorganizowanego polskiego podziemia? W jaki sposób ustosunkowali się do niej Niemcy, a następnie sowieccy okupanci? I wreszcie – na czym polega polsko-ukraiński konflikt pamięci historycznej?

Książka Damiana Markowskiego jest pierwszą publikacją poświęconą wyłącznie tym zapomnianym wydarzeniom. Praca zawiera najdokładniejsze jak dotąd ustalenia, oparte na polskich, ukraińskich, niemieckich i sowieckich źródłach, niekiedy wcześniej nieznanymi. Autorowi przyświecał ważny cel: ponownie zbliżyć Ukraińców i Polaków. Książka napisana jest z szacunkiem dla ofiar poległych po obu stronach, ale przede wszystkim z pokorą i respektem wobec źródeł.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Jest poniedziałek, może wtorek albo nawet środa. Ale na pewno jest po 15 października, wiadomo już, czego jeszcze nie wiadomo, albo nie wiadomo, czy już wiadomo. Były sondaże, były exit polle, teraz wyniki spływają z komisji, głosy są liczone, sumowane, co chwilę co innego ogniskuje na sobie uwagę mediów. Tam ktoś popił – nie dojechał, ktoś dosypał, inny odsypał. Oglądamy determinację rządzących, żeby jeszcze za wszelką cenę przydać sobie głosów, odebrać tamtym. Akurat co do skali tej determinacji nie mam złudzeń. Do stracenia jest tak wiele: posady, uposażenia, bezkarność, zaszczyty, przywileje, wdzięczność tych, których się wciągnęło do złotodajnego źródła zwanego państwem, i kasa, kasa, kasa.

Czy obejrzymy polską wersję puczu trumpowskiego? Głowy bym nie dał, że nie. Żadne wybory od 1989 r. nie miały takiej dramaturgii. I przecież nie chodzi nawet o to,

który zastąpił rozbiem w stanie wskazującym hotelowego melekasa podczas urlopu na Cyprze przed laty, szef kampanii PiS Joachim Brudziński) docierają krzyki protestujących („Gdzie jest wrak?”, „Balbina, kazałeś lądować bratu?”, „Antek, świrze, pokaż raport!”). Kaczyński ledwo zdzierża. Na widoku kamer strofuje Mariusza Kamińskiego, ministra spraw wewnętrznych, i jego zastępcę Wąsika (tych to niezwykle ministrów skazanych przez sąd, a jeszcze przed uprawomocnieniem się wyroku ułaskawionych przez Andrzeja Dudę w pierwszych dniach jego urzędowania). Słychać cichy, wzburzony głos Kaczyńskiego: „Policja nic nie robi...”. Nie trzeba długo czekać. Policjanci już po chwili wracają do starych praktyk, wyrwywają protestującym nagłośnienie. De facto rozbijają legalne zgromadzenie. Rzadko można na żywo oglądać ten istic monarszy foch i stawianie do pionu, było nie było, członków

Jak ja Państwu zazdroszczę...

że trzecia kadencja tzw. Zjednoczonej Prawicy byłaby ostatnim (choć jak zawsze – do czasu) położeniem tapy na wszystkim, na czym jeszcze do końca się nie udało. Sądy, media. Bo wojsko już chyba jednak wzięte, policja i służby od lat na służbie jednej partii.

Od dawna nie oglądam kuriozalnych popisów policji podczas tzw. miesięcznic Jarosława Kaczyńskiego, którym towarzyszą happeningi Lotnej Brygady Opozycji. Ale to, co się działo kilka dni przed tegorocznymi wyborami, warte jest wzmianki. Jak każdego 10. dnia miesiąca odgrywany jest przedziwny spektakl udający jakiegoś typu uroczystość państwopodobną. Uczestniczą w nim żołnierze Kompanii Honorowej Wojska Polskiego. Z jakiego tytułu? Nie wie nikt. Jest też kameralny oddział orkiestrowy. Centralną postacią jest szeregowy poseł, prezes PiS, któremu oficerowie kompanii i żołnierze salutują. Oprawdają, towarzyszą, krążą wokół niego i się prężą. Są jacyś księża, którzy odmawiają modlitwy powszechne i pogrzebowe. Sztywny Prezes zmierza pod pomnik ofiar Zamachu, czyli katastrofy prezydenckiego samolotu w 2010 r. pod Smoleńskiem. Stoi tam już wieniec od niego. Za każdym razem Kaczyński poprawia pieczętowanie i pieści szarfę na tym wieniec, żeby lepiej leżała, tak jak leżeć powinna, bo tylko on jeden to wie, jak szarfa winna spoczywać.

Niestety (dla Jarosława), policja chyba przypuszcza, że wynik wyborów może doprowadzić do zmiany władzy, i ewidentnie interweniuje subtelniej wobec legalnego zgromadzenia Lotnej Brygady. Tym samym do uszu Jarosława i jego orszaku (premier, ministrowie, marszałkowie, posłowie, stare druhy z zakonu PC – ostatnio pojawił się z charakterystycznym czerwonym nosem europoseł Karski,

rządu. Policjanci podczas tych interwencji są wszyscy zamaskowani, ewidentnie łamiąc prawo na oczach mediów, nie są gotowi robić tego z odkrytą twarzą. Krzyki cichną. Ale teraz następuje nagły zwrot akcji. Po zakończonej parauroczystości Kaczyński nagle zawraca i ze swoim prywatnym ochroniarzem zdąża jeszcze raz pod pomnik (słynne czarne schody). Od miesiący obywatel Komosa składa tam w każdą miesięcznicę wieniec z tabliczką: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski. Stop kreowaniu fałszywych bohaterów!”. Dotąd systematycznie samego Komosę i jego wieniec natychmiast usuwała grupa wojskowych albo policja. Jednak Komosa wygrał sprawę przed sądem i teraz wieniec ma prawo tam spoczywać. Naprawdę ma prawo? Jarosław Kaczyński dopada wienca i wyrwa, rozbijając szkło, tabliczkę z napisem. Własnoręcznie. Z wściekłością.

Ponieważ ktoś nagrywa jego działania i wykrzykuje pod adresem Prezesa różne uwagi, Kaczyński bezpośrednio instruuje otaczających go policjantów, żeby natychmiast interweniowali i legitymowali krzyczących, bo on musi znać ich personalia. Za którymś razem mówi: „Jestem wiceprezydentem ds. bezpieczeństwa, trzeba ich natychmiast spisać, we czterech nie dajecie rady?”. Nie rozumie, dlaczego jego polecenie nie jest rozkazem. Jest w tym całkowicie osamotniony, stary, zagubiony człowiek z ogromną nieformalną władzą.

Czy będziemy mieć zatem nowe stanowisko wiceprezydenta ds. bezpieczeństwa? Czego sobie i nam nie życzę. Państwo już wiecie więcej ode mnie. ■

Opaczna pedagogika kina amerykańskiego

Proste, zero-jedynkowe, westernowe obrazowanie rzeczywistości nie może mieć nic wspólnego z wyrafinowaną dziedziną polityki

Piotr Kimla

Stephen M. Walt w artykule „Hollywood prowadzi i rujnuje amerykańską politykę zagraniczną” (PRZEGŁĄD nr 38/2023) zwraca uwagę na niszczyielski wpływ amerykańskiego ośrodka kinematografii na myślenie Amerykanów o polityce. Wskazuje, że proste, by nie powiedzieć prostackie, zero-jedynkowe, manichejskie, westernowe obrazowanie rzeczywistości nie może mieć nic wspólnego z wyrafinowaną dziedziną polityki. Nie może być spowinowacone z domeną „artystów zwinnych rąk i zimnych nerwów”. Czarno-biały obraz rzeczywistości jest jednak tylko pierwszym grzechem uproszczenia popełnianym przez hollywoodzkich scenarzystów. Co gorsza, to, co jest jedynie konfundujące dla umysłowości amerykańskiej, dla polskiej może się okazać znacznie groźniejsze.

Jak wiadomo, Platon wykluczył poetów ze swojej idealnej *polis*. Nie tylko dlatego, że wytwarzają oni niejako trzeci rejestr rzeczywistości. Również z tego powodu, że poeci w jego przekonaniu kreują zbyt olśniewające wizje, a poetyckie obrazy odbierają olśnionym wzrok i rozum. Jak kiedyś w Grecji, tak dziś w Polsce można się zastanawiać i obawiać, czy sztuczne obrazy nie wywierają na polityczne myślenie Polaków rujnującego wpływu. Naturalnie obrazy te nie wywodzą się obecnie z poezji, ale pochodzą z kina. Ściślej, z głównego nurtu kina amerykańskiego

– jednego z najpotężniejszych narzędzi uwodzenia świata. Żywią obawy, że dewastacja myślenia Polaków o sobie, o świecie i o polityce w wyniku obcowania z amerykańskimi wysokobudżetowymi produkcjami może być większa niż u innych nacji. Nie chodzi tym razem o epatowanie w filmach erotyką, przemocą, narkotykami. Chodzi o to, że, po pierwsze, kino to przeobraża amerykańskie życie na romantyczną modłę. Tym samym zanurza je w oceanie skrajnego woluntaryzmu oraz wytwarza opaczny stosunek do reguły i procedur. Paradoks polega na tym, że bardzo wielu Polakom zdaje się to szalenie odpowiadać. Po drugie, amerykańskie kino komercyjne, odwotując

dyscyplinie ludzi od tzw. prozy życia? Czy kino nie powinno im dawać poczucia wyzwolenia od ogółu przymusów, jakim na co dzień podlegają? Pozwalając ludziom – istotom marzącym – pomarzyć, pełni ważną funkcję wentyla bezpieczeństwa. Kłopot w tym, że tworząc ów romantyczny świat – przez co rozumie świat niezdeterminowany, lecz w pełni uzależniony od woli bohatera – filmy tworzą zarazem pewien wzorzec kulturowy. Podstawowy przekaz tego wzorca brzmi oczywiście: jesteś kowalem swojego losu. Jeśli ktoś przesadnie weźmie sobie do serca ten przekaz, zderzenie z pozafilmową rzeczywistością musi bardzo boleć. Ma ono jednak tę dobrą stronę,

Dewastacja myślenia Polaków o sobie, świecie i polityce w wyniku obcowania z amerykańskimi wysokobudżetowymi produkcjami może być większa niż u innych nacji.

się do stałego schematu, w którym na pierwszy plan wysuwa się trójca Freud-Rousseau-Dostojewski, działa antycywilizacyjnie, gdyż osłabia zdolność przyjmowania przez jednostkę odpowiedzialności za siebie. O ile nie musi to być bardzo groźne dla materialnie okrzepłych państw Zachodu, o tyle dla nas – społeczeństwa, które wciąż jest na dorobku – może się okazać niebezpieczne.

Na pierwszy rzut oka uromantycznienie materii przedstawianej w amerykańskim kinie wydaje się w pełni zrozumiałe. Czyż zadaniem rozrywkowego filmu nie jest odrywanie ciężko pracujących i poddanych

że prędko przywołuje do porządku. Niestety, ma też równocześnie złą stronę, gdyż nie eliminuje fantasmagorycznego i rozpowszechnionego wśród Polaków poglądu na temat natury polityki. Poglądu opartego na następującym rozumowaniu: chociaż moja indywidualna wola podlega niestety ograniczeniom, to żadnych barier nie napotyka wola ludzi sprawujących władzę. Tłumaczenie ludziom w Polsce, że polityka jest dziedziną podlegającą wielu przymusom – że jest ona, jak pisał Stefan Kisielewski, sztuką „poruszania się i robienia czegoś w okolicznościach danych, zastanych, na które ma się

wpływ minimalny” – stanowi ciągłe wyzwanie.

Jeszcze groźniejszym dla polskiej umysłowości aspektem amerykańskich produkcji jest krótkochwilny, prawdziwie romantyczny stosunek bohaterów do fundujących porządek zasad i procedur. Przypomnę, że Denzel Washington i jemu podobni bohaterowie ratują świat, ponieważ w pewnym momencie odstępują od przestrzegania ustalonych reguł postępowania. Wybawiają z opresji, ponieważ porzucają wyćwiczone sposoby działania. Gdyby przestrzegali reguł, świat z pewnością bezpowrotnie by przepadł. Napoleon Bonaparte, twierdzący, że armię czyni zwycięską nade wszystko jej automatyzm działania płynący z doświadczenia – z liczby powtórzeń manewrów i z wielokrotności stosowania ich w boju – że te czynniki dostarczają oficerom i żołnierzom odwagi, cierpliwości i siły moralnej, nie znalazłby zrozumienia u hollywoodzkich scenarzystów. Zastanawiam się, czy ten gwałt na rzeczywistości, jasny dla kupieckiej natury Amerykanów czy Anglików (w sytuacji zagrożenia ludzi nie ratuje improwizacja i brawura, lecz rutynowe i ścisłe przestrzeganie procedur), jest takim samym gwałtem dla polskiego umysłu. Czy nie jest czasem dla Polaków potwierdzeniem słuszności sposobu myślenia i działania, który – nie w kinie, lecz w życiu codziennym – każe deptać zasady, nie zmuszając do zastanowienia, że są one zbawienne, gdyż czynią nasze życie przewidywalnym i stabilnym? Czy tam, gdzie Amerykanin widzi tylko fikcję, Polak nie dostrzega czasem normalnego stanu rzeczy?

Schematyzm kasowego filmu amerykańskiego ujawnia się także w stałym eksploatowaniu dorobku Zygmunta Freuda, Jeana-Jacques’a Rousseau oraz Fiodora Dostojewskiego. Okazuje się prawie za każdym razem, że wielokrotny i pozbawiony wszelkich skrupułów morderca, ścigany przez Brada Pitta lub Angelinę Jolie, miał napięte stosunki z matką lub ojcem, bratem lub siostrą, wujem lub ciotką. Generalnie jego rodzina była dysfunkcjonalna. Inne instytucje, w które

wkraczał – szkoła, firma itp. – także obchodziły się z nim niegodziwie. Odpowiedzialność za to, kim się stał i co zrobił ludziom, którzy mieli nieść śmierć stanąć mu na drodze, należy złożyć wyłącznie na karb wadliwie funkcjonujących instytucji i całego systemu społecznego. Mamy już zatem Freudowską psychoanalizę oraz zaczerpniętą od Rousseau krytykę społeczeństwa, na gruncie której angeliczna natura ludzka zostaje sponiewierana przez zdegenerowane instytucje. A gdzie autor „Zbrodni i kary”? Dostojewski odciska swoje

dla nas wyrozumiali i pobłażliwi, podobnie jak oni mogą liczyć na naszą pobłażliwość i wyrozumiałość. Jest chyba jasne, do jakiego stopnia może to rodzić pokusę szukania ciągłych uzasadnień na rzecz abdykowania z odpowiedzialności przez ludzi zdrowych na umyśle i w pełni sił fizycznych. Gdyby Polacy mieli przyswoić sobie tę lekcję i umocnić w sobie chęć poszukiwania źródeł swoich niepowodzeń wszędzie, tylko nie w sobie, nie wróżyłoby nam to niczego dobrego. Co na to poradzić, że nie ma innego sposobu

Czyż zadaniem rozrywkowego filmu nie jest odrywanie ciężko pracujących i poddanych dyscyplinie ludzi od tzw. prozy życia?

piętno na hollywoodzkim schemacie, gdy przerwania filmu każe nam się dopatrywać dobra w każdym, nawet najsadystyczniejszym zbrodniarzu. Owo rozważanie odpowiedzialności za własne czyny wyraża naturalnie współczesnego ducha Zachodu, hołdującego etosowi humanitarystyczno-eudajmonistycznemu, mówiąc językiem Arnolda Gehlena. W uproszczeniu sedno tego etosu wyraża twierdzenie, że wszystko, czego winniśmy oczekiwać od innych ludzi, to żeby byli

zmuszenia człowieka do uczciwego myślenia i postępowania, do wznieśienia się na szczyty pomysłowości i przezorności, jak tylko sprawić, by ponosił nieuchronną odpowiedzialność za swoje myślenie i postępowanie? Jest to tak samo prawdziwe dziś, jak było w przeszłości. Tyle że w dużo mniej humanitarnych czasach, w takim rzymskim legionie czy w „wielonarodowej” armii Hannibala, uchybiający rozkazowi żołnierz był natychmiast krzyżowany.

■



www.wydawnictwomg.pl

LENINO

– symbol przyszłego zwycięstwa

Bez kościuszkowców Stalin wojnę by wygrał, za to Polska wcale nie musiała się odrodzić jako samodzielne państwo

Paweł Sergiejczyk

Są w historii bitwy, które zmieniają losy poszczególnych krajów, kontynentów, a nawet całego świata. O nich się pamięta, uczy w szkołach, pisze książki, kręci filmy itd. Polacy takich bitew w swoich dziejach nie stoczyli. Naszą przeszłość kształtowali raczej inni, więksi i silniejsi od nas – czasem przy udziale naszych przodków, czasem poza nimi lub wbrew nim. A jednak polska historia obfituje w nazwy miejsc zroszonych krwią naszych żołnierzy, nieraz nawet bardzo obficie. Tyle że większość owych bitew nie wpłynęła na losy Polski. Są to bitwy symbole, pięknie opisywane przez historyków i literatów, lecz niemające większego znaczenia politycznego.

Z pewnością można to powiedzieć o niemal całym czynie zbrojnym Polaków z I i II wojny światowej. Niemal – bo jednak opór Polski wobec niemieckiej agresji we wrześniu 1939 r. miał kluczowe znaczenie dla dalszego biegu wypadków w skali europejskiej i światowej. Trudno się nie zgodzić z opinią historyków Czesława Brzozy i Andrzeja Leona Sowy, że „swoją samotną walką Polska opóźniła niemieckie uderzenie na Francję i Wielką Brytanię, przez co dała im czas na rozbudowę potencjału militarnego i zwiększyła szanse sprzymierzonych w ostatecznej konfrontacji zbrojnej z Niemcami. Klęska Polski nie może zmienić faktu, że kampania 1939 r. była najpoważniejszym militarnym wkładem Polski w przebieg II wojny światowej i jednym z największych wysiłków organizacyjnych

i wojskowych państwa polskiego w całych jego dziejach”.

Faktyczna likwidacja państwa polskiego jesienią 1939 r. uniemożliwiła Polakom znaczący udział w zmaganiach wojennych aliantów. Udział ten z konieczności był symboliczny, co nie znaczy, że mały – po prostu nie miał znaczenia rozstrzygającego na którymkolwiek z frontów wojny. Trzeba sobie powiedzieć wprost: zasadniczego wkładu w pokonanie III Rzeszy nie wnieśli ani polscy lotnicy, ani polscy marynarze, ani jakkolwiek polska jednostka wojsk lądowych. To samo dotyczy polskiego podziemia, łącznie z jego największą bitwą – powstaniem warszawskim. Ta oczywistość uchodzi za herezję w dzisiejszej Polsce, gdzie umacnia się przekonanie o tym, że byliśmy „czwartą co

świata, niespodziewanie tracąc swój potencjał terytorialny i ludnościowy, zmuszony jest walczyć o polepszenie własnej sytuacji symbolicznym zaznaczeniem woli walki ze śmiertelnym wrogiem. Nie znaczy to, że każda forma takiej symbolicznej walki musi być dla przetrwania narodu korzystna. Każdy rozsądny dowódca powinien ważyć możliwe zyski i straty, zanim pošle swoich żołnierzy na pole bitwy. A każdy rozsądny polityk powinien robić wszystko, by trud i krew tych żołnierzy przyniosły jak największą poprawę położenia narodu, za który wziął odpowiedzialność.

Właśnie w takim kontekście należy rozpatrywać bitwę pod Lenino, która rozegrała się 80 lat temu (12 października 1943 r.) – w kluczowym momencie II wojny światowej

Bitwa pod Lenino rozegrała się 80 lat temu w kluczowym momencie II wojny światowej i na kluczowym odcinku najważniejszego frontu tej wojny.

do wielkości armii koalicji antyhitlerowskiej”. Narodowa megalomania nie powinna jednak zastępować chłodnej, rzetelnej analizy procesów historycznych, których kluczowymi aktorami wszak nie byliśmy.

Zyski i straty

Mimo to polski czyn zbrojny z lat 1939-1945 warto docenić, umieszczając go we właściwych proporcjach i analizując w takim wymiarze, na jaki naprawdę zasługuje, czyli właśnie symbolicznym. Bo naród nienależący do czołówki narodów

i na kluczowym odcinku najważniejszego frontu tej wojny. Trzy miesiące po gigantycznej bitwie pancernej na łuku kurskim, której znaczenie strategiczne przewyższało klęskę Niemców pod Stalingradem (niewątpliwie ważniejszą psychologicznie, i to dla obu stron), Armia Czerwona parła na zachód, uwalniając spod okupacji niemieckiej kolejne obszary ZSRR. Najważniejsze walki toczyły się o zdobycie Bramy Smoleńskiej, czyli przesmyku pomiędzy górną Dźwiną i górnym Dnieprem, stanowiącego od wieków istotny punkt geopolityczny, otwierający obcy wojskom



W wyniku dwudniowych walk pod Lenino zginęło lub zmarło od ran 510 polskich żołnierzy, 1776 zostało rannych, a 652 uznano za zaginionych.

najprostszą drogę do Moskwy. Teren ten, dziś leżący na pograniczu Rosji i Białorusi, przez cztery wieki – od końca XIV do końca XVIII stulecia – stanowił granicę pomiędzy Wielkim Księstwem Litewskim a Wielkim Księstwem Moskiewskim (później Rosją). Tędy szli na Moskwę wielki książę Witold, hetman Żółkiewski, Napoleon i Hitler. Tędy też podążali Rosjanie marzący o rozszerzeniu swojego imperium na zachód.

I właśnie w tym miejscu, nad rzeką Miereją, w pobliżu miasteczka Lenino, które niegdyś nazywało się Romanowo i należało do Radziwiłłów, rozegrała się jedna z bitew tej wielkiej operacji Armii Czerwonej. Dla dowódców radzieckich Lenino stanowiło tylko jedną z wielu nazw na mapie, lecz dla 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki miał to być chrzest bojowy. Polska jednostka, utworzona wiosną 1943 r. w Sielcach nad Oką z tych, którzy „nie zdążyli do

Andersa”, złożyła 15 lipca, w rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem, uroczystą przysięgę i czekała na pierwszą okazję, by zetrzeć się z wrogiem w prawdziwej walce. Czas i miejsce tej pierwszej walki nie zostały wyznaczone przez jej dowódcę, gen. Zygmunta Berlinga, lecz, co oczywiste, przez zwierzchników radzieckich, gdyż polska dywizja stanowiła część 33. Armii dowodzonej przez gen. Wasilija Gordowa. Co ciekawe, Gordow, doświadczony oficer wywodzący się jeszcze z armii carskiej, po wojnie niedługo cieszył się zwycięstwem, w którym miał niemały udział. Już w 1947 r. został aresztowany, a trzy lata później skazany na karę śmierci i rozstrzelany pod typowym stalinowskim zarzutem „zdrady stanu” i „działalności kontrrewolucyjnej”.

Dla Polaków gen. Gordow był jednak tym, który wydał rozkaz sforsowania Mierei na północ od Lenino, przełamania niemieckiej obrony na

zachodnim brzegu rzeki i osiągnięcia rejonu wsi Pożuchy i Trygubowa, a następnie kontynuowania natarcia w kierunku zachodnim w celu osiągnięcia linii Dniepru. Główne uderzenie 1. Dywizji Piechoty rozpoczęło się 12 października 1943 r. w godzinach przedpołudniowych. Oddziały polskie wykonały pierwszą część zadania, zostały jednak powstrzymane przez Niemców na linii Trygubowa-Pożuchy, w odległości zaledwie 2,5-4 km na zachód od Mierei. Tego i następnego dnia kilkakrotnie ponawiane natarcia nie przyniosły większych rezultatów, dlatego 14 października polska dywizja została złuzowana przez radziecką 164. Dywizję Piechoty i przeszła na zaplecze frontu.

Tragiczna norma

W wyniku dwudniowych walk pod Lenino zginęło lub zmarło z ran 510 polskich żołnierzy, 1776 ►

zostało rannych, a 652 uznano za zaginionych. Łączne straty dywizji kościuszkowskiej wyniosły ponad 18% jej stanu. W wydanych pośmiertnie pamiątkach gen. Berling nie miał wątpliwości, że wina za tak krwawy przebieg bitwy obciąża gen. Gordowa, który arbitralnie zarządził skrócenie niezbędnego przygotowania artyleryjskiego pod pretekstem, że przeciwnik się wycofał. W rezultacie Polacy ruszyli faktycznie pozbawieni przykrycia ogniowego i bez niezbędnego zaopatrzenia w amunicję. Nie należy jednak w tym widzieć jakiegokolwiek polityki antypolskiej czy wręcz – jak twierdzą niektórzy – „drugiego Katynia”. Nieliczenie się ze stratami ludzkimi było tragiczną normą w wojnie Stalina z Hitlerem, a chrzest bojowy Polaków musiał być maksymalnie krwawy, by władze w Moskwie i polscy komuniści sprawujący nadzór polityczny nad wojskiem gen. Berlinga mogli mu nadać odpowiednią rangę propagandową. Zresztą i sama nazwa Lenino nie mogła być przypadkowa dla narodu, który zaledwie 23 lata wcześniej odpart armie Lenina z przedpola swojej stolicy, a teraz przyszło mu być wyzwalanym przez jego ideowych i politycznych spadkobierców.

Droga do nowej polskiej państwowości wiodła od Lenino do Berlina.

Straty polskiej dywizji w tamtej bitwie oczywiście szokują, ale warto je porównać z inną bitwą, która dla Polaków miała się stać – i jest do dzisiaj – symbolem odwagi i bohaterstwa. W maju 1944 r. w walkach o Monte Cassino zginęło 924 żołnierzy 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, 2930 zostało rannych, a 345 uznano za zaginionych. Obie te hekatombie mają jeszcze jeden wspólny mianownik: i pod Lenino, i pod Monte Cassino walczyli i ginęli niedawni sybiracy, wywiezieni w głąb ZSRR w latach 1940-1941, cudem uratowani „z domu niewoli” przez gen. Andersa albo przez gen. Berlinga. Ale rzecz charakterystyczna – mimo trwającej mody na

przypominanie „polskich Kresów” akurat o tych Kresowiakach, którym udało się dotrzeć do nowej Polski w mundurach kościuszkowców, pamięta się dzisiaj niechętnie. Znacznie chętniej przypominane są polskie pałace, dwory i kościoły na dzisiejszej Litwie, Białorusi i Ukrainie.

Dla 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki to miał być chrzest bojowy.

Zresztą trudno się dziwić, że obecna Polska – oficjalnie antykomunistyczna i antyrosyjska – nie chce pamiętać o tych Polakach, którzy walczyli ramieniem z Armią Czerwoną i byli przez nią honorowani. A wśród licznych odznaczeń, które otrzymali bohaterowie spod Lenino, znalazły się najzaszczytniejsze: trzy przyznane pośmiertnie tytuły Bohatera Związku Radzieckiego – jedyne, jakie Polacy otrzymali podczas całej wojny. Warto przypomnieć nazwiska tych odznaczonych, bo są to wielce charakterystyczne postaci.

Pierwsza była Aniela Krzywoń, 18-letnia córka osadnika wojskowego z województwa tarnopolskiego (jej ojciec walczył w Legionach Polskich, a potem w wojnach 1920 r. i 1939 r.),

zarówno przed bitwą, jak i... po niej. Okazało się bowiem, że ówczesny kapitan Juliusz Hibner nie zginął pod Lenino, lecz ranny w obie nogi trafił do szpitala wojskowego, gdzie długo pozostawał nierozpoznany. Syn żydowskiego sklepikarza z okolic Tarnopola, przed wojną działacz

Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, żołnierz Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, od czerwca 1941 r. walczący w szeregach Armii Czerwonej, został skierowany do dywizji kościuszkowskiej jako zastępca dowódcy pułku ds. politycznych. Po wyleczeniu ran spod Lenino przeszedł szlak bojowy 2. Armii Wojska Polskiego aż do Budziszyna, po wojnie zaś był zastępcą dowódcy, a potem dowódcą Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, przekształconego później w Wojsko Wewnętrzne. W jego biografii znalazło się miejsce zarówno na antyukraińską akcję „Wisła” w 1947 r. (był zastępcą dowódcy Grupy Operacyjnej „Wisła”, gen. Stefana Mossora), jak i na jednoznaczne poparcie dla przemian październikowych w 1956 r., gdy Hibner – już jako generał i wiceminister spraw wewnętrznych – wraz z dowódcą Wojsk Wewnętrznych gen. Wacławem Komarem mieli szykować obronę Warszawy przed zbliżającymi się wojskami radzieckimi. Za tamtą postawę Hibner został po kilku latach przeniesiony w stan spoczynku i usunięty z MSW, co wykorzystał, by zrobić... karierę naukową. Został doktorem fizyki i aż do 1969 r. pracował w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Zmarł w 1994 r., a więc już w III Rzeczypospolitej, choć urodził się jeszcze jako poddany cesarza Franciszka Józefa I w Galicji.

Niedobitki Stalina

Dla takich ludzi jak Juliusz Hibner bitwa pod Lenino miała znaczenie podwójne: nie tylko polityczno-propagandowe, ale też osobiste. Polscy komuniści w Związku Radzieckim,

niedobitki rozwiązanej przez Stalina w 1938 r. Komunistycznej Partii Polski, w powszechnym odczuciu – ale i według własnej ideologii – nie byli związani z polskim narodem i jego tradycją. Często pochodzili z rodzin żydowskich, a nawet jeśli nie, to i tak komunistyczny internacjonalizm zastępował im tożsamość narodową. II wojna światowa radykalnie to zmieniła. Stalin rozwiązał Międzynarodówkę Komunistyczną i ogłosił Wielką Wojnę Ojczyźnianą, w której każdy z okupowanych przez III Rzeszę narodów miał mieć swój udział. Także Polacy. Dlatego komuniści pochodzący z Polski musieli stać się pełnymi Polakami, w polskich mundurach, z piastowskim orzełkiem na czapkach. A ponieważ od XVIII w. polskość najprościej wyraża się w krwi przelanej za wolność ojczyzny, to krwawy chrzest bojowy pod Lenino był dla tych świeżo mianowanych oficerów

rodem z KPP ostatecznym przyjęciem tożsamości narodowej. Wielu z nich zresztą otrzymało 11 listopada 1943 r. z rąk gen. Berlinga krzyż *Virtuti Militari* – trudno o bardziej wymowne przywiązanie do polskiej tradycji wojskowej.

Nic dziwnego, że w Polsce Ludowej rocznica bitwy pod Lenino stała się Dniem Wojska Polskiego. Wprowadził to święto w 1950 r. dowódca wówczas polską armią marsz. Konstanty Rokossowski, jeden z najwybitniejszych dowódców w II wojnie światowej, przez całe życie świadomy swojego polskiego pochodzenia, chociaż dziś pamiętany już tylko jako symbol sowietyzacji wojska w okresie stalinizmu. Ostatni raz żołnierze świętowali 12 Października w 1991 r., rok później Święto Wojska Polskiego przeniesiono na dzień 15 sierpnia – w rocznicę bitwy warszawskiej w 1920 r. Ranga

tej ostatniej w naszych dziejach jest nieporównanie większa, choć można zapytać, dlaczego o bitwie pod Lenino mamy wstydliwie milczeć. Przecież III Rzeczpospolita jest terytorialną i prawną kontynuatorką Polski Ludowej, a tej by nie było, gdyby nie wola Stalina potwierdzona przez jego zachodnich aliantów na konferencji w Teheranie, zaledwie kilka tygodni po krwawym boju pod Lenino. Śmierć poległych tam polskich żołnierzy nie poszła zatem na marne – stała się pierwszym, jakże ważnym potwierdzeniem polsko-radzieckiego „braterstwa broni”, którego bardziej potrzebowali Polacy niż sam Stalin i jego państwo. Bo bez kościuszkowców Stalin tę wojnę i tak by wygrał, za to Polska wcale nie musiała się odrodzić jako samodzielne państwo. Droga do nowej polskiej państwowości wiodła od Lenino do Berlina.

Paweł Sergiejczyk



PAMIĘTAMY O BOHATERACH

W 80. rocznicę bitwy pod Lenino przed Grobem Nieznanego Żołnierza odbyły się główne uroczystości upamiętniające wkład 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki w wyzwolenie kraju i jego odbudowę. Mówił o tym w imieniu Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców jego wiceprezes, gen. Zenon Poznański: „Po 1989 r. zaczęto wymazywać i zniekształcać fakty z dziejów szczególnie sił zbrojnych na Wschodzie, w tym 1. Dywizji Piechoty. Kwestionując dokonania zwycięstwa nad hitleryzmem, a niekiedy krytykując i szydząc z żołnierskiej odwagi, męstwa i poświęcenia, pomniejszając tym samym daninę krwi, tylko dlatego, że szlak bojowy tych wojsk wiodł ze

Wschodu i rzekomo z niewłaściwym sojusznikiem. (...) Walki kościuszkowców nie miały wielkiego znaczenia strategicznego, miały natomiast duże znaczenie polityczne, bowiem polska racja stanu nakazywała walkę polskim żołnierzom w szeregach koalicji antyhitlerowskiej. Bez względu na orientację polityczną ośrodków władzy, jakim podlegali”.

W uroczystościach wzięli udział dwaj uczestnicy bitwy pod Lenino: płk Tadeusz Makarewicz z kpt. Jerzy Henkel, a także organizacje kombatanckie. Ci, którzy mieli obowiązek być przed Grobem Nieznanego Żołnierza – pisowskie władze wojskowe i kombatanckie – oczywiście się nie zjawili. (pd)

Prawda wyszła na jaw

Ponad rok trwała batalia o przywrócenie szefa związku zawodowego Prawda do pracy na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim

Marek Książek

Wygranym jest Andrzej Adamowicz, człowiek waleczny i uparty, nie tylko na polu związkowym, bo był kiedyś policjantem, potem zaś redaktorem gminnej gazety „Echo Purdy”, toczącym w poprzedniej kadencji boje z wójtem, a później z szefową rady gminy – pisaliśmy o tym w tekście „Medialne wojny na dole” (PRZEGLĄD nr 31/2018). Po przejściu na policyjną emeryturę zaczął zarabiać na chleb na UWM, od 2007 r. jako komendant zmiany straży uniwersyteckiej, a po 10 latach został starszym portierem w bibliotece. Gdy po uczelni rozeszła się wieść, że będą zwolnienia w dziale bezpieczeństwa i ochrony mienia, wraz z kolegami założył Niezależny Związek Zawodowy Pracowników UWM Prawda. Trzeci obok Związku Nauczycielstwa Polskiego i Solidarności. Sam został szefem nowej organizacji, do której przystąpili także pracownicy dydaktyczni, w tym prof. dr n. med. Jerzy Gielecki z wydziału lekarskiego, późniejszy wiceprzewodniczący związku, liczącego dziś ponad 100 osób.

Od pierwszej chwili Prawda stała się kolcem w oku kierownictwa uczelni. Stała pytania do rektora o jego wynagrodzenie oraz prosiła o listę pracowników, którym przyznawał dodatki specjalne. Bo te dodatki mogły świadczyć, kto ma z nim dobre układy i za co mógłby mu się odwdziżyć, choćby przy reelekcji dotychczasowego lub wyborze nowego rektora. A do takiej sytuacji doszło w 2020 r., gdy prof. Ryszard Górecki, były senator PO, szykował się do odejścia, a na swoje miejsce rekomendował dotychczasowego prorektora, dr. Jerzego Przyborowskiego. Wtedy Adamowicz zaproponował dodanie



w statucie UWM, że rektorem może być profesor tytularny (a kandydat takiego tytułu nie miał). Tej zmiany jednak nie udało się przeforsować.

Nadal więc dochodziło do utarczek z władzami UWM, które związkowcy zasypywali pytaniami. Do tego stopnia, że podobno sparaliżowały one pracę uczelni. Wreszcie w czerwcu 2022 r. do zarządu Prawdy dotarło pismo powiadamiające o zamiarze zwolnienia z pracy starszego portiera Andrzeja Adamowicza. Postawiono mu 14 zarzutów, w tym dotyczące nieuprawnionej wymiany wkładki do zamka w drzwiach pomieszczenia zajmowanego przez tenże związek – o czym pisaliśmy w artykule „Prawda w oczy kole” (PRZEGLĄD nr 34/2022). Niby chodziło o portiera, ale w tle widoczny był związkowiec. Bo jak zrozumieć zarzut nielojalności wobec pracodawcy polegającej na „publicznym wygłaszaniu szkalujących dobre imię uczelni i jej władz wypowiedzi w postępowaniu sądowym”. Rzecz w tym, że Adamowicz występował w obrobie trzech osób, które pozwały uczelnię do sądu pracy, jako przedstawicieli organizacji społecznej, nie portier.

W końcu i sprawa Adamowicza znalazła się w tym samym sądzie, bo choć jego związek nie wyraził zgody na zwolnienie przewodniczącego, a on sam wypowiedzenia nie przyjął, stało się ono faktem. Szef Prawdy domagał się przywrócenia do pracy. W trakcie procesu przesłuchano licznych świadków, zajmując się kolejnymi zarzutami. Trwało to ponad rok, powoda wspomagała kancelaria Lecha Obary, aż niespodziewanie w sprawę włączył się prokurator Prokuratury Regionalnej w Białymstoku, co jest rzadkością w sprawach o przywrócenie do pracy. Na skutek jego interwencji 26 września br. wydział pracy i ubezpieczeń społecznych Sądu Rejonowego w Olsztynie wydał bezprecedensowe postanowienie „w przedmiocie zabezpieczenia poprzez nakazanie dalszego zatrudnienia przewodniczącego ZZ Prawda Andrzeja Adamowicza przez pozwanego do czasu prawomocnego zakończenia postępowania”. Co znaczy, że uczelnia miała go przywrócić do pracy, bo jako chronionego prawem nie mogła go zwolnić bez zgody związku zawodowego.

I wkrótce, 9 października br., zapadł wyrok, jeszcze nieprawomocny, którym sąd przywrócił Adamowicza do pracy i nakazał wypłacić mu 4 tys. zł zadośćuczynienia. Uzasadnienie było proste: uczelnia nie mogła go zwolnić, bo chronią go przepisy prawa pracy, chyba żeby w sposób rażący naruszył obowiązki pracownicze (wtedy można zastosować zwolnienie dyscyplinarne). Co prawda, sędzia Grażyna Giżewska-Rozmus omówiła wszystkie zarzuty wobec powoda, ale dotyczyły one albo lat 2017-2018, albo były skrojone na wyrost, bo np. wysłanie kilkudziesięciu pytań do rektora nie mogło sparaliżować działalności uczelni, co najwyżej utrudniło życie urzędnikom. Władze UWM mają poprosić o pisemne uzasadnienie wyroku, wtedy zdecydują, czy wnieść apelację. Sam Andrzej Adamowicz, choć zadowolony z orzeczenia, nie ukrywał gorzkości, bo ta oczywista sprawa powinna się zakończyć po pierwszym posiedzeniu sądu, a nie (na koszt podatnika) ciągnąć się tyle czasu. ■

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nadzieja

Wahało się, wahało i już zostało po stronie „wygramy te wybory”. Wcześniej dominował pesymizm, co beźmiernie mnie irytowało. Ciemne widzenie przyciąga mrok i działa mechanizm samospełniającej się przepowiedni. Nie mogłem już słuchać tego marudzenia. Zamiast narzekać, mówiłem: idź w lud, przekonuj, choćby jedną osobę. Ja mam na celowniku dwie. I jadę do Głogowa na spotkania, będę tam też agitował. Waga tegorocznych wyborów większa niż tych z 1989 r. Wtedy wszystko zmierzało do przełomu, wielka rzeka płynęła w kierunku demokratycznym, mogła mieć potem różne brzegi, ale kierunek był ten. Teraz nieuchronnie płyniemy w stronę dyktatury. Jeśli przegramy, biada nam. W finale czołganiem się przez pełzanie opuścimy Unię Europejską.

Kiedy piszę ten felieton, nie wiem, jaki będzie rezultat wyborów, PRZEGLĄD ukaże się w poniedziałek, gdy wyniki będą już orientacyjnie znane. Jeśli wygramy, spadnie betonowy blok, który nas przygniata. Już teraz jakby lżej-szy, bo jest nadzieja. Jak wygramy, umawiałem się wpaść do Mariusza, pobliskiego wulkanizatora (kupił butelkę na tę okazję), wyściskać Kaszubkę, która ma w pobliżu sklepik rybny, pogratulować Rajmundo-wi, ma w Aninie warsztat samochodowy, no i sąsiedzi, z nimi też trzeba będzie się spotkać, niemal za dużo tych obowiązków. Jeśli wygramy, to co będzie po tej wygranej? Radość, ale i obawa, przecież PiS nie pogodzi się z przegraną. Będzie chciało uzyskać unieważnienie wyborów przed Sądem Najwyższym, który został zdominowany przez rządzących. A co, jak unieważnią wybory? Może nawet wojna domowa, już gorąca. Więc szkoda, że właśnie najwyżsi generałowie mają dosyć i podają się do dymisji, mogliby się przydać i bronić demokracji. Ale te dymisje – oby to był gwóźdź do trumny PiS.

Poniedziałkowa debata? Właściwie nic mnie nie zaskoczyło, nawet słabsza forma Tuska, za duży ciężar na jego barkach i nie ma doświadczenia telewizyjnego. Dlatego najlepiej wypadł Hołownia, co też przewidywałem. Morawiecki przenosi debatę w stronę mrocznych bajek dla dzieci braci Grimm. Pojawił się nagle wielki dzban pełen złota i srebra. Lud pisowski już widzi ten dzban, który Putin daje w prezencie Tuskowi. A Tusk ugina się pod jego ciężarem. Morawiecki zmienił się w jakiegoś upiора kłamstwa i chamstwa. Dziennikarze prowadzący program zadawali niemożliwie długie pytania, propagandowe agitki, z tezą w środku. Powtarzane dwukrotnie, by treści pisowskie weszły do głowy słuchaczy. Tusk nazywa Morawieckiego

Pinokiem, Morawiecki mówi: „Wszyscy na jednego, banda rudego”. Za co nas Bóg pokarał takim premierem? I tak wygląda debata w jednym z największych państw Unii, gdy mamy dramat klimatyczny i obok trwa wojna. W sumie jednak debata dobra dla opozycji, nawet nie zmartwiłem się, że przekonujący był Bosak z Konfederacji. Ważne, że Trzecia Droga niemal na pewno przekroczy próg wyborczy.

Nasza demokracja jest jak ryba, wyrzucona na brzeg, ledwie żyje, ale żyje, teraz trzeba ją na powrót wrzucić do wody.

Ciągle mam w sobie Izrael, gdzie tak niedawno byłem. Uderzało mnie, że w tej zimnej wojnie domowej, podobnej do naszej, Izraelczycy zdawali się zapominać, że jest wielkie zagrożenie zewnętrzne. Skomentuję atak terrorystów nie swoimi słowami, bo pięknie napisał o sytuacji Bartosz Węglarczyk: „Tak, Palestyńczycy mają prawo do swojego kraju, ale tak długo, jak długo nie uznają prawa Izraela do istnienia i jak długo będą się dawać wykorzystywać innym, jako marionetki do atakowania Izraela,

Nieuchronnie płyniemy w stronę dyktatury. Jeśli przegramy, biada nam. W finale czołganiem się przez pełzanie opuścimy Unię Europejską.

tego państwa nie będzie. Mało kto z ich arabskich sąsiadów tego chce, dlatego Hamas jest tak dobrze uzbrojony. Bliskowschodnie piekło trwa, ale jak zawsze ostateczną prawdą pozostaje stare powiedzenie o tym, że gdyby Arabowie dziś zlikwidowali swoje armie i swoje organizacje terrorystyczne, to na Bliskim Wschodzie zapanowałby spokój, ale gdyby swoją armię zlikwidował dziś Izrael, to Izrael przestałby tego samego dnia istnieć”.

Tak, ale też jest sporo winy Netanjahu, popierał budowę osiedli na arabskich terenach, był nieprzejednany wobec Arabów, wszedł w koalicję z radykałami, których izraelscy liberałowie nazywają faszystami. Ale to wszystko nagle zupełnie błędnie, nawet znika, gdy ma się obraz czterdziściorga małych dzieci, którym obcięto głowy. Straszny jest los mieszkańców Gazy, oni też stali się zakładnikami terrorystów. Nawet w naszej debacie pojawił się wątek izraelski. Że grozi nam scenariusz izraelski, jak będziemy nadal tacy rozdarci. W Izraelu słyszałem: „Nie chcemy Polski w Izraelu”, teraz słyszę u nas: „Nie chcemy Izraela w Polsce” i wykorzystania przez siły zewnętrzne naszych podziałów.

Trzeba coś skończyć, żeby zabierać się do następnego

Każda rola, którą staram się szczerze budować,
potem coś mi zostawia, też czegoś od niej się uczę

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Jak powitano pana w Opolu, w Teatrze im. Kochanowskiego, po powrocie z Gdyni z najważniejszą nagrodą aktorską?

– Powitały mnie uściski, gratulacje i bardzo duża radość. Zawsze kiedy wracam do Opolu, idę na spacer albo biegać wzdłuż Odry w kierunku wyspy Bolko, tak witam się z Opolem, wtedy także, to taki mój rytuał. Z wałów dobrze widać Stare Miasto, bardzo lubię też park, w którym jest zoo, te pola i piękną przestrzeń, nocą jest tam świetne światło.

Przez ponad dekadę był pan związany z Teatrem Bałtyckim w Koszalinie.

– Powiedziałem sobie kiedyś, że jeśli skończę 40 lat i nadal będę w tym samym teatrze, to się zwolnię. Przyszła czterdziestka, zapytałem siebie, czy będę konsekwentny. Zacząłem mieć obawy, że mój stosunek do zawodu się zmieni, nie wiedziałem, czy to kwestia miejsca, czy teatru w ogóle, więc musiałem dokonać zmiany, sprawdzić, co się dzieje. Po ostatniej mojej premierze w Koszalinie, w reżyserii Piotra Ratajczaka, podziękowałem za 13 lat współpracy, w czerwcu, by teatr miał czas na uzupełnienie obsady. Ja tam bardzo dużo grałem, miałem świetne warunki zawodowe, rozsądek kazał mi zostać, natomiast serce wołało, żeby pójść dalej, nie mając nic zupełnie, żadnych perspektyw, żadnych rozmów w innych miejscach.

Były plany filmowe.

– W marcu zapadła decyzja, że zagram jedną z główniejszych męskich ról w filmie „Supernova” Bartka

ARTUR PACZESNY

– aktor, laureat nagrody na 48. FPFF w Gdyni, za pierwszoplanową rolę męską w filmie Grzegorza Dębowskiego „Tyle co nic”.



Kruhlika. To było potwierdzenie mojej wewnętrznej decyzji, coś się zaczęło dziać. W lipcu, dwa tygodnie przed rozpoczęciem zdjęć, miałem wypadek na motocyklu. Obudziłem się w szpitalu, odzyskałem przytomność, miałem całą prawą stronę potłamaną. Wróciłem do rodzinnego domu na wózku, w filmie nie zagrałem.

Brzmi to strasznie.

– W bardzo szybkim tempie zacząłem rehabilitację, wcześniej, niż lekarz ją planował, i kiedy po czterech miesiącach od wypadku byłem na kontroli, lekarz powiedział, że właściwie to nie wie, jak to się stało, ale jestem już „wylizany”. Po kolejnym miesiącu wróciłem w góry, wszedłem już na trzytysięcznik,

realizowałem wszystkie marzenia odłożone na półkę „na później”. Wtedy rzeczywiście mocno poczułem, że nie można odkładać marzeń, trzeba je realizować i robić miejsce na nowe. Jest jeszcze mnóstwo pięknych gór, na które chciałbym wejść, nie tylko w Alpach, ale i w Kaukazie, gdzie też wiele razy byłem, i na innych kontynentach. To był bardzo piękny czas, choć wygląda tragicznie. Zrobiłem także podsumowanie i plan zawodowy, czego nie chcę. Wszystko dobrze się skończyło, wtedy wszystko poukładało mi się w głowie, pewnie było mi to potrzebne, sam bym tak się nie zatrzymał. Zawodowo chciałem iść bardziej w stronę pracy przed kamerą.

Na początku pana drogi aktorskiej był Teatr Wirtualny przy Domu Kultury w Pile, razem z późniejszą aktorką Magdaleną Planetą.

– Trafiłem tam właściwie z jej powodu. Dzięki warsztatom, pracy nad ciałem i głosem, bardzo szybko się okazało, że to jest coś, co mnie fascynuje, i zostałem w tym teatrze. Później z Magdą założyliśmy tamże Teatr Rekonstrukcji. Studiowałem wiedzę o teatrze w Warszawie, po dwóch latach to rzuciłem, dostałem się na Wydział Lalkarski we Wrocławiu.

Aktorzy absolwenci „lalek” to ciekawa grupa artystów.

– Spotkałem się z opinią reżyserów, że bardzo lubią pracować z aktorami po wydziale lalkarskim. Mamy zajęcia z tymi samymi profesorami co Wydział Dramatyczny, przedmioty są takie same, dochodzą te związane z formami lalkowymi czy pracą z przedmiotem. Wielu reżyserów twierdzi, że taki aktor ma troszeczkę większe spektrum możliwości i znacznie mniejsze ego.

Jeździ pan konno, wspina się w wysokich górach, gra na instrumentach, był i motocykl.

– Czasem bardzo tęsknię za motocyklem, miałem bardzo duży, turystyczny, podróżowałem nim w wolnych chwilach po całej Europie, np. po Bałkanach. Pewnie jeszcze będę jeździł, ale czymś mniejszym, bardziej chodzi o to poczucie przestrzeni, sprawczości, że się nie stoi w korkach, można cały czas jechać. Muzyka z kolei jest dla mnie najczystsza ze sztuk, zawsze marzyłem, żeby być muzykiem. Jestem samoukiem, potrafię ze słuchu zagrać na wielu instrumentach. Kiedyś robiłem bębny, sam je dłubałem, naciągałem skóry. Mój wuj pochodzi z Góleszowa w Beskidzie Śląskim, jak byłem jeszcze dzieckiem, zabrał mnie w góry i złączyłem z nim większość beskidzkich szlaków, byłem zachwycony. Wracałem na szlaki z kolegami, potem były coraz wyższe góry i tak jest do dzisiaj.

Góry to nie epizod, ale stały element pana życia.

– Mam poczucie, że one bardzo mnie ukształtowały i chyba nauczyły pracy ze sobą, nad własnym charakterem, słabościami itd. Chcę teraz jeszcze wykorzystać wolny czas, który mam w teatrze i na planie, cały czas sprawdzam pogodę w Alpach i mam nadzieję ruszyć na Matterhorn.

To nie będzie pierwsze spotkanie z tą Górą Gór, Górą Idealną?

– Mam z nią niewyjaśnioną sprawę (uśmiech). Cztery lata temu z kolegą, z którym często się wspinałem, wymyśliliśmy sobie podejście trudniejszą drogą – większość ludzi wchodzi na Matterhorn od szwajcarskiej strony, jest prostsza. Za pierwszym razem pokonała nas zima. Za drugim już byliśmy prawie na szczycie, zostało nam podejście szczytowe, wysokość 200 m, w tych

Jestem na właściwej drodze, to, co sobie założyłem, sprawdza się i przynosi efekty.

trudnych warunkach wspinaczkowych jakieś trzy godziny wspinania. Musieliśmy zawrócić, ponieważ kolega miał wypadek i uszkodził rękę. To był najbardziej bolesny wyjazd, bo szczyt był właściwie na wyciągnięcie nomen omen ręki. Teraz w wakacje podjęliśmy trzecią próbę, żeby dokończyć ten temat, również od strony włoskiej. Lipiec przyniósł nam tam burze, grad i śnieg, czasami deszcz, bardzo szybko zmieniały się warunki. Byliśmy bardzo dobrze przygotowani, szliśmy w górę w dobrym tempie z dobrą energią, ale pogoda tak się załamała, że doszliśmy na 3800 m do schronu na skale, w którym można się prześpać. W deszczu, wietrze ok. 70 km na godzinę, na śliskiej skale trudno było się utrzymać na nogach, zrobiło się niebezpiecznie, a prognozy na

następne dni były fatalne. Rano, póki jeszcze było znośnie, zesłaliśmy.

Czwarte podejście do Matterhornu?

– Będzie, bo nauczone mnie, że najpierw trzeba coś skończyć, żeby zabierać się do następnego.

Schodzimy na ziemię: w filmie „Tyle co nic” jako Jarek Martyniuk jeździ pan czerwonym nissanem patrol, nosi czerwoną kurtkę. Kolory znaczą wasze postacie.

– Nasza kostiumografka rozpisała kolory dla każdej postaci, symbolikę tego koloru. Kolorem mojego bratanka był pomarańczowy, jeździł pomarańczowym samochodem; kolorem mojego przyjaciela był żółty, jeździł starym żukiem lublinem. Mój kostium od początku nie był kompletny, były różne wersje kurtki, ale czegoś im brakowało. Jakiś tydzień przed rozpoczęciem zdjęć zamieszkaliśmy w hotelu Manor, można powiedzieć, że przejeżdżaliśmy trochę

ten hotel na obrzeżach Olsztyna, no i tam Agata Wińska, kostiumografka, zobaczyła pana konserwatora w tej kurtce docelowej. Zachwyciła się od razu, podbiegła do niego, mówiąc, że chciałaby ją do filmu, pan się upierał, że kazali mu ją wyrzucić, bo brudna od oleju z silnika ciągnika. Tym bardziej ją chcieliśmy. W końcu pan się poddał. Jest nawet planowana na jakiś czas licytacja tej kurtki na wybrany cel.

Jak pan wchodził w tę drugą skórę, w kostium Jarka?

– To chyba najbardziej ulubiony kostium, jaki kiedykolwiek miałem na sobie, coś takiego zdarza się czasem, że zakładamy coś i czujemy się w skórze osoby, którą mamy grać, której życiem mamy się zajmować. Do tego buty, w których chodzi Jarek, czyli takie robocze, ciągle ubłocone buty, bo mieliśmy taką aurę i non stop pracowaliśmy w błocie. Zdejmowałem te buty tak naprawdę tylko, kiedy mieliśmy wolny dzień i szedłem sobie do Olsztyna na spacer, zwiedzić miasto, zjeść coś albo do małego kina studyjnego. Jakoś ▶

Artur Paczesny – absolwent Wydziału Lalkarskiego PWST im. Ludwika Solkiego w Krakowie, Filia we Wrocławiu, aktualnie w zespole Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, wcześniej w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie.

► tak mocno chciałem pobyc z tą postacią. Jeździłem jego samochodem, pojawił się z wypożyczalni przed rozpoczęciem zdjęć. To był samochód terenowy, czasami, jak kończyliśmy wcześniej zdjęcia, po prostu skręcałem w polną drogę i znikalem.

Uczył się pan też praktycznych czynności gospodarskich, bo chyba nie umiał pan doić krów czy jeździć specjalnymi pojazdami rolniczymi?

– To było także pokonywanie barier nieufności i dystansu osób, które się zgodziły na udostępnienie nam

Ktoś powiedział, że Jarek Martyniuk ma oczy Artura Paczesnego.

– To historia o człowieku i jego świecie wewnętrznym i zewnętrznym, w który bardzo wierzył, a on ulega rozpadowi i stawia Jarka przed okropnie trudnym wyborem. I już nie sposób przemilczeć pewnych spraw, udawać, że się nie widzi tego, co się dzieje wokół. Mam takie poczucie, że każda rola, którą staram się szczerze budować i grać z pełnym zaangażowaniem, potem coś mi zostawia, że ja też czegoś od niej się

Chciałem zrobić chociaż jeden film, w którym zagram jakąś dużą rolę, żeby rodzice mogli przyjść do kina.

swoich gospodarstw do zdjęć. Miałem szczęście, bo Marian, właściciel gospodarstwa, które stało się filmowym gospodarstwem Jarka, uczył mnie dwa miesiące przed rozpoczęciem zdjęć obsługi tych wszystkich maszyn, opieki nad 60 krowami. Byliśmy tam z reżyserem kilka dni, pracowałem fizycznie, robiłem to wszystko, uczyłem się, Marian przydzielił mi swojego syna do pomocy. Na tyle mi zaufali, że nie stałem, nie przyglądałem się; pokazywał mi, co mam robić, jechać w pole po białoty z kiszanką, potem je rozpakować, wrzucić zwierzętom, wszystko robiłem własnymi rękami. No i te wszystkie maszyny, traktory, system dojenia elektrycznego, zakładanie, wymiana węży na tym sprzęcie, który później miał być moim filmowym. Miałem możliwość doświadczyć, poczuć rytm tego życia, obowiązki. Pierwszego dnia przewiozłem taczka około tony paszy dla 20 krów, oczywiście sprzątałem wszystkie odchody zwierząt, dawałem im świeżą słomę, karmiłem paszą własnoręcznie. I to było niesamowite doświadczenie, takie bardzo uziemiające, szlachetne; po każdym z tych dni to zmęczenie, które czułem w ciele, to było coś dobrego, prawdziwego. Po trzech dniach usłyszałem bardzo piękny komplement od Mariana, tego prawdziwego gospodarza: „Wiesz, brakuje rąk do pracy przy krowach, można zarobić 5-6 tys., pokój i jeden ciepły posiłek. Ja bym cię chętnie przyjął”.

uczę. Pozwoliłem Jarkowi mieć we mnie oparcie, a ja poczułem, że on dał mi dużo wiary w siebie. Chyba bardziej uwierzyłem w siebie dzięki jego sprawczości. Jestem bardzo ciekaw reakcji ludzi mieszkających w małych miejscowościach, na wsi. Za sprawą tego, jaki jest Grzegorz Dębowski, reżyser, pełen szacunku do drugiego człowieka – a to się przekłada na film – wierzę, że odbiór będzie bardzo dobry.

Zaraz po festiwalu filmowym w Gdyni pojechał pan do rodzinnej Piły.

– Do rodziców i do domu kultury, gdzie na scenie stawiałem pierwsze kroki. Odwiedziłem to miejsce, żeby także porozmawiać o pilskim

najbardziej wdzięczny za to, że nie wymyślali mi przyszłości. Pozwalali mi szukać własnej drogi.

Różne znaczenie przypisuje się nagrodom, ale czy ta najważniejsza polska filmowa nagroda aktorska ma dla pana też jakiś prywatny wymiar?

– Pojawił się spokój, że jestem na właściwej drodze i to, co sobie założyłem, sprawdza się i przynosi efekty. Ta nagroda utwierdziła mnie w tym.

Przewijają nam się w rozmowie marzenia, pan nie boi się o nich mówić.

– Po wypadku robiłem sobie takie podsumowanie pracy zawodowej i pierwszy raz odważyłem się wtedy wypowiedzieć głośno marzenie o filmie, bo wcześniej wydawało mi się to niedostępane, nie dla mnie. I wtedy, na tym wózku inwalidzkim, powiedziałem na głos: „Daję sobie pięć lat, żeby znaleźć się w filmie”. Nie miałem pojęcia jak, ale po omacku miałem próbować. Kiedy jechałem teraz ze swoją partnerką do Gdyni, przypominałem sobie to i rzeczywiście minęło od tamtej chwili pięć lat. To niesamowite i opowiadam to wszystkim, bo to może inspirować. Często jest tak, że boimy się mieć marzenia i wydaje nam się, że one są jakieś nieosiągalne, a to nieprawda.

Plany zawodowe?

– Ukończyłem swój monodram, to się zaczęło w pandemii, zacząłem robić adaptację autobiografii wokalisty zespołu Sex Pistols, ten proces trwa

Nie można odkładać marzeń, trzeba je realizować i robić miejsce na nowe.

pokazie filmu. To jest małe miasto, bardzo mi zależy na tym, żeby moja rodzina zobaczyła ten film, żeby było spotkanie z reżyserem i rozmowa. To część mojego marzenia zawodowego, które w pewien sposób już się zrealizowało: kiedyś mówiłem, że chciałbym zrobić chociaż jeden film, w którym zagram jakąś dużą rolę, żeby rodzice mogli przyjść do kina. Zawsze mnie wspierali, moja nagroda to również ich radość, to dla nich, tak jak dla mnie, sukces i chyba jakiś rodzaj spełnienia. Kibicowali mi, byli cały czas ze mną, jestem im chyba

trzy lata. W czerwcu zrobiłem pokaz dla publiczności, żeby sprawdzić, na ile ta historia rezonuje. Chciałbym grać go w różnych miejscach, miastach, w teatrach offowych czy w knajpie. Chcę mieć coś swojego, niezależnego. Okazało się, że historia, którą opowiadałem w spektaklu, może działać bardzo inspirująco w przestrzeni autoterapeutycznej. Moim marzeniem jest granie tego w miejscach zamkniętych, do których nie dociera teatr.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Ten pierwszy poniedziałek

Takie to zabawy z czasem: felieton pisany w czwartek ukazuje się w poniedziałek, jestem zatem głupszy o wyniki exit poll, a czytelnik nie lubi, kiedy autor jest od niego głupszy. Nie będę zatem się wygłupiał ani tym bardziej wymądrzał. Głowy nie dam (zwłaszcza że w latach szczenięcych nader często byłem nazywany półgłówkiem i niepewność została mi na resztę życia), pół głowy też nie dam, ale czuję w swoich starych już kościach charakterystyczne łupanie „na zamęt”. Na niepokodę duch mnie rypie w krzyżu, czuję, że nadciąga front burzowy, wy już wiecie, a ja się dopiero domyślam, że w pierwszy dzień powyborczy nie będzie zadowolonych.

To akurat łatwo obstawić, bo Polak zadowolony nie jest nigdy – nigdy nic nie idzie po jego myśli, albowiem Polacy nie myślą, a emocją się kierują z natury swojej. Żaden z sondaży nie wskazywał na możliwość zajęcia przez PiS innego miejsca niż pierwsze – tutaj również bukmacherka nic nie wypłaci za przepowiednię, ryzyka nie ma żadnego, jeśli się domyślę w ten wietrzny czwartkowy poranek, że bez względu na ostateczną liczbę miejsc parlamentarnych, które przyjdzie kaczystom obsadzić w nowym Sejmie, zaraz po ogłoszeniu wyników otrąbią swoje wielkie zwycięstwo. I zacznie się kołomyja – szantaż emocjonalny (nie po myśli, więc po emocjach), skierowany na „chłopskie rozumy”: skoro wygraliśmy, to nie możemy oddać władzy.

Ja jestem człowiek pokrzywiony, więc niewiele mnie dziwi, ale prosty człowiek metodzie D'Hondta dziwi się ma prawo, jeśli w ogóle o niej słyszał, przelicznik procent na miejsca w parlamencie prostego człowieka niepokoi, a nawet wkurza, niczym przelicznik siły wiatru na ocenę skoku narciarskiego. On rozumuje, że jeśli ktoś oddał skok najdłuższy, znaczy, że jest najlepszy, a jeśli ktoś zajął pierwsze miejsce, to wygrał i basta, zatem propaganda pisowska z każdego rezultatu, który nie da jej samodzielnej większości, robi przekręt i łatwo przekona widownię TVP, że „oni nam chcą ukraść zwycięstwo”.

I ja w ten pochmurny windawski czwartek, daleki w czasie i przestrzeni, mam niejaki lęk, że skoro kilka dni przed wyborami szefem polskiego wojska zostaje

twórca WOT, przypadku w tym być nie może. Wojsko jest nam potrzebne na froncie wewnętrznym i w razie czego ma pomóc dopilnować, aby w kraju było „bezpieczeństwo i kontynuacja projektów, a nie chaos i konflikt”, jak pisał w przededniu wyborów Morawiecki. Usłyszymy więc jeszcze raz, że „atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści sieje spustoszenie psychiczne. Chaos i demoralizacja przybrały rozmiary klęski. Awanturnikom należy skrępować ręce” i rozpocznie się Kukuła Disco na ulicach. Nowy szef sztabu generalnego z politycznego nadania, pupil Macierewicza i Błaszczaka, to doskonała figura do ogarnięcia „niepokojów społecznych”, w razie gdyby władza poczuła się zagrożona. Lecz by do takowych niepokojów dojść mogło, musielibyśmy mieć społeczeństwo, nie tylko naród pęknięty

Wykluczanie ze wspólnoty, wynaradawianie, a w ostateczności odczłowieczanie – to jest retoryka PiS, której ta ponura sekta nie porzuci z dnia na dzień.

na dwa wrogie plemiona. Społeczeństwo musi posiadać sieć wzajemnych stosunków społecznych, tymczasem kaczysz od zaranka swojego istnienia żerował na waśni, pogłębianiu podziału i podsycaniu konfliktu, tak aby porozumienie w żaden sposób nie było możliwe. Wykluczanie ze wspólnoty, wynaradawianie, a w ostateczności odczłowieczanie – to jest retoryka PiS, której ta ponura sekta nie porzuci z dnia na dzień tylko dlatego, że siła jej oddziaływania procentowo spadła w stosunku do poprzednich wyborów.

Tradycyjny polski patriarcha domowy bije swoje dzieci i tłumaczy im, że to dla ich dobra. Zdziwiłbym się, gdyby nie sięgnęła po tę metodę prawica sfrustrowana tym, że jej plemię nieco się skurczyło, a naród pomimo fabryk kielbasy wyborczej pracujących na pełnych obrotach nie okazał się wystarczająco wdzięczny. Obywatelki i obywatele, nadeszła godzina ciężkiej próby.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

eprasa.pl 759dc5bf13

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!



Baśń ku przestrodze

Od kiedy Reymont napisał „Chłopów”,
mieliśmy sufrażystki, feminizm, ruch #MeToo,
a mimo to nadal istnieje przemoc wobec kobiet

Rozmawia Mateusz Demski

Gdy ktoś ekranizuje powieść Władysława Reymonta z początku XX w., nasuwa się pytanie: dlaczego? Po co wracać do „Chłopów”?

– To ciekawe, bo takie pytania pojawiały się od początku. Jak pomysł się rodził i podzieliłam się nim z Robertem Gulaczykiem, który gra Antka Borynę, a wcześniej zagrał van Gogha w „Twoim Vincencie”, zapytał: „»Chłooopów«? Naprawdę?”. Ludzie często reagowali w ten sposób. W głowie zostały im mgliste skojarzenia z lekcji polskiego, że cegła, że długie opisy. To może się źle kojarzyć. Sama nie pamiętałam zbyt dobrze tej książki ze szkoły. Byłam w liceum plastycznym, więcej czasu spędzałam przed sztalugą niż w książkach, może dlatego ze mną nie została.

A jednak po latach wróciłaś do Reymonta.

– Słuchałam bardzo dużo audiobooków, pracując przy „Świtezii” Kamila Polaka w Semaforze. Nagle trafiłam na „Chłopów”. Tak dobrze mi się przy nich pracowało, że jak malowałam „Twojego Vincenta”, przestłuchałam ich jeszcze raz. Ruszyło mnie, jak wciągający jest to tekst, jak plastyczna to powieść. Powrót po latach do tej książki uzmysłowił mi, że może trzeba być trochę starszym, żeby po nią sięgnąć – mieć więcej cierpliwości, ale też coś przeżyć. Akurat sama byłam po kilku trudnych przeżyciach. Poczułam, jak ważna jest to książka do zekranizowania. Chodziło jednak nie o klasyczną adaptację, tylko o sposób jej odczytania.

O czym dzisiaj są „Chłopi”?

– Dla mnie to opowieść o kobiecie, która ma odwagę być sobą, by pożądać, wyrażać swoją seksualność i skonfliktować to wszystko z głosem



**DK WELCHMAN
(DOROTA KOBIELA)**

– reżyserka filmu „Chłopi”,
polskiego kandydata do Oscara

większości, z konserwatywnymi wartościami ogółu. To też historia o przemocy wobec kobiet – zarówno fizycznej, psychicznej, jak i seksualnej, co rezonowało z tym, co dzieje się współcześnie i co mnie spotkało. Nie chodzi o to, żeby „Chłopów” znowu odrobić. Po prostu jest to powieść ważna dla mnie samej.

Na FPFF w Gdyni spotkałam się z opinią, że dzisiaj można w nich ujrzeć ponadczasową opowieść o małomiasteczkowej mentalności. Sprowadzanie tej historii do polskiej wsi jest zbyt krzywdzące, dlatego powiem szerzej: to opowieść o Polsce i Polakach.

– A może jeszcze szerzej. To daje się przenieść na inne kultury. Na festiwalu w Toronto podszedł do mnie

chłopak z Indii i powiedział, że aranżowane małżeństwa i lincze, jaki się odbył na Jagnie, są w jego kraju na porządku dziennym. Rozmawiałam też z Libańczykiem, który powiedział wprost: „Tak, to się dzieje u nas”. To nie tylko opowieść o Polsce. Wszędzie istnieją małe, zamknięte społeczności. Z drugiej strony Kamila Urzędowska, która gra Jagnę, pamięta podobne sytuacje z lat dwutysięcznych z rodzinnego miasteczka.

Dla mnie to także opowieść o slut-shamingu, czyli zawstydzaniu, piętnowaniu kobiet i wzbudzaniu w nich winy m.in. za to, jak wyglądają.

Jagna jest oskarżana o rozwiązłość i brutalnie upokarzana.

– To jest totalny slut-shaming, który pojawia się dziś notorycznie. Poza tym to, co spotyka Jagnę, przypomina trolling, mobbing i wszystko, co może się wydarzyć teraz, chociażby w internecie. Dlatego ten wątek wciągnęłam na pierwszy plan. Reymont postawił na bohatera zbiorowego. Skupił się na czworokacie: Jagna-Antek-Hanka-Boryna, ale jednocześnie wprowadził wiele tematów pobocznych, których nie podjęłam.

Stresowałaś się, że będą wam zarzucać oddalenie się od oryginału?

– Pamiętajmy o tym, że „Chłopi” mają ponad 700 stron, a nasz scenariusz 111. To był wybór, więc musiałam sobie powiedzieć: „OK, będą się czepiać, będą mnie osądzać”. Zawsze komuś czegoś zabraknie. Musiałam z tym się liczyć i podejść do tego wyzwania odważnie. Jeśli pytasz, czy się nie przejmowałam, że historia okaże się zbyt hermetyczna dla zachodniej publiki, to muszę powiedzieć, że bardziej bałam się reakcji na naszym podwórku. Już na etapie pierwszego zwiastuna polat się na nas hejt. Nie wiem, czy to cecha narodowa, ale ludzie muszą

krytykować, żeby pokazać, że mają zdanie na jakiś temat.

„Nie widziałem, ale się wypowiem”. Na bezprecedensową skalę miało to miejsce przy okazji „Zielonej granicy” Agnieszki Holland.

– No właśnie. „Muszę się wypowiedzieć, bo wiem lepiej”. Na nasz temat pojawiły się oszczerstwa, że nie malowaliśmy filmu ręcznie, ale użyliśmy filtra z Photoshopa. Albo stwierdzenia, że nie będzie to film tak dobry jak serial z lat 70. Ciągłe musimy wszystko porównywać. Robiłam ten film z Hugh Welchmanem, Brytyjczykiem. Kiedyś rozmawialiśmy, że w Anglii było już tyle wersji „Rozważnej i romantycznej” Jane Austen, w Stanach powstało chyba siedem ekranizacji „Małych kobietek”, a mimo to ludzie niekoniecznie porównują jedno do drugiego. Dla mnie „Chłopi” zasługują na jeszcze pięć różnych spojrzeń. Niech ktoś przyjdzie za rok i powie, że zrobi to po swojemu.

Zdementujmy więc: nie używaliście instagramowego filtra, jak sugerował popularny krytyk filmowy?

– Nasz film może się podobać lub nie, ale jeżeli ktoś mówi, że to nie zostało namalowane, zarzuca mi kłamstwo. Słowa mają ogromną wagę, a za tym filmem stoi praca setek ludzi. Film był najpierw całkowicie nagrany w wersji aktorskiej, jak „Twój Vincent”, a potem malowany klatka po klatce – zarówno w technice olejnej, jak i cyfrowej. Jakbyś zobaczył montaż, to na samym dole są ścieżki z planu i zdjęcia aktorskie, a na górze ścieżki z animacją, na równych etapach. Trochę tak, jakbyśmy zrobili film dwa razy. Nad tym wszystkim pracowało ok. 100 animatorów z czterech krajów. Łącznie spędzili przeszło 230 tys. godzin z pędzlem lub tabletem i namalowali dziesiątki tysięcy klatek. Rzadko kiedy się zdarza, że po filmach zostaje fizyczny zapis. U nas zachowało się ok. 3 tys. obrazów, które można powiesić na ścianie.



Film powstał w technice animacji malarzkiej, co jest ewenementem na skalę światową. Dzisiejsza animacja powstaje przede wszystkim cyfrowo. Królują filmy Pixara, Disneya, DreamWorks, z którymi staniecie do oscarowego wyścigu.

– Jest jeszcze świetny „Spider-Man: Poprzez multiwersum” i Miyazaki ze swoim najnowszym, wspinałym filmem „Chłopiec i czapla”, ale w wyścigu oscarowym w kategorii animacja liczy się mainstream. Członkowie akademii często nie znają wszystkich propozycji animowanych i głosują na to, co się podoba ich dzieciom. Dlatego w kategorii „najlepszy film animowany” film dla dorosłych ma trudną drogę. Ale ta sytuacja też powoli się poprawia – być może jest teraz lepiej niż pięć lat temu, kiedy byliśmy tam z „Twoim Vincentem”.

„Chłopi” i „Twój Vincent” wzięli się z twojej miłości do malarstwa.

– Tak, bo malowanie przez długi czas było moim życiem. Najpierw byłam w liceum plastycznym, gdzie najsilniej wsiąkałam w fotografię i malarstwo. Dodatkowo zaczęłam się uczyć u malarza Andrzeja Podkańskiego. Myślałam, że to będzie moja przyszłość, ale pojawiło się coś, co przeżyło. Potrzebowałam do moich

obrazów opowiedzieć jeszcze jakąś historię. Podkański chyba to u mnie zakorzenił. Stawiał na martwe natury, ale zawsze mówił, że rzeczy, które malujemy, są jak aktorzy na scenie: tu jest główna rola, tu drugoplanowa. **Sama też malowałaś „Chłopów”?**

– Nie. Robiłam projekty plastyczne, ale żeby wziąć pędzel do ręki, nie było takiej opcji. Skala była kilkukrotnie większa niż przy okazji „Twojego Vincenta”. Film jest jednak malowany nie bez powodu. Oddaje to sposób, w jaki zobaczyłam powieść. W dużej mierze korzystaliśmy z Reymontowskich opisów: obrzędów, tańca, ale miałam również w głowie konkretną młodopolską ikonografię. Jak zamykam oczy, to nie widzę chłopca z fotografii dokumentalnej. Widzę Chełmońskiego, Ruszczyca, Wyczółkowskiego. Jest to fantazja na temat tego czasu, a zarazem taka *cautionary tale* – baśń ku przestrodze.

Przeestroga bierze się wprost z Reymonta, ale wciąż można się zastanawiać, po co jeszcze raz o tym opowiadać – o kobiecie zgubionej przez swoją cielesność i namiętność. Co nam robią „Chłopi” w 2023 r.?

– Od momentu, kiedy zostali napisani, mieliśmy sufrażystki, feminizm, ruch #MeToo, a mimo to nadal istnieją przemoc wobec kobiet. Warto pokazać to jeszcze raz, żeby to prze-myśleć i żeby spróbować w jakimś sensie świat naprawiać. Na koniec zostawiamy widzów z nadzieją. Z przekazem na temat siły kobiet. Bo Jagna do samego końca pozostaje na tle większości jednostką odrębną, której chciałam dać głos.

DK Welchman (Dorota Kobiela) – scenarzystka i reżyserka, absolwentka ASP w Warszawie, członkini Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej oraz Europejskiej Akademii Filmowej. Jej film „Twój Vincent” (2017) zdobył nagrodę za najlepszy film animowany Europejskiej Akademii Filmowej oraz nominacje do Oscara, Złotych Globów i nagród BAFTA.

Był sobie Andrzej

Andrzej Lepper – populistą, trybun ludowy, założyciel i lider chłopskiej partii społecznego protestu wyrosłej na fali gniewu ofiar kapitalistycznej transformacji. Wicepremier, którego kariera i życie zakończyły się w sposób tragiczny i tajemniczy.



Lepper to bez wątpienia postać fascynująca, isticie szekspirowska, jak zapowiadali twórcy. Niestety, ich spektakl jest głośny, krzykliwy, lecz niewiele w gruncie rzeczy mówiący. Lepper, choć zmultiplikowany w efektownej przestrzeni w białoczerwone pasy, właściwie nie istnieje. Nie dowiemy się zbyt wiele o korzeniach społecznego gniewu, które wyniosły go do władzy, ani o tym, co doprowadziło do jego samobójstwa.

Jest tu coś o chłopskich korzeniach narodu, niedojrzałości demokracji i ogólnej beznadziejności Polski, wreszcie i o tym, że inteligenci wsi nie rozumieją, choć się starają. Słowem nic, czego już byśmy ze sceny nie słyszeli. Oglądamy więc rewię polityczno-satyryczną z całkiem zgrabnymi numerami zespołu Nagrobki. W jakiej jednak sprawie, trudno powiedzieć. Chyba dlatego, że twórcy nie do końca wiedzieli, czy robią spektakl o Lepperze, czy jednak o Kaczyńskim.

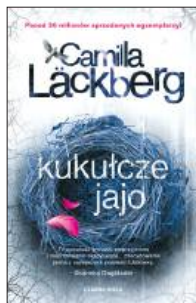
Michał Centkowski

Jarosław Murawski, „Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć”, reżyseria Marcin Liber, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera 29 września 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

Camilla Läckberg
Kukułcze jajo
tłum. Inga Sawicka
Czarna Owca, Warszawa 2023

Fjällbacka wiele się nie zmieniła – mordują się tu w najlepsze. Do pierwszego zabójstwa dochodzi niemal pod nosem głównych bohaterów cyklu, Eriki i Patricka, gdy bawią się na złotym weselu pary należącej do elity kulturalnej – szefowej wydawnictwa i wżenionego w rodzinę księgarskich potentatów słynnego pisarza, z tych, co to mogą mieć nadzieję



W roli ofiary

Po triumfalnym pochodzie przez sceny 20 krajów poruszający monodram Suzie Miller „Na pierwszy rzut oka” trafił do Teatru Polonia. Tessa, ambitna, błyskotliwa prawniczka, święcąca triumfy jako obrończyni podejrzanych o gwałt, zwolenniczka niezawodności systemu prawnego, niespodziewanie dla siebie poznaje dramat ofiary gwałtu od drugiej strony. Już nie jako adwokatka podważająca prawdziwość zarzutów, ale jako zgwałcona przez kolegę z kancelarii kobieta, która musi przejść przez piekło upokorzeń, chcąc dowieść winy gwałcielowi. Jeszcze niedawno – jako trybik w maszynie – zajmowała się gromadzeniem uzasadnionych wątpliwości co do winy oskarżonych. Teraz sama w ogniu pytań okazuje się bezbronna wobec systemu stworzonego przez mężczyzn, w którym kobieta jest na straconej pozycji. Adwokatka doskonale o tym wie. Zdaje sobie sprawę, jakie podejmuje ryzyko: osobiste, zawodowe, ludzkie. A jednak musi stanąć oko w oko z prawdą. W ostatnich słowach kierowanych od sądu oskarża system, który pozwala przestępcom uniknąć kary, a ofiarom uniemożliwia skuteczne dochodzenie sprawiedliwości.

Świetnie napisany dramat znalazł w Marii Seweryn idealną wykonawczynię, która w precyzyjnie zaplanowany sposób prowadzi opowieść o młodej prawniczkę zderzającej się z brutalną rzeczywistością. Seweryn debiutuje w teatrze jednego aktora, ale zapewniła sobie wsparcie reżysera, który od lat z sukcesem zajmuje się teatrem jednoosobowym – Adama Sajnuka. Ich współpraca przyniosła znakomity wynik.

Tomasz Miłkowski



Suzie Miller, „Na pierwszy rzut oka”,
tłumaczenie Klaudyna Rozhin,
reżyseria Adam Sajnuk, Teatr Polonia
premiera 1 października 2023

na Nobla i nie zniżają się do tak prząsnego gatunku jak *true crime* Eriki. Morderca wkrótce uderzy ponownie, obnażając zarazem mało chwalebne strony życia sławnych i bogatych. Mamy tu nawiązania do skandalu w Akademii Szwedzkiej z 2018 r., ale sprawa, którą tym razem zainteresowała się Erica, odsyła nas też do lat 80. i tego, jak tworzył się ruch LGBT w Szwecji. Powrót do najbardziej zbrodniczego szwedzkiego miasteczka nie rozczarowuje, dawna (ostatni z wcześniejszych tomów, „Czarownica”, ukazał się w 2017 r.) zażyłość z bohaterami łatwo wraca, a niektóre nowe postacie są tak bezwzględne i egoistyczne, że zestawienie ich z tymi, które nauczyły się wybaczać lub choć czują skrucę, przynosi prawdziwą ulgę.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Gotyk polski

Pani spadła z okna, ale do wewnątrz. Wcześniej, przez dłuższą chwilę, zgromadzeni przed Pałacym poeci gapili się na nią trwożliwie. Sprzątała jakiś gabinet na wysokości czwartego piętra. Ktoś zrobił zdjęcie, ktoś zawołał, żeby zeszła z parapetu. Ale ona poszła tylko z góry błady uśmiech. W rękę trzymała białą ścierkę, włosy ułożone miała w ciasny koczek. Pod wpływem ruchu i wilgoci zza ucha wysunęły jej się skręcone kosmyki. Jeszcze zdążyła nam pomachać, zanim zachwiała się i spadła. Na szczęście do środka. Cała paląca peciki grupka podskoczyła. C. odpalił drugiego papierosa, przedramiona P. pokryła gęsia skórka.

Po takim zdarzeniu nie można było po prostu wejść na festiwal. Grupa udała się więc do pobliskiej Żabki. Myśl o potencjalnej tragedii wprawiła ich w oszołomienie – trzeba było zneutralizować tanatyczny impuls. Ja zaś, jako dezorganizatorka festiwalu, weszłam na górę zobaczyć, czy wszystko gotowe. Po lustrzanej sali chodzili wampiry, martwe Ofelie w wiankach, półnagi typ w ciemnych okularach, z czerwoną pręgą przecinającą pierś. Na ścianach i zabytkowym suficie tańczyły jaskrawozielone kościotrupy.

Do sali wchodzili pierwsi widzowie. Niepewnie ustawiali się pod ścianami, na wszelki wypadek raczej blisko wyjścia. Zrobiłam kilka fotek aktorkom i usadowiłam się obok sięgających mi do pasa figur-manekinów: chłopca i dziewczynki (były to elementy scenografii). Zająłłam kącik, a każdy chce usiąść w kąciku. Strategię tę wielokrotnie sprawdził pajak kątnik i zawsze dobrze na tym wychodził.

Wkrótce się okazało, że nie tylko ja upodobałam sobie to miejsce. Kiedy młody Brytyjczyk zaczął czytać opowiadanie o świecie z szynki – do kąta trafiło kilku nieźle zrobionych adoratorów literatury. Czy dlatego, że kącik znajdował się pod złym kątem, jeśli chodzi o percypowanie slajdów z polskim tłumaczeniem, czy też ponieważ gośćmi targała fantazja – zabrali się do zabawy manekinami. Animowali ruchy figurek, zaczepiali kolegów sztucznymi łapkami, przebierali „dzieci” jak papierowe wycinanki – we własne kurtki czy tiszerty. Pozowali z nimi do zdjęć, łaskotali je i sami śmiali się brzuchomówczo. Dziwna to była fascynacja i pewnie zwróciłaby uwagę organizatorów, gdyby nie to, że kącik stanowił jednak pewną bezpieczną kryjówkę.

Manipulowali kukłami tak długo, aż oderwali obie ręce chłopcu, jednak ciasna koszulka, w którą był ubrany, sprawiła, że ręce zawisły w koszulce jakby obniżone

(i na podłogę nie spadły). Dyndały smutno, złowrogo i przysięgam, że kto na nie spojrział, odwracał wzrok z przerażeniem. Sprawcy też chyba trochę się spietrali, bo niepewni, czy nie trzeba będzie płacić za szkody, na moment ucichli, wsłuchując się w opowieść pisarza. Jako organizatorka próbowałam zachować rozsądek i kucnęłam w celu wkręcenia rączek na miejsce. Nie było to trudne, okazało się bowiem, że są one umocowane na specjalnych zawiasach. Niesforni słuchacze natychmiast znów zhardzieli, machali na wampiry, żeby te się przesuwały, bo widzowie nie widzą slajdów, dokazywali i scrollowali Facebooka, dając serduszka komu popadnie.

Trzeba przyznać, że wampiryczna edycja miała swój zły omen (w postaci kobiety, która spadła do środka), można zatem było się spodziewać wszystkiego. Wkrótce okazało się, że pewną znaną pisarkę dopadła jelitówka, nagradzany Czech zagubił się w przestworzach, bo „zdezaktualizowała mu się pinezka”, reflektor tak mocno świecił w oczy

Zająłłam kącik, a każdy chce usiąść w kąciku. Strategię tę wielokrotnie sprawdził pajak kątnik i zawsze dobrze na tym wychodził.

wybitnym panelistkom, że z zemsty zrobili dwukrotnie dłuższy panel, a dziewczyna operatora wrzuciła klucz od domu do kanału, właśnie kiedy miał nagrywać finałowe przedstawienie. Będąc dezorganizatorką festiwalu, wiem i rozumiem, że w takich razach trzeba się zachować jak na imprezie, na której w pewnym momencie trzeba porzucić troskę o kieliszki i po prostu wmieszać się w tłum. Można wtedy wiele ugrać towarzysko, przypieczętować przyjaźnię, wyprodukować dobre wspomnienia. Wszystko wtedy wskazuje na właściwe miejsce, okazuje się, że nikt nie odnotował drobnych zmagających z losem.

Na festiwalu też panowała awangardowa atmosfera pewnego luzu, przekraczania granic między widownią a sceną, wspólnego bycia w powołanym przez reżyserki świecie. Ktoś docenił performance z dekonstrukcją manekina, ktoś inny wyczerpujący panel (organizatorzy nie idą na kompromisy). Ktoś wspominał nawet panią, która witała gości z czwartego piętra Pałacyku. Podobno aktorka ta, machając białą chusteczką, zagrała rolę wręcz kaskaderską, spadając z parapetu do środka.

Najlepsze przed wami

Dajmy sobie szansę, by ostatnie 20 czy 30 lat naszego życia było pełne satysfakcji seksualnej

Rozmawia Michał Sobczyk

65-latkowie i 60-latki już nie muszą, i bardzo często nie chcą, dłużej chodzić do pracy. A ile wynosi wiek emerytalny, jeżeli chodzi o seks?

– Jesteśmy seksualni od poczęcia aż do śmierci, dlatego o jakość naszego życia intymnego możemy i powinniśmy dbać niezależnie od metryki. Żadnej ze starszych grup wiekowych nie powinniśmy traktować jako takiej, która utraciła zdolności i chęci do podejmowania aktywności w sferze erotycznej, tymczasem w społecznym odbiorze osoby dojrzałe seksu nie uprawiają ani nawet się nim nie interesują.

Dlaczego tak jest?

– Mam kilka hipotez. Starość, dojrzałość w Polsce wciąż kojarzy się głównie z chorobami i ograniczeniami ruchowymi, co miałyby uniemożliwiać aktywność seksualną. Ilustracją dla tej tezy są targi dla seniorów, będące głównie prezentacją sprzętu rehabilitacyjnego. Nie chcemy myśleć o tej grupie w kontekście seksu, aby nie musieć konfrontować się ze świadomością, że my też kiedyś się zestarzejemy, być może stracimy sprawność itd. Jest też powód społeczny zaprzeczania seksualności naszych matek, ojców, dziadków i babć – gdybyśmy pozwolili im zająć się własną satysfakcją, mieliby mniej czasu dla nas i naszych dzieci.

Spróbujmy zatem przekonać do seksu tych, którzy zamierzają postawić na nim krzyżyk albo już to zrobili.

– Nie warto z niego rezygnować, bo daje nam bardzo poważne korzyści, które możemy



OLGA ŻUKOWICZ

– edukatorka seksualna, psycholożka, psychoterapeutka

Olga Żukowicz – związana z Centrum Psychoterapii HELP, współzałożycielka inicjatywy Srebrny Warkocz, która wspiera osoby dorosłe w rozwoju pozytywnej seksualności. Na Uniwersytecie Gdańskim realizuje doktorski projekt badawczy poświęcony tożsamości seksualnej i satysfakcji życiowej nieheteroseksualnych kobiet 50+. Właśnie ukazała się napisana przez nią wspólnie z Klaudią Latosik książka „Najlepsze przed tobą” – jeden z niewielu poradników seksuologicznych dla osób 55+.

umownie podzielić na biologiczne, psychologiczne oraz relacyjne. Jego uprawianie działa korzystnie na układ krwionośny, dzięki czemu spada ryzyko wielu chorób, nasze komórki są lepiej dotlenione, a narządy dłużej pozostają sprawne. Seks wzmacnia serce i pozwala je chronić m.in. przed zawałem. Regularne wytryski znacznie redukuje zagrożenia związane z prostatą. Podczas aktywności seksualnej kobiety mimowolnie ćwiczą mięśnie Kegla, które odpowiadają m.in. za kontrolę dna miednicy oraz pęcherza moczowego. Wszelkie formy satysfakcji seksualnej, rozumianej szerzej niż orgazm, rozluźniają ciało, dodają energii i obniżają poziom stresu. Podczas seksu wydzielają się wiele dobroczynnych neuroprzekazników (endorfiny, oksytocyna, dopamina i serotonina), co jest istotne m.in. w profilaktyce zaburzeń nastroju, które w okresie późnej dorosłości są powszechne i szczególnie dotkliwe.

A korzyści psychologiczne?

– Są one związane przede wszystkim z tym, że aktywność seksualna zwiększa naszą pewność siebie i poczucie własnej wartości. Pożądanie w oczach partnera lub partnerki jest dla nas komunikatem, że jesteśmy atrakcyjni, a to wyjątkowo ważne dla osób, którym trudno zaakceptować zmieniające się ciało. Seks sprawia ponadto, że czujemy się samosteroowni, bo niezależnie od tego, czy uprawiamy go solo, czy w parze, wymaga od nas podejmowania różnych decyzji, np. w jaki sposób chcemy to zrobić i jak musimy się do tego przygotować. Bliskość fizyczna oparta na obopólnej zgodzie polepsza także jakość związków i daje poczucie

bezpieczeństwa, choć oczywiście nie istnieje liniowa zależność, że im więcej seksu, tym lepsza relacja.

Gdy „już szron na głowie, już nie to zdrowie”, trudniej o bicie rekordów seksualnych.

– Seks może być obustronnie satysfakcjonujący nawet wtedy, gdy penetracja jest już niemożliwa. Najważniejsza jest czułość i zaangażowanie w pieszczoty, które mówią:

Jesteśmy seksualni od poczęcia aż do śmierci, dlatego o jakość naszego życia intymnego możemy i powinniśmy dbać niezależnie od metryki.

jesteś dla mnie ważny, podobasz mi się taka, jaka teraz jesteś. To duże wsparcie, które wzmacnia więzi.

W seksie osób dojrzałych świetne jest także to, że musi się opierać na komunikacji. Od pewnego wieku spontaniczne zbliżenia, w rodzaju pięciominutowego numeru na pralce, przestają być możliwe. Stosunek trzeba zaplanować i przygotować się do niego, np. zorganizować dużą poduszkę, żel nawilżający czy odpowiednie krzesło. Ale żeby w ogóle dojść do tego etapu, trzeba o nim najpierw porozmawiać.

Choć niski PESEL nie przekreśla szans na udane życie łóżkowe, niemało osób w pewnym momencie zupełnie rezygnuje z tej sfery życia.

– Winne są błędne przekonania, a nasza praca jako edukatorek seksualnych opiera się głównie na ich rozpracowywaniu. Rozpowszechniony jest m.in. pogląd, że można być po prostu za starym na seks,

nie tak dawno temu uznano by za stojące nad grobem, dziś uważane są za zbyt młode, aby przejść na emeryturę.

Dla mężczyzn obciążające jest przekonanie, że powinni być zawsze gotowi na seks. W naszej kulturze definiowanie męskości przez erekcję i ogólną sprawność seksualną jest mocno zakorzenione i w konsekwencji generuje dużo wstydu.

Walczymy też ze szkodliwym poglądem, że starszym osobom nie wypada zajmować się własną satysfakcją, gdyż powinny, szczególnie kobiety, całkowicie poświęcić się rodzinie, zwłaszcza opiece nad wnukami. Dużo wysiłku wkładamy i w to, by osoby dojrzałe nie utożsamiały seksu z penetracją.

Seks i bliskość fizyczna podnoszą jakość życia.

Uniemożliwiający ją problemy medyczne postrzegane są jako świecący na czerwono napis KONIEC.

– Tak, a przecież są jeszcze różne formy stymulacji, całowanie się, masaż czy choćby przytulanie. To też jest seks i zachęcamy wszystkich, by spojrzeli na spotkanie seksualne również z tej perspektywy.

Erekcja jest kulturowo bardzo silnie związana z poczuciem własnej

nie wyklucza osiągnięcia orgazmu. Nawet brak ejakulacji nie wyklucza szczytowania. Z drugiej strony medycyna oferuje mężczyznom różnorodne rozwiązania w przypadku zaburzeń erekcji i warto je omówić z urologiem lub seksuologiem.

A jeśli żadne z nich nie zadziała?

– Wtedy trzeba wymyślić, co możemy robić w łóżku, a to wymaga otwartej komunikacji. Nie zawsze jest ona możliwa, bo czasem jedna strona zamyka się na temat i nie chce szukania rozwiązań ani nawet wsparcia. I wtedy osoba, której zależy na kontynuowaniu aktywności seksualnej, zostaje z tym sama. Tak oto doszliśmy do kolejnego mitu: o szkodliwości masturbacji. O tym, że ów mit trzyma się mocno, mogą świadczyć wyniki badań Zbigniewa Izdebskiego na grupie osób w wieku od 50 do 74 lat. Ponad 60% respondentek zadeklarowało, że nigdy „tego” nie robiły.

Żeby nie pójść do piekła?

– Również z powodu pokutującego bzdurnego przekonania, że

masturbacja jest niezdrowa. Na naszych spotkaniach w klubach seniorów słyszymy, że taką tezę nadal głoszą nawet niektórzy lekarze. Z wielką szkodą dla pacjentek samotnych i takich, których partner lub partnerka nie chce już słyszeć o seksie.

Kolejny mit głosi, że...

– ...bez orgazmu się nie liczy. Wiele osób jest tak zafiksowanych na tym, aby seks skończył się szczytowaniem, że nie skupiają się na przyjemności, którą mogą dawać i otrzymywać w jego trakcie. W dojrzałym wieku osiąganie orgazmu jest dla obu płci trudniejsze, dlatego przypominamy, że to nie on jest najważniejszy. Dobrze, kiedy się zdarzy, ale prawdziwym celem jest bliskość w kontakcie z drugim człowiekiem albo ze sobą.

Co robić, aby mimo zmian, którym z wiekiem podlega każde ciało, pozostać atrakcyjnym?

– Odpowiedź będzie bardzo okrutna: przede wszystkim się myć. ▶

Aktywność seksualna zwiększa naszą pewność siebie i poczucie własnej wartości.

tymczasem związane z nim potrzeby nigdy zupełnie nie znikają, a nawet osoby z dużą niepełnosprawnością fizyczną są w stanie podejmować pewne aktywności w tym obszarze i czerpać z nich satysfakcję. Rozbrajanie tego mitu warto zacząć od zadania sobie pytania, co to znaczy, że ktoś jest stary. Osoby, które

wartości, więc kiedy jej nie ma, mężczyzna do pewnego stopnia musi wymyślić się na nowo. Niektórzy jednak wolą w ogóle zrezygnować z aktywności seksualnej, niż skonfrontować się z „porażką”. Tymczasem, co trzeba wyraźnie podkreślić, w wieku dojrzałym erekcja może być niepełna, co wcale

► Osoby pozostające w związkach właśnie brak higieny zgłaszają nam jako podstawową barierę w podejmowaniu aktywności seksualnej z partnerem lub partnerką.

Poza tym należy znaleźć taki sposób ekspresji, który da nam pew-

– Statystyki są zatrważające. Nie więcej niż 10% Polek po sześćdziesiątce korzysta z opieki ginekologicznej, a starsi mężczyźni masowo unikają wizyt u urologa. W sferze szeroko rozumianego zdrowia seksualnego polskiego

uprzedzenia dotyczące wieku mogą przynosić realną szkodę osobom starszym: mieć znaczący wpływ na ich zdrowie psychiczne i fizyczne, wzmacniać poczucie wykluczenia i osamotnienia.

Z niedawno przeprowadzonego badania pod kierownictwem Piotra Sorokowskiego wynika, że niezależnie od poziomu rozwoju danego kraju osoby starsze są postrzegane jako bardziej moralne i mądrzejsze niż młodsze. Lubimy usadzać je po stronie mądrości i niech tam siedzą. Zapominamy, że to są żywe istoty, które chcą doświadczać, mylić się, płakać, uprawiać seks, osiągać orgazm. Spójrzmy na programy partii politycznych – ta grupa wiekowa pojawia się w nich wyłącznie w kontekście służby zdrowia i emerytur.

Poradnik dla osób 55+, którego jesteś współautorką, zawiera obietnicę, że seks może im dawać więcej spełnienia niż kiedykolwiek.

– Kult młodości sprawia, że trudno nam sobie wyobrazić okres dojrzały jako czas szczęścia. W naszej książce zachęcamy, żeby zobaczyć w nim szansę na życie na własnych warunkach. Gdy nie jesteśmy już tak

Pożądanie w oczach partnera lub partnerki jest komunikatem, że jesteśmy atrakcyjni, a to ważne dla osób, którym trudno zaakceptować zmieniające się ciało.

ność siebie. Chodzi o styl ubioru czy fryzurę, które będą eksponowały nasze atuty, ale pozwolą nam pozostać w zgodzie ze sobą. Nie chodzi o to, żeby na co dzień spełniać fantazje partnera czy partnerki na temat tego, jak wygląda ponętna osoba, a samemu czuć się przebranym.

Atrakcyjność to jednak nie tylko wygląd.

– To, czy będziemy postrzegani jako interesujący seksualnie, zależy także od tego, co czytamy, czym się pasjonujemy, co nas śmieszy, gdzie chodzimy i jeździmy i co uprawiamy w ogródku. Od umiejętności nakręcenia partnerki lub partnera, np. pikantnymi SMS-ami. Atrakcyjność nie jest nam dana i nie można jej kupić, np. idąc do kosmetyczki i wychodząc od niej jako lepsza wersja siebie. To całokształt. Zaczniemy od bycia atrakcyjnymi dla samych siebie – świadomość własnych atutów i potrzeb zwiększa szanse na sukces seksualnego spotkania.

Podoba się to nam czy nie, aspekty związane z ciałem mają dla niego spore znaczenie.

– Zwłaszcza jego sprawność, dlatego zachęcam do aktywności fizycznej zgodnej z naszymi preferencjami i stanem zdrowia. I tutaj apel do młodszych pokoleń: na seks w dojrzałym wieku pracujecie już dziś. Jednak dbanie o swoje ciało to nie tylko sport, ale i profilaktyka. Mężczyźni powyżej 40. roku życia powinni raz na rok badać się pod kątem raka prostaty, a kobiety robić cytologię i regularnie badać piersi.

W pracy edukatorki kładziesz bardzo duży nacisk na różne formy profilaktyki.

społeczeństwa mamy bardzo dużo do zrobienia, a największa odpowiedzialność ciąży na lekarzach, różnych specjalizacji. Pacjent ma prawo nie wiedzieć wielu rzeczy, ale obowiązkiem lekarza jest pytać. „Czy pozostaje pani aktywna seksualnie?”. „Czy ma pan świadomość, że leki, o które pan prosi, mogą obniżyć libido?”. Takie pytania zazwyczaj w gabinetach nie padają, a jeszcze rzadszy jest komunikat: seks i bliskość fizyczna podnoszą jakość życia.

Obstawiam, że również pracownicy socjalni, fizjoterapeuci czy psycholodzy przeważnie nie dostrzegają

Kult młodości sprawia, że trudno nam sobie wyobrazić okres dojrzały jako czas szczęścia.

seksualnego wymiaru życia osób starszych, którym pomagają.

– Wynika to nie tylko z powszechności przywołanego na początku naszej rozmowy przekonania o asekualności tej grupy, ale także z jej systemowego upupiania. O osobach w okresie późnej dorosłości często myślimy i mówimy jak o dzieciach: „O, idzie babcia z dziadkiem, jak oni słodko wyglądają!”. To zjawisko ma swoją nazwę: *elder-speak*. Mówienie do osób starszych w trzeciej osobie („Wzięła tabletki?”), zdrabnianie („stoneczko”, „złociutka”) albo wolne mówienie, zakładające ograniczenia poznawcze. Na szczęście coraz powszechniej dostrzega się ten problem, a wśród specjalistów rośnie świadomość, że

obciążeni zawodowo, a nasze dzieci stały się w pełni samodzielne, mamy więcej czasu na to, by przyrzeć się swoim potrzebom i złapać autentyczny kontakt ze sobą i swoją partnerką lub partnerem. Napisałyśmy „Najlepsze przed tobą” jako zaproszenie do tego, aby dać sobie szansę, by ostatnie 20 czy 30 lat naszego życia było pełne satysfakcji seksualnej. To książka dla osób, które pragną rozwijać swoją seksualność, które nie chcą rezygnować z bliskości, czułości, przyjemności fizycznej, tworzenia krótkich i długich związków romantycznych czy seksualnych. Miłość i pożądanie nie mają daty ważności.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

Kto się upomni o Sandrę

Odebrała sobie życie niedaleko miejsca,
gdzie zakopany został jej pies

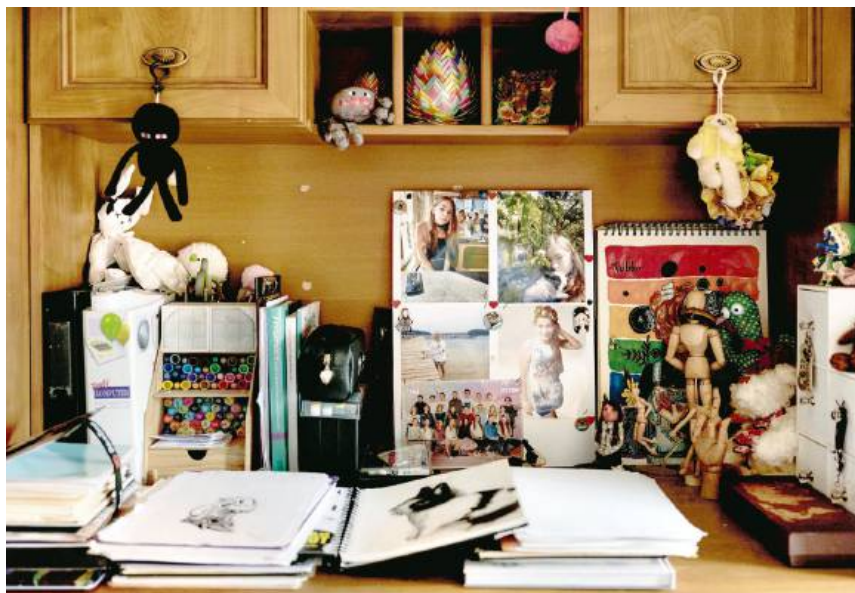
Helena Leman

„No i **** baksi nie żyje. Wujek baksa zabił” – takiej treści SMS wysłała 18-letnia Sandra z Łapalic do brata w czwartek, 29 czerwca tego roku, o godz. 18.56.

– Byłem w szoku, gdy się dowiedziałem – mówi ojciec dziewczyny. – Z początku myślałem, że to niepo rozumienie, ale córka zaprowadziła mnie do szopy, gdzie leżał pies z raną postrzałową. Mówiła, że wie, kto to zrobił, że to „wujek”. Wezwałem policję. Przyjechał patrol, a po chwili zjawił się też szwagier. Podeszedł do policjantów. O czymś rozmawiali, nawet nie przyszli obejrzeć zwierzęcia. Usłyszałem tylko, że „pies uciekł”, i coś o potrąceniu. Gdy pytałem szwagra, który jest policjantem drogówki, dlaczego strzelał, powiedział, że „zrobił komuś przysługę”.

Krótko po zajęciach, podczas ogólnego zamieszania, Sandra zniknęła. Rodzina szukała jej całą noc. Ojciec z jednym z synów objechał wszystkie miejsca, w których lubiła przebywać. Sprawdzili Kartuzy, Łapaliński zamek, plażę nad jeziorem, a także szpital. Matka podkreśla, że jeszcze wieczorem kontakt z córką był.

– Około godz. 20 otrzymałam od niej SMS: „Mama zapamiętaj, że Baksę nie potrąćli”. Godzinę później jej telefon był już głuchy – opowiada. – Wcześniej rano syn szedł na skróty przez naszą łąkę, tam jest niewielki las, na starej brzozie zauważył coś białego, to była Sandra. Jak dała radę wdrapać się na to drzewo, którego pień jest gładki, bez sęków, jak zdołała założyć sobie pętlę? Dużo osób było na podwórku, może ktoś ją źle potraktował, coś jej powiedział, musiało ją coś mocno zabolec, że to zrobiła. My jej szukaliśmy daleko, a ona była tak blisko.



Sandra była skryta, mało mówiła. Jej najlepszym powiernikiem była kartka i ołówek, każdą chwilę wykorzystywała na szkicowanie.

Sandra odebrała sobie życie niedaleko miejsca, gdzie zakopany został jej pies. Pierwszy o sprawie napisał Wojciech Drewka na portalu Express Kaszubski. Pod tekstem morze komentarzy, wiele zablokowanych, gdyż naruszono regulamin portalu. Dziennikarz skontaktował się z policjantem, który odpisał: „Policja i Prokuratura prowadzą aktualnie stosowne postępowania. To do nich należy zwracać się z pytaniami. Jakiegokolwiek komentowanie z mojej strony jest przedwczesne i mogłoby negatywnie wpłynąć na dobro prowadzonych śledztw”.

Jednej z gazet mężczyzna jednak powiedział, że zastrzelił psa, gdyż zwierzę było chore i chciał skrócić jego cierpienia, na cytowanie wypowiedzi się nie zgodził.

Nie jesteśmy mściwi

Z rodzicami Sandry rozmawiam w sobotę, 23 września. Przyjeżdżam

niezapowiedziana. W salonie kremowe fotele i kanapa ze skóry, skromnie i schludnie. Ojciec nerwowo pali papierosa za papierosem, nie może sobie darować tej nieuwagi, że spuścił Sandrę z oka.

Jest kafelkarzem, pracował w Danii, w Niemczech, kafełkował Biedronki w Polsce, prowadzi własną działalność. Feralnego wieczoru wyjechał na chwilę do Kartuz, miał spotkanie z klientem. – Rozmawiała ze mną normalnie i to mnie zmyliło. Teraz, gdy tak analizuję, myślę, że ona próbowała wyjaśnić, że widziała to wszystko na własne oczy. Może nawet później widziała, jak Baksa zakopali, i to ją złamało. Sandra była bardzo wrażliwa wobec zwierząt. Baksa dostała od mojego ojca w prezencie 10 lat temu. Był bardzo wesoły, taka psia przytulanka, od małego przy dzieciach. Biegał luzem po podwórku, nigdy nikogo nie ugryzł. W czerwcu zachorował, miał sączącą się ranę na ucho, ale normalnie jadł. Ponieważ nie chciał

wsiąść do samochodu, wezwaliśmy weterynarza do domu. Sandra nie pojechała na praktyki, gdyż miała czekać na tego weterynarza. Czemu to wszystko akurat wtedy się stało, kiedy nas nie było w domu, kiedy żona pierwszy dzień do nowej pracy poszła? – zamyśla się, a po chwili dodaje: – Dla mnie to był pokaz siły, podkreślenie tego, kto tu rządzi. Siostra ze szwagrem przyjechali na podwórko podczas naszej nieobecności i postanowili zrobić porządek.

„Policjanta znam i bardzo w porządku gość, a ta rodzina to jedna wielka patola, tam pół rodziny się powiesiło”, komentuje ktoś w internecie. Gdy przytaczam ten post ojcu Sandry, nie wytrzymuje: – U nas w domu alkoholu nie ma, ja nie piję. Mój ojciec trochę zaglądał do kieliszka, jak to kiedyś. Był zdunem, po domach ludziom piece stawiał, ale już nie żyje, zmarł w zeszłym roku. A mój brat popełnił samobójstwo wiele lat temu, powodem był zawód miłośny. Czy wrażliwość, delikatność to teraz patologia?

Zapada cisza, tylko wzięty przez rodzinę ze schroniska kudłaty, biały piesek, identyczny jak Baksio, przymla się i wdzięczy, cały szczęśliwy.

– Nie jesteśmy złymi ludźmi, nie chcemy się mścić – dodaje żona. – Czemu ten człowiek do nas nie przyjdzie i nie wyjaśni, co się stało. Chyba słowo „przepraszam” nam się należy. Może wszystko by się ułożyło.

Niechęć

Dom, w którym mieszka rodzina, jest współwłasnością ojca Sandry i trzech jego sióstr. Jedna z nich, żona policjanta, wynajmuje część budynku kilku osobom. Różnie bywało, jak to na wspólnym podwórku, lecz generalnie stosunki były poprawne. Sytuacja zaostriżyła się po śmierci Sandry.

– Dwa tygodnie po pogrzebie zebrałem się i złożyłem zawiadomienie do prokuratury w sprawie psa. Zakopano go bez mojej wiedzy, nawet nie wiedziałem dokładnie gdzie. Chyba myśleli, że będę siedział cicho, że nie będę drażył. To spowodowało odzew, próbowano mnie sprowokować.

We wsi czuje się niechęć do rodziny Sandry. Ludzie opowiadają, że dziewczyna była dziwna, tak jak jej

matka, że nosiła się na czarno, więc na pewno należała do jakieś sekty. Jej matce zarzucają, że nie potrafi zając się dziećmi, że w ogóle jest jakaś inna, a w domu coś nie gra. O ojcu dziewczyny opinie też są różne. Słyszę, że jest surowy, że na pewno chciał zaoszczędzić na weterynarzu i poprosił o przysługę szwagra policjanta. We wsi mówi się, że podobno nawet nalegał na policjanta, a truchło psa sam córce pokazał i ona tego nie wytrzymała.

– Ciekawe, że akurat tego samego dnia, gdy miał przyjechać weterynarz, psa zastrzelono – to zdanie, które powtarza się tu jak mantra. Do tego dochodzą uwagi, że rodzice niezbyt się przejęli śmiercią dziewczyny, bo kilka dni później byli widziani na truskawkobranii w Chmielnie.

Krótko po zajściu, podczas ogólnego zamieszania, Sandra zniknęła. Rodzina szukała jej całą noc.

– Załatwialiśmy tam wtedy sprawy pogrzebowe, córkę pochowaliśmy w grobie mojego brata, który spoczywa na cmentarzu w Chmielnie – tłumaczy ojciec Sandry. Jego żona dodaje, że wielu mieszkańców odwróciło się od nich, że nawet w sklepie rozmawiać nie chcą. – My jesteśmy teraz najgorszymi, ludzie tak patrzą, jakbym to ja była zabójczynią.

Pod tekstem Wojciecha Drewki z Expressu Kaszubskiego z 23 sierpnia znajduję wpis: „Sporo kolegów poprawia tu skołowań... Chłop zastrzelił psa, nie wiadomo za co, nie było żadnej wzmianki, że pogryzł kogoś, nie było konkretnej osoby, którą niby ten pies zaatakował. A ci koledzy oprawcy piszą, że Pan L. wykorzystuje śmierć córki... piszą, że było ją leczyć. No tak leczyła się i szła na prostą, mając już plany na przyszłość, lecz niestety ktoś musiał to zepsuć i to w najgorszy sposób”.

Niewidzialna

Matka pokazuje mi pokój dziewczyny. Na wystużonej kanapie koc jeszcze trochę skotłowany, jakby Sandra przed chwilą stąd wyszła. W rogu wielki, brązowy miś i dwa mniejsze

obok. Na ścianach przykuwające uwagę szkice i obrazy. Czarnowłosa dziewczyna w amarantowej bluzce, z połową twarzy zasłoniętą włosami, jakby się rozmywa, jakby spływa z obrazu, artystycznie niedokończona. Na innym patrzy prosto w oczy, w połowie skryta w ciemności, w połowie jeszcze w blasku cynobru i żółci. A może to tylko portret nad jeziorem, gdy powoli skrada się zmierzch.

– Córka była skryta, mało mówiła, wszystkie emocje trzymała w sobie. Jej najlepszym powiernikiem były kartka i ołówek, każdą chwilę wykorzystywała na szkicowanie. To jej pomagało też rozładować smutki. Chciała kontynuować naukę w szkole artystycznej w Trójmieście, ale miała za słabe świadectwo, żeby tam się dostać. Najpierw uczyła się

w Somoninie na cukiernika, potem przeniosła się na fryzjerstwo. Lecz tak naprawdę widziała się tylko w jednym. Marzyła o prawdziwej wystawie w galerii, chodziła na zajęcia plastyczne w Kartuzach. Na swojej osiemnastce w marcu tego roku poznała kolegę syna, mieli podobny świat i wrażliwość. Planowali wyjechać do Trójmiasta po wakacjach. Sandra zamierzała znaleźć sobie prywatną szkołę artystyczną. Wspólnie chcieli wynająć mieszkanie i otworzyć studio tatuażu. Córka miała plany, cieszyła się z tego, zaczęła odżywać.

„Robią wielkie halo z powodu psa, wszystko kręci się wokół psa, zamiast wokół samobójstwa dziecka”, pisze internauta i trudno mu nie przyznać racji, też odnoszę takie wrażenie. Wiele zapytanych osób nie chce rozmawiać o Sandrze lub nie potrafi czegoś o niej powiedzieć. Wyjątkiem jest kobieta, która pędzi na autobus: – Gdy wróciłam tego dnia z pracy i usłyszałam, co się stało, nie mogłam uwierzyć. To była normalna dziewczyna, taka spokojna, znałyśmy się z widzenia, z przystanku. A z tą sektą to jakaś bzdura, nosiła się na czarno, bo miała taki styl. Pasował do niej. Bardzo ją skrzywdzono.

Pokłosie

Starsza kobieta w gospodarstwie gdzieś na obrzeżach Łapalic, gdy już odchodzę, nagle rzuca: – A wie pani, że ta Sandra była tym dzieckiem, które zgubiło się Ortmannowi...

Tekst o dyrektorze łapalickiej szkoły Krzysztofie Ortmannie „Wygrał z rakiem, przegrał ze światem” pisałam siedem lat temu, w 2016 r. Nieśłusznie oskarżony o molestowanie dzieci mężczyzna odebrał sobie życie. Nie dano mu żadnych szans na wyjaśnienie sprawy. Intryga przeciw niemu zaczęła się od wycieczki w czasie ferii zimowych w 2015 r. na turniej piłki halowej, po którym był pobyt w pizzerii; w drodze do niej na chwilę zniknęła jedna z uczennic.

– Ta sprawa to był absurd, afery wyssana z palca – denerwuje się ojciec Sandry. – Córka odeszła może 200 m, poszła do toalety, a oni poszli dalej, ale zaraz się zorientowali, że jej nie ma. Nigdy nie miałem do Krzysztofa Ortmanna o to pretensji. To był dobry nauczyciel, dbał o szkołę, malował ją za własne pieniądze. Po tym zdarzeniu przyjechała do nas Katarzyna Karwacka, która później go zastąpiła, i próbowała nas namówić do zeznań przeciwko niemu. Nie zgodziłem się i pogoniłem ją z domu, a dzieci przeniosłem do szkoły w Kartuzach.

Czy Sandra mogła się czuć winna śmierci nauczyciela? Rodzice nie chcą łączyć tych spraw, mówią, że to było dawno. Matka dodaje tylko, że córka od podstawówki była pod opieką psychologa, gdyż stała się niespokojna i z nimi nie chciała rozmawiać.

Postępowanie w sprawie śmierci Sandry prowadzi Prokuratura Rejonowa w Kartuzach. Postępowanie dotyczące zastrzelenia psa prowadzone jest przez Prokuraturę Rejonową w Pruszczu Gdańskim.

Grażyna Wawryniuk, prokurator Prokuratury Okręgowej w Gdańsku i zarazem jej rzecznik prasowy, odpowiada 27 września, że oba postępowania pozostają w toku. „W sprawie Prokuratury Rejonowej w Kartuzach prowadzone są czynności zmierzające do wyjaśnienia okoliczności i przyczyny śmierci kobiety. W sprawie Prokuratury Rejonowej w Pruszczu Gdańskim uzyskano wyniki sekcji

psa, z których wynika, że przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca w następstwie urazu mechanicznego spowodowanego postrzałem. Aktualnie zebrany w tej sprawie materiał dowodowy podlega analizie, przed podjęciem decyzji co do dalszego toku postępowania”. Rzeczniczka nie odpowiada, z jakiego artykułu prowadzone jest postępowanie w sprawie śmierci Sandry, ani nie wyjaśnia, dlaczego spraw nie połączono.



Marzyła o prawdziwej wystawie w galerii, chodziła na zajęcia plastyczne w Kartuzach.

Tymczasem rodzina Sandry utrzymuje, że nie da się oddzielić obu dramatycznych zdarzeń. Ojciec we wrześniu otrzymał pismo z prokuratury w Kartuzach z informacją, że postępowanie w sprawie śmierci jego córki prowadzone jest z art. 151 Kodeksu karnego o doprowadzenie do samobójstwa. Kartuska policja potwierdziła, że jej policjant po służbie zastrzelił psa z prywatnej broni. Sprawę nadzorem objął Wydział Kontroli Komendy Wojewódzkiej Policji.

To będzie boleć do końca życia

– Na razie nie wiemy nic więcej – przyznaje ojciec dziewczyny. – Jako

strona pokrzywdzona chciałem mieć wgląd do akt. W moim imieniu dopytywała się o to prawniczka w prokuraturze, ale nic nie wskórała, gdyż prokurator prowadząca sprawę jest na urlopie do 25 września. Boimy się, że wszystko zostanie umorzone i zamiecione pod dywan.

Policjant nadal pracuje, widziano go np. w Garczu.

Bracia Sandry stracili kolegów. Po prostu przestali przychodzić, podobno rodzice im zabraniają. – Nikt nas nie odwiedza. Wie pani, pokutuje taki absurdalny przesąd, że lepiej do miejsca, gdzie leżał samobójca, nie podchodzić – mówi ojciec Sandry.

Pod wieczór zaglądam jeszcze na grób dziewczyny w Chmielnie. Mogiła jest wysypana białymi kamyczkami, palą się znicze, stoją kwiaty i zdjęcie dziewczyny z ulubionym królikiem, którego szkicowała wiele razy, a który umarł z tęsknoty po jej śmierci. Dlaczego, do licha, ktoś wypisuje pod adresem rodziców, że „mają zająć się grobem”? Przecież jest zadbane. A może chodzi o to, że jeszcze nie ma wystawnego pomnika?

Łapalice to nie jest biedna wieś gdzieś na końcu świata, do Kartuz stąd zaledwie parę kilometrów. Wokół wyrastają nowe domy, jeden okazałszy od drugiego, jeżdżą samochody, niektóre jak z salonu, uliczki są zadbane, ogródki wypieszczone, wzdłuż głównej drogi ścieżka rowerowa jak spod igły, krajobrazy zapierające dech w piersiach. A ludzie tu odbierają sobie życie. Niedługo po śmierci Sandry samobójstwo popełnił dojrzały mężczyzna, osierocił dzieci, podobno biedny nie był. Czy ktoś pożąda Sandry? – To będzie boleć do końca życia – mówi jej matka.

6 października Express Kaszubski podał, że zarzuty działania wspólnie i w porozumieniu w celu zabicia psa usłyszeli kartuski policjant oraz jeden z lokatorów mieszkających na terenie posesji, na której doszło do zdarzenia. Funkcjonariusz został zawieszony w obowiązkach. Informację taką przekazała Radiu Gdańsk Grażyna Wawryniuk z prokuratury okręgowej. Według ustaleń prokuratury to lokator miał zwrócić się do policjanta z prośbą o zastrzelenie zwierzęcia.

Helena Leman

Hodując własnego wroga

Większość ekspansywnych roślin przybyła do nas na skutek świadomej decyzji ludzi, którzy chcieli upiększyć otoczenie

Wiesław Fałtynowicz

Jesień jest piękna; truizm powtarzany od setek lat. Można nie lubić gorącego lata, niektórzy z utęsknieniem czekają na koniec zimy, ale rzadko spotykamy się z krytyką jesieni, zwłaszcza tej złotej, słonecznej, o koronach drzew inkrustowanych owocami, z czekoladą kasztanów wyzierającą ze spękań kolczastych owoców kasztanowców. Pozytywnie nastroją grzybobrania, rumieniące się jabłka, nostalgiczne, kolorowe krajobrazy.

Przejechałem ostatnio kilka tysięcy kilometrów, przemierzając kraj w różnych kierunkach. Za oknami samochodu ciągle przewija się film o odchodzącym lecie i prawie niezauważenie wjechałem w jesień, która jednak w tym roku ma dla mnie barwy wrogie, chociaż piękne.

Zaczęło się od razu na początku moich podróży, w mojej wiosce pod Wrocławiem, w Wiszni Małej, gdzie na porzuconych polach rosną setki tysięcy okazów nawłoci późnej, rośliny, która dorasta do 2 m wysokości. Na jednym osobniku, w tysiącach malutkich kwiatostanów – tzw. koszyczków, znajdują się drobne, żółte kwiaty. Wiatr roznosi wytworzone z nich hordy nasion, za pomocą których nawłoc szybko i skutecznie zdobywa nowe terytoria. I wszystko byłoby tak, jak w przyrodzie być powinno, gdyby nie to, że nawłoc późna pochodzi z Ameryki Północnej, a dla licznych naszych rodzimych roślin stanowi śmiertelne zagrożenie, będąc od nich znacznie silniejsza konkurencyjnie. W okolicach Wrocławia setki hektarów nieużytków jest opanowanych przez zwarte łany nawłoci.

Co najmniej tyle samo negatywnych emocji budzi we mnie kolczurka klapowana, jednoroczne



W okolicach Wrocławia setki hektarów nieużytków jest opanowanych przez łany nawłoci.

pnące o żółtawozielonych liściach, drobnych, bladozielonych kwiatach i z owocami, które przypominają niewielkie, kolczaste ogórki. Kolczurka w ciągu kilku miesięcy dorasta do 10 m długości; dużymi liśćmi zacienia inne rośliny, a swoim ciężarem łamie nawet gałęzie wierzb. Nad Narwią koło Łomży w maju oglądałem miliony siewek kolczurki, a we wrześniu festony jej pędów obwieszonych owocami rzucały się w oczy nawet z przejeżdżającego samochodu. Kolczurka chętnie jest uprawiana, w całej Polsce widziałem ją w wielu ogrodach; w końcu sprowadzono ją z Ameryki Północnej dla jej urody, która jest równie niewątpliwa, jak szkodliwość tej rośliny dla naszej przyrody.

Nie można tu nie wspomnieć o kolejnym przybyszu z kontynentu odkrytego prawdopodobnie przez

Kolumba, a może przez wikingów – o klonie jesionolistnym. Ładne drzewo, sadzone początkowo w parkach i przy szosach, znalazło u nas świetne warunki do rozwoju i w wielu miejscach zdominowało zbiorowiska roślinne, zwłaszcza wzdłuż wielkich rzek, skutecznie wypierając rodzime gatunki roślin.

Podobnie zachowuje się grochodrzew, czyli robinia akacjowa (błędnie nazywana akacją) – sprowadzona do nas jako drzewo ozdobne rozprzestrzeniła się tak agresywnie (szczególnie w zachodniej Polsce), że stała się jednym z najbardziej uporczywych i szkodliwych „chwastów”.

Z Dalekiego Wschodu pochodzą dwa gatunki rdestowca: sachaliński i japoński. Potężne byliny o bambusopodobnych pędach i olbrzymich liściach, dorastające w ciągu roku do 5-6 m wysokości, uciekły szybko z ogrodów i zaczęły się rozprzestrzeniać wzdłuż rzek, siejąc spustoszenie wśród rodzimych roślin. W zwartych zaroślach rdestowców nie wyrosnie



żadna inna roślina, a ich kłęcza przetrastają gęsto ziemię na głębokość ponad 2 m. Wytępienie rdestowców jest bardzo trudne i kosztowne; w Wielkiej Brytanii nieruchomości z ogrodem, w którym rośnie rdestowiec, są o 20-30% tańsze od analogicznych, ale pozbawionych tej rośliny.

Nieco więcej uwagi chciałbym poświęcić łubini. Łubiny zrosły się z naszym krajobrazem i wydają się być typowym składnikiem naszej flory. Mało kto wie, że większość z ponad 200 gatunków z tego rodzaju to rośliny obce nie tylko dla Polski, ale i całej Europy. Przybyszem z Ameryki Północnej jest najczęściej u nas spotykany łubin trwały, który sprowadzono na nasz kontynent ze względu na piękne kwiaty, ale też z powodu dużej użyteczności w rolnictwie. Uroda kwiatów łubinu jest bezdyskusyjna; została ona jeszcze „poprawiona” przez ogrodników, którzy wyhodowali liczne ozdobne odmiany tej rośliny. Użyteczność w rolnictwie wynika głównie ze zdolności do współżycia (symbiozy) z bakteriami, które – usadawiając się w charakterystycznych brodawkach na korzeniach rośliny – potrafią absorbować wolny azot z powietrza. Azot jest niezbędny dla organizmów, a wiele typów gleb jest bardzo ubogich w ten pierwiastek. Łubin jest stosowany jako zielony nawóz – zaoranie pola

Łubin dawno „uciekł” z upraw i ogrodów i próbuje wywalczyć sobie miejsce w naturalnych zbiorowiskach roślinnych, kosztem gatunków rodzimych.

łubinu to nic innego jak nawiezenie gleby azotem, a jest to nawożenie całkowicie ekologiczne – żadnych nawozów sztucznych, tylko związki azotu pozyskanego przez roślinę, przy pomocy bakterii, z powietrza. Jest to także roślina pastewna, ale w tym celu uprawia się wyłącznie odmiany o małej zawartości trujących alkaloidów; te związki chemiczne wywołują u bydła groźną chorobę zwaną lupinozą.

Łubin już dawno „uciekł” z upraw i ogrodów i próbuje wywalczyć sobie miejsce w naszych naturalnych zbiorowiskach roślinnych, oczywiście kosztem gatunków rodzimych. A że często dorasta do ponad 1,5 m wysokości, wypieranie konkurentów przychodzi mu bez trudu. Łubin wpływa na inne rośliny również chemicznie, poprzez alkaloidy, które wydziela do gleby. Innymi słowy, w walce z konkurentami wykorzystuje broń chemiczną; naukowo nazywa się to allelopatią i jest zjawiskiem powszechnym w świecie roślin. Ponadto łubin, używając podłoża, zmienia właściwości siedliska, a przez to utrudnia lub uniemożliwia wzrost roślin typowych dla zbiorowisk, które usiłuje opanować.

W Polsce łubin na razie rośnie przede wszystkim na przydrożach i nasypach kolejowych, rzadko wchodząc do wnętrza naturalnych zbiorowisk roślinnych. Ale w czasie kilkakrotnych pobytów w Dągijskim Parku Narodowym na południu Litwy obserwowałem tysiące osobników łubinu w naturalnych borach sosnowych, gdzie skutecznie konkurował m.in. z pięknym storczykiem – podkolanem białym i różnymi roślinami borowymi.

I tak kolejny piękny najeźdźca rozprzestrzenia się, wypierając tubylców i zajmując ich ziemie. A my, ciesząc się jego urodą, pozostajemy nieświadomi,

że nie tylko nasze przyzwyczajenia kulinarne, ale nawet nasza roślinność ulega makdonaldyzacji.

Większość z opisanych tu roślin przybyła do nas na skutek świadomej decyzji ludzi, którzy chcieli upiększyć swoje otoczenie. W nowym środowisku, pozbawione swoich naturalnych konkurentów i nieprzyjaciół, zaadaptowały się szybko, a potem – już bez naszego przyzwolenia – rozpoczęły ekspansję. To owe rośliny udowodniły znacznie wcześniej od nas, że żyjemy w jednej globalnej wiosce.

Zastanówmy się chwilę nad roślinami swoich ogrodów, w których – wkładając dużo serca – hodujemy często własnych wrogów; może byłoby lepiej już teraz przyrzec się uważnie i wyrzucić z nich te, które są realnym zagrożeniem dla naszej flory, zanim jaskry, zawilce i przylaszczki staną się tylko wspomnieniem, a rzeczywistość za oknami zaskrzeczy nam uwodzicielską urodą roślinnych najeźdźców. Nie ulegajmy ich wdziękom – uwodzenie ludzi to też dobry sposób na zdobywanie nowych przestrzeni.



Fragmenty książki Wiesława Fałtynowicza *O czym szumią węży mordercy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023



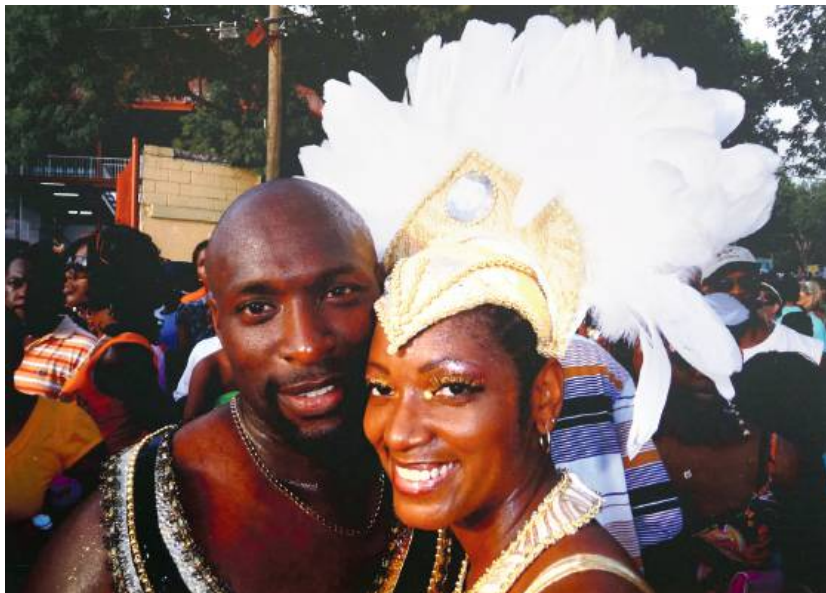
Twarze

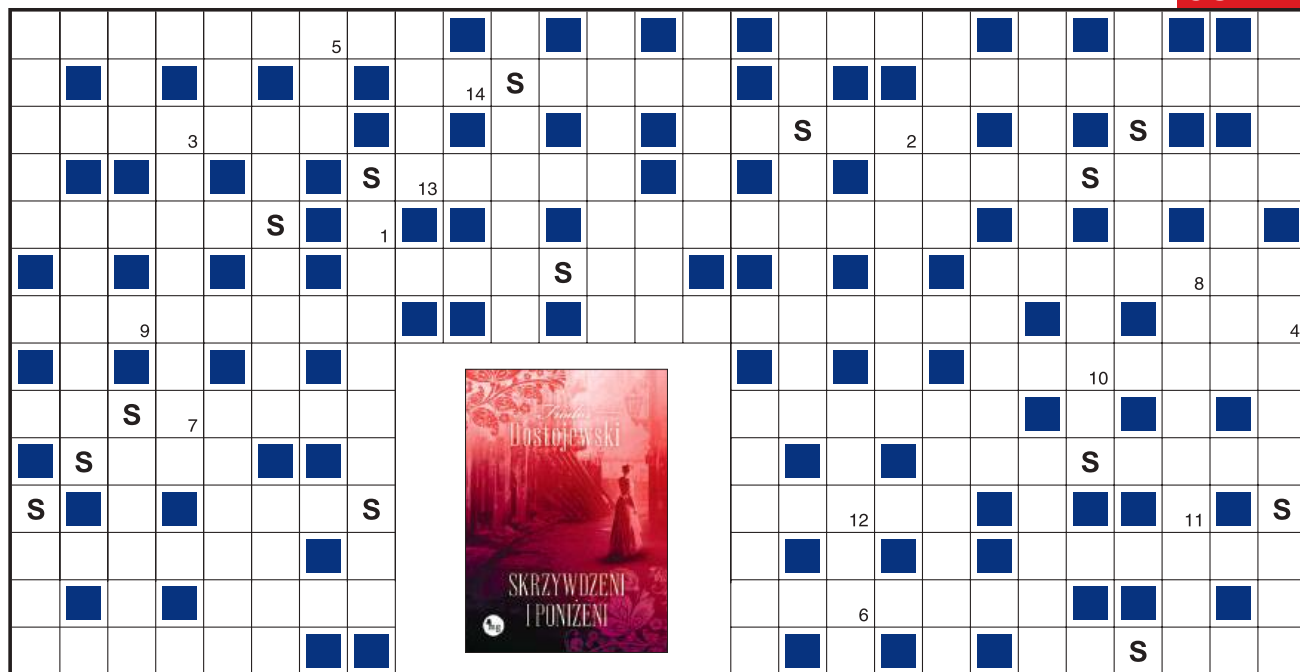
Prof. Grzegorz W. Kołodko

Wydajemy się tak różni, ale czy nie jesteśmy tacy sami? Odmienne twarze, lecz uczucia i emocje utrwalone na zdjęciach podobne, niezależnie od szerokości geograficznej. Fotografie prof. Grzegorz W. Kołodko wykonał w 33 krajach.

**Akademia Leona Koźmińskiego,
atrium budynku C
Warszawa, ul. Jagiellońska 57
do 12 listopada**







1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą końcowe hasło.

- zwykle jedwabna tkanina zakardowa
- ma Asa lub kota
- sojusz między państwami
- chaos w rządach, bezholowie
- południowoamerykańskie barwne papugi
- ...Jaga z chatki na kurzej nóżce

- grząski teren
- podnoszona na okęcie
- główne miasto Tajów
- ...Sądecki z Krynicą
- akt z mocą ustawy
- ...do liści hałasująca jesienią
- towar dostarczony do sklepu
- kompletne wyposażenie tatarnika

- Iliada, Odyseja lub Eneida
- jego mrówka częsta w domach
- trud, wysiłek na czyjąś rzecz
- wenecka łódź
- pieniądze w fizycznej postaci
- dawna młoda pracownica domu mody we Francji
- krzew parkowy lub ziemniak
- kropla, odrobinka
- zaparzac do kawy
- lokal z ekspresem i deserami
- chwyt kłamrowy w boksie
- znaki dla wtajemniczonych
- przypis, uwaga
- ozdoba na bokach spodni

- obrzucanie obelgami
- gdy Arlekin tańczy z Morticią
- opowieść o bogach, legenda
- Dziadek lub pisarz Remigiusz
- prawy dopływ Warty
- ...dyplomatyczny był u nas rubryką
- umówiona odpowiedź na hasło
- ona decyduje o kącie widzenia obiektywu
- retor, krasomówca
- prowadzony rakietowy, artyleryjski
- noś go i przy pogodzie
- ich huk w noc sylwestrową
- bierwiono do kominka
- meta rejsu
- pośpieszna, bezładna ucieczka
- olej z ręcznika na przecyszczenie
- Riedel lub Rynkowski
- jabłko pod jabłonką

- próbny okres pracy
- kawiarniany lub do brydża
- ciąg osób, rzeczy w jednej linii
- obok florecisty i szablisty
- jednorazowe naczynie na frytki
- spis rozpraw na dany dzień
- orzeczenie sądu
- ...prowadzenia pojazdów
- sąd może orzec
- urządzenie przetwarzające prąd z sieci
- zamek z ruchomą sztabką
- na nim łąduje tyczkarz
- uczucie pieczenia w przetyku
- pęd szczepiony na podkładce
- lepka wydzielina roślin iglastych

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1139”. Do rozlosowania książki „Skrzywdzeni i poniżeni” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 października 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1136” z nr. 39: *Myśl nie płaci cla.*
Nagrody otrzymują: Agnieszka Jarosz z Krakowa, Marta Lipczyńska z Lublina, Jolanta Nowak z Bełchatowa.

Nic nie działa

Pewien znany dyplomata zwierzył się kolegom, że polska polityka zagraniczna go fascynuje – bo działania władz są dokładnie odwrotne, niż mówią podręczniki dyplomacji. I pytanie brzmi: czy to przypadek?

Następnie w kilku punktach wyłożył, co miał na myśli.

Po pierwsze, nie wiadomo, kto tym kieruje.

Światowa tendencja wygląda tak, że polityka zagraniczna jest scentralizowana, to głos państwa, tu nie może być bałaganu. Polski jednak to nie dotyczy. U nas polityka zagraniczna została rozparcelowana – prezydent kieruje sprawami bezpieczeństwa i kontaktów z USA, premier – kontaktami z Unią Europejską, a minister Rau – bardziej wsłuchuje się w głosy swojej partii. No, chyba że chodzi o sprawy wiz... Choć tu trop prowadzi do MSWiA. Różne grupki i koterie mają więc w MSZ swoje udziały.

Po drugie, nigdzie nas nie ma.

To proste – państwo takie jak Polska, średniej wielkości i średnich możliwości, powinno lewarować swoją pozycję tym, że jest wszędzie, że wszędzie jest potrzebne. Tak mniej więcej, jak lewarował swoją pozycję Aleksander Kwaśniewski, uchodząc na Zachodzie za znawcę Wschodu, a na Wschodzie za tego, który może pomóc w różnych sprawach na Zachodzie.

Polska postępuje dziś dokładnie na odwrót. Co widać choćby na tle działań innych państw wyszehradzkich. Węgierski minister spraw zagranicznych po raz piąty od 24 lutego 2022 r. pojechał do Moskwy. Z kolei czeski minister spraw zagranicznych pojechał do Tel Awiwu.

A Polska? Gdy na początku października odbyło się w Kijowie spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw Unii Europejskiej, Zbigniew Rau tam się nie pofatygował. Tłumaczył, że między Polską a Ukrainą jest czas „dekoniunktury”.

Czyli Warszawa z Kijowem się gniewa. Sytuację wykorzystali zatem inni: Niemcy, Francuzi, Skandynawowie...

Gdy parę dni temu w Brukseli miało miejsce spotkanie ministrów obrony państw NATO, podczas którego omawiano sprawy Ukrainy i Izraela, ministra Błaszczaka też tam nie było. Nie dojechał. W sprawach Bliskiego Wschodu również nic nie mówimy – Polska od dwóch lat nie ma w Tel Awiwie ambasadora. A nie ma go nie dlatego, że sprzeciwia się temu Tel Awiw albo że taka jest nasza linia polityki. Nic z tych rzeczy, po prostu prezydent, premier i szef MSZ nie potrafią się dogadać. I wzajemnie blokują swoich kandydatów. A wszyscy są z PiS.

Po trzecie, szukamy wrogów.

O Rosji i Ukrainie już było. O Izraelu także. O Unii Europejskiej mówi się ciągle. Ale głównym wrogiem są Niemcy, którym premier RP wymyśla mało wykwinnie. Polityka Polski wobec Niemiec sprowadza się do dwóch żądań – żeby się do nas nie wtrącali i żeby zapłacili reparacje. Chodzi koło tego wiceminister Mularczyk, efekty ma zerowe, ale obiecuje, że już niedługo Niemcy się ugną. Innymi słowy, Mularczyk znalazł sobie zajęcie na resztę życia.

A propos reparacji, jednym z elementów tej operacji politycznej było wysłanie do wszystkich posłów w Bundestagu listu, w którym MSZ wyluszczało polskie żądania. Nasza placówka listy powysyłała. I za sukces uważano, gdy przychodziła odpowiedź, że przesyłka dotarła...

Po czwarte więc, nic w tej polityce nie działa. Ani reparacje, ani pieniądze z KPO, ani wdzięczność Ukrainy, ani jej strach, że przestaniemy ją popierać. Nawet handel wizami w ostatnim czasie siadł.

Uwzięli się na nas...

Attaché

Wstępne analizy pobranej w kosmosie próbki asteroidy Bennu wykazały, że w skale są węgiel i woda, potencjalne elementy składowe życia. To jak otwarcie kapsuły czasu, dającej wgląd w pochodzenie Układu Słonecznego – uważają naukowcy. 10 października 2023 r.





PENETRACJE

TPR Tygodnik Poradnik
ROLNICZY

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI,
BYŁY MINISTER ROLNICTWA

Sprowadzając zboże z Ukrainy, w małym stopniu pomagamy narodowi ukraińskiemu, bowiem to kontrowersyjne zboże jest produkowane w wielkich gospodarstwach, których właścicielami są międzynarodowe korporacje – głównie niemieckie, holenderskie, chińskie, amerykańskie, a nawet związane z rosyjskim kapitałem. Te giganty wykorzystują tanią siłę roboczą. I na żyznych czarnoziemach, wymagających symbolicznego nawożenia, stosują najczęściej środki ochrony zakazane już w Unii. Efektem tego stanu rzeczy jest tak tanie zboże, które nie daje rolnikom z UE żadnej szansy konkurencji. Rząd ukraiński wprowadził takie rozwiązania prawne, które umożliwią gigantom niepłacenie podatków.

VIVA!

ALLAN STARSKI,
SCENOGRAF, LAUREAT OSCARA

Ktoś mnie zapytał, jaka jest różnica pomiędzy scenografią w teatrze i w filmie. Na początku mądrze coś tłumaczyłem, a na końcu powiedziałem, że scenografia w filmie to jest piękne oszustwo. Widz idzie do kina i wierzy, że nagle znalazł się w Londynie wiktoriańskim. Nieważne, że został zbudowany w Pradze. Widz musi w to uwierzyć, bo inaczej nie uwierzy w film. Natomiast w teatrze jest pewna konwencja, którą się kupuje albo nie. Filmy, które lubię robić, to często bardzo duże i bardzo kosztowne produkcje, które muszą przemawiać do szerokiej publiczności.

zwierciadło

MICHAŁ RUSINEK,
LITERATUROZNAWCA, PISARZ

Kiedyś na lotnisku kupiłem butelkę alkoholu w sklepie wolnoctwowym, podszedłem do kasy, a pani zapytała: „Jaka jest pana finalna destynacja?”. Spojrzałem na tę butelkę, na panią i powiedziałem, że prawdopodobnie cmentarz Rakowicki. To jest oczywiście kalka z języka angielskiego, ale w języku polskim słowo finalny, zwłaszcza w połączeniu z destynacją, brzmi jednak dość ostatecznie, bardziej niż lotnisko docelowe...

Twoj STYL

BORYS SZYC,
AKTOR

Gdy byłem w wieku córki, powtarzałem sobie, że jak będę miał dzieci, nie zbuduję granic, nie będę wszystko lepiej wiedzącym „staruchem”. Ledwo mrugnąłem oczami i mam 40 lat. (...) Porozumienie jest możliwe, gdy jesteś wobec dziecka szczery, powiesz, co cię w życiu boli, dlaczego cierpisz. Sonia wie o mnie rzeczy, których nikt nie wie – i nawzajem. Wie o mojej chorobie – jako dziecko była jej świadkiem. Starłem się ją chronić, nie zawsze się udawało. Później była przy tym, jak stawałem się coraz zdrowszy. Trudne momenty nas zbliżyły.

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* gwizdże i bucha gorącą parą	A	C	I	K	N	Z	
* kryje w sobie list lub koldrę	A	E	K	O	R	T	
* sensacyjna wartka akcja	Ć	E	I	O	P	Ś	
* stara historia o Warszawie	A	D	E	E	L	N	



ROZWIĄZANIA: CZAJNIK, KOPERTA, KOPERTĄ, KOPERTĄ, KOPERTĄ



Aby język giętki...

PROF. ADAM STRZEMBOSZ

O WAŻNOŚCI WYBORÓW

Zatwierdzać ją będzie izba Sądu Najwyższego, składająca się wyłącznie z sędziów powołanych w nowym trybie, a więc sędziów, do których niezawisłości możemy mieć poważne zastrzeżenia.

ROBERT GÓRSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Będę ocieplal wizerunek prezydenta. To niewiarygodne źródło komizmu.

DONALD TUSK O RZĄDZIE PiS

Dzieli się na dwie grupy. Jedni mają dwie lewe ręce do roboty, drudzy zarabiają na lewych interesach.

PIOTR BUKARTYK

O ZNISZCZENIU RADIOWEJ TRÓJKI

To rodzaj intelektualnego leja, do którego lepiej się nie zbliżać, bo działa na zasadzie czarnej dziury.

JULIUSZ MACHULSKI O „SEKSMISJI”

Seks, humor i polityka. Te trzy elementy plus Jurek Stuhr – musiał być sukces.

ELŻBIETA ZAPENDOWSKA O MONICE BRODCE

Szesnastoletnia Brodka miała diabła w oczach, znakomita kobietka.

GRAŻYNA TORBICKA O ZAINTERESOWANIACH

Wszystko, co mnie w życiu najbardziej interesuje, to rzeczy, których nie rozumiem, i rzeczy, których nie umiem.

KATARZYNA FIGURA O SENTYMENTALIZMIE

Wszelki rodzaj sentymentalizmu jest mi obcy, wymiatam go z siebie. To pułapka naszego umysłu.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogoliewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczała

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

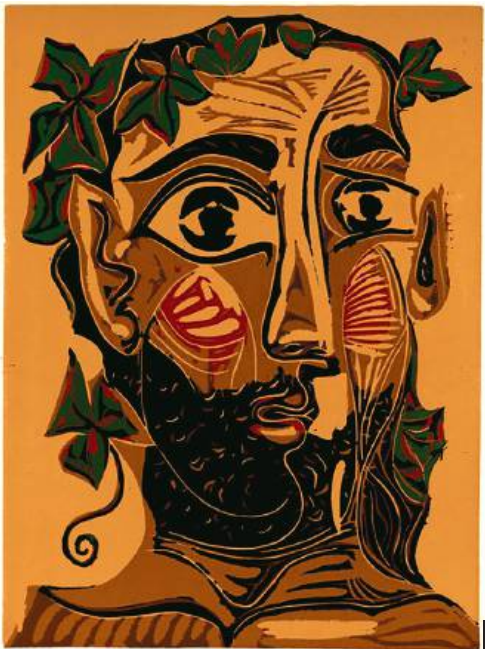
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





1



2

PICASSO

To opowieść o półwieczu twórczości Pabla Picassa – od eleganckiego klasycyzmu z lat 20. minionego wieku po swobodną i surową ekspresję, która charakteryzowała dzieła powstałe pod koniec jego życia. Publiczność ma niepowtarzalną szansę obejrzenia ponad 120 prac: grafik, ceramiki i ilustracji książkowych. Większość jest prezentowana w Warszawie po raz pierwszy i pochodzi z kolekcji Museo Casa Natal Picasso (dost. Muzeum Dom Narodzin Picassa) w Maladze. Towarzyszą im wybrane dzieła artysty ze zbiorów MNW.



3



4



5

1. Brodaty mężczyzna w koronie z winorośli, 1962, linoryt, papier
2. Kobieta przed lustrem, 26 listopada i 10 grudnia 1950, litografia barwna, papier
3. Corrida na białym tle, 1948, fajans, farby podszkliwe
4. Kobieta w fotelu (Françoise), 30 grudnia 1948, litografia, papier
5. Głowa młodej kobiety (Françoise), 5 marca 1947, litografia, papier

Muzeum Narodowe
w Warszawie
Aleje Jerozolimskie 3
do 14 stycznia

• TEATR CAPITOL •

SCENOGRAFIA
JOANNA PIELAT
KOSTIUMY
TOMASZ JACYKÓW
OPRACOWANIE MUZYCZNE
AGNIESZKA PUTKIEWICZ

ODLOTOWA
NOWOŚĆ



PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2023

LUMBAGO

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO

AUTOR
JOHN GRAHAM

PRZEKŁAD
ELŻBIETA WOŹNIAK

STANISŁAW BANASIUK OLGA BORYS PIOTR BOROWSKI DAGMARA BRYZEK ARTUR CHAMSKI KATARZYNA GLINKA FILIP JAŚLAR ROBERT JANOWSKI ALEKSANDRA LINDA
KATARZYNA MACIĄG WOJCIECH MAJCHRZAK MACIEJ MIECZNIKOWSKI ROBERT MOTYKA JACEK STEFANIK RAFAŁ SZAJŁAKO HONORATA WITAŃSKA



Dofinansowanie z budżetu państwa
w ramach Narodowego Funduszu Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partneri i Mediasy



Partnerzy Teatru





QUINZAINE
DES RÉALISATEURS
Société des réalisateurs de films
CANNES



Falcon Lake

reżyseria Charlotte Le Bon

Niezwykła opowieść o pierwszej miłości,
przyjaźni i... duchach



W KINACH OD 20 PAŹDZIERNIKA

AURORA

